

11 699.255

TADEUSZ KATELBACH

ROK ZŁYCH WRÓŻB

(1943)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

ROK ZŁYCH WRÓŻB

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom XXXVI



Imprimé en France.

Wydawca: Edition et Librairie «Libella»,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4').

TADEUSZ KATELBACH

ROK ZŁYCH WRÓŻB

(1943)

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001005708724

TEGOŻ AUTORA

Niemcy współczesne wobec zagadnień narodowościowych,
Warszawa, 1932.

Za litewskim murem, Warszawa, 1938.

Strajk akademicki, Warszawa, 1939.

Kartki z pamiętnika, Paryż, 1940.

U kresu drugiego etapu, Londyn, 1942

Spowiedź pokolenia, Lippstadt, 1948.



II 699.255



Copyright by „Kultura”, Paryż 1959

1959 W 593/2

W „Roku złych wróżb” wspominam często Klemensa Felicjana Lechnickiego.

Urodzony 21 czerwca 1918 roku w Serebrzyszcach, na Chelmszczyźnie, zginął wraz z sześciu towarzyszami lotu bojowego wczesnym rankiem 1 lipca 1944 roku we Francji, w miejscowości Beauvillieres. Tam został pochowany. Mieszkańcy gminy Beauvillieres wzniesli obelisk siedmiu poległym lotnikom polskim.

Pamięci Lechnickiego, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnego pokolenia młodych Polaków, tę książkę poświęcam.

„Źródłem zła, które niszczy świat dzisiejszy były porozumienia najprawdopodobniej ustne, zawarte podczas konferencji w Teheranie, w listopadzie 1943 r. W Teheranie przecież zapadły postanowienia, dotyczące ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji Sowieckiej kosztem Polski i Chin. W Teheranie przecież porozumiano się co do podziału Europy na sfery wpływów, nazwane eufemicznie — „zonami okupacji sowieckiej”. Protokół Eden-Majski-Winant oraz same umowy jaltańskie były już tylko formalnym skodyfikowaniem porozumień zawartych w Teheranie. A przecież na przykładzie Polski z r. 1940 wiadomo już wtedy dobrze, do jakich skutków prowadzi nieuchronnie wojskowa okupacja sowiecka i czym są wybory, dokonane w cieniu bagnatów rosyjskich. „Wielka Trójka” uczująca w palacu ambasady sowieckiej w Teheranie, nie mogła u schyłku 1943 r. nie pamiętać, że tak zwane „wybory” na polskich kresach wschodnich przeprowadzone były pod terrorem, po zesłaniu półtora miliona Polaków na Sybir i do obozów koncentracyjnych, po uwięzieniu i rozstrzelaniu tysięcy najlepszych obywateli”...

(Z mowy gen. K. Sosnkowskiego, wygłoszonej 21 marca 1953 na bankiecie w Chicago).

OD AUTORA

Po przyjeździe z Portugalii do W. Brytanii w lipcu 1941 uporządkowałem swoje zapiski pamiętnikarskie, obejmujące okres kilku ostatnich tygodni, spędzonych we Francji przed jej kapitulacją. Wydałem je potem w Londynie pt. „U kresu drugiego etapu”. Zabrałem się później do opracowania mych notatek, robionych w czasie rocznego pobytu w Portugalii (czerwiec 1940 — czerwiec 1941), przygotowując książkę pt. „Szosa się skończyła”... Równocześnie zapisywałem swoje wrażenia, uwagi i obserwacje z gruntu londyńskiego. Pewnego dnia — nie umiałbym dziś powiedzieć dlaczego — zerwałem z tym wojennym nalogiem pamiętnikarskim. Dość, że mniej więcej od połowy 1942 roku przestałem go uprawiać.

Na gwiazdkę tegoż roku otrzymałem gruby tomik, ładnie oprawny, z pustymi kartkami z napisem „Dairy”. Tak mi ten prezent przypadł do gustu, że postanowiłem od nowego, 1943 roku, wypełniać puste kartki swymi notatkami. Brzmi to naiwnie, ale jest prawdziwe.

Pamiętniki pisałem zawsze nie z myślą o wydaniu, lecz — dla siebie. Pozostałem wierny tej zasadzie, notując swe obserwacje w 1943 roku i w dalszych latach wojny. Długo po wojnie nie zaglądałem do kilku zapisanych zeszytów, a wśród nich do pięknie oprawionego prezentu gwiazdkowego, w którym zmieściłem cały rok 1943. Dopiero w rok po pożarze, który w kwietniu 1950 roku zniszczył mi część zapisek pamiętnikarskich, bezcenne archiwum i trzy prace niemal zupełnie przygotowane do druku (m.in. „Szosa się skończyła”...), zająrzałem do ocalałych zeszytów.

Zacząłem porządkować na razie rok 1943. Wygladziłem formę. Treść i styl zostawiłem nietknięte. Całość podzieliłem na rozdziały.

Rok 1943 wróżył nam same złe rzeczy. Kierownictwo polityczne w postaci ówczesnego rządu polskiego nie było w stanie sprostać trudnym zadaniom jakie przed nim stawały. Fakt ten potęgował akcję różnych poufnych i konspiracyjnych grup i organizacji, domagających się coraz natarczywiej ustąpienia rządu. Niektóre z nich miały już w 1943 roku za sobą paroletnią tradycję działalności konspiracyjnej. Ten interesujący, a mało znany rozdział życia emigracyjnego, domaga się także opracowania.

Nic dobrego nie wróżył nam pochód armii sowieckich, zalewających ziemie polskie. Niósł on w sobie zapowiedź całkowitego uzależnienia od nakazów Moskwy wymęczonego zmaganiem z okupantem niemieckim Kraju. Postawa Moskwy nie pozwalała na złudzenia.

A jednak broniliśmy się przed tymi wróżbami, czepiając się każdego cienia nadziei. Tylko w szczerych rozmowach z samym sobą dochodziłem do przekonania, że nie warto się łudzić, gdyż nad niebem polskim gromadzą się same chmury.

Książka, którą oddaję w ręce czytelnika jest rozmową z samym sobą.

I

JAK ZASIAŁ, TAK ZBIERA

1 stycznia, piątek po południu.

Willa na Mill Hillu, w której mieszkam z żoną i córką, jest dziś przyjemnie pusta. Po dwóch tygodniach pobytu z nami braterstwa, przybyłych niedawno szczęśliwie z Francji, po niedawnych świętach Bożego Narodzenia, po wczorajszym Sylwestrze, rozkoszuję się panującą w domu ciszą. Nawet Janeczka wyszła do koleżanki, mieszkającej w pobliżu.

Patrzę przez okno. Rano było ciepło i dżdżysto, teraz nagle, choć już jest dobrze po 3-ej, wyszło słońce i zalało radośnie naszą cichą, niemal wiejską ulicę.

Nowy Rok ! Jakże spokojny, prawie wiosenny. Jakże sielsko-anielski jest ten jego pierwszy dzień. Nowy Rok w Anglii ! Czy ostatni ? Czy wolno nam marzyć, że jeszcze w tym roku wrócimy do Polski ? Gdy zadaję sobie to pytanie, wydaje mi się, że, mimo słońca i panującej w domu ciszy, niebo się chmurzy i słyszę grzmoty piorunów spadających na ziemię. Przestaję myśleć. Nie chcę zadawać sobie żadnych pytań. Po nieprzespanej nocy sylwestrowej ogarnia mnie błoga senność.

Dobry to wynalazek te głębokie, wygodne fotele angielskie. Nie chce się w nich ani myśleć, ani tym bardziej pisać.

2 stycznia, sobota po południu.

Dwudziesta rocznica naszego ślubu. Jakże to dawno było ! Jesteśmy sami z Janeczką. Pod wieczór przyjdzie



ppor. Kazimierz Czerwiński. Kształcą go na „zrzutka” do Polski. Dzielny typ młodego Polaka. Wieczorem przyjdzie prof. Marian Jedlicki. Mieszka na tej samej ulicy. Kilkaście kroków od nas.

3 stycznia, niedziela, 6 po południu.

Zrobił się mroźny dzień. Znowu ciche, wiejskie popołudnie. Za chwilę zjawi się Majewski. Od czasu gdy wyrwał z raju często nas odwiedza. Przybył z Polski w tym samym czasie co Felek Lechnicki.

Przeczytałem gazety. Komunikaty wojenne mówią wciąż o sowieckich sukcesach. Wielkie Łuki. Zwycięstwo na froncie kaukaskim. Wokół Bizerty zaciska się pierścień angielski. Montgomery ściga Rommla. Co jutro przyniesie? Niecierpliwimy się. Zbrzydła nam już ta emigracyjna rzeczywistość. Do Kraju coraz tęskniej.

4 stycznia, poniedziałek. O północy.

Znowu cały wieczór pracowaliśmy z Jedlickim. Piszemy wspólnie z iście młodzieńczym zapałem sztukę propagandową dla Anglików pt. „Druga Wyspa”. Choć to czas zabiera i często jest męczące, odpręża nerwy na kilka godzin. Chwilami bawimy się świetnie.

5 stycznia, wtorek, po północy.

Rosjanom wciąż się powodzi. Martwi to nas. Równocześnie ustały plotki na temat prób niemieckich tworzenia „rządu” w Polsce. Za to w naszym środowisku mówi się o jakichś zmianach rządowych i rozwiązaniu Rady Narodowej.

Cieszyłbym się ze zmian, ale nie wierzę, by do nich doszło. Po fatalnym układzie polsko-sowieckim w lipcu 1941 roku, Sikorski spowodował rozwiązanie Rady Narodowej, by nie dopuścić do dyskusji na temat układu. W grudniu tegoż roku powołał drugą Radę, już sobie na ogół posłuszną, która mu kadzi, wszystko akceptuje i utrwała

swym zachowaniem fikcję normalnych stosunków polsko-sowieckich i w ogóle wiele innych fikcji. Między innymi fikcję — rządów demokratycznych Sikorskiego, na której mu bardzo zależy. Po cóż więc miałby rozwiązywać Radę Narodową, czy reorganizować rząd? O zmianach plotkują najbardziej — niezadowoleni. Jest ich wprawdzie bardzo wielu, lecz, jak dotąd, nie umieli się na nic zdobyć.

Byłem dziś na „drinku” u sąsiadów Anglików. Tak zwana „średnia klasa”. Mały fabrykant obuwia. Średniadolna, bo jest jeszcze średnia-średnia i średnia-górna. Przed przybyciem na tę wyspę nigdy sobie nie wyobrażałem, że tyle śmiesznych przegródek społeczno-towarzyskich dzieli naród angielski. Osobliwa to demokracja. A jednak demokracja.

Bardzo mili ci sąsiedzi. Prości, nieskomplikowani, uprzejmi. Rozumieją tyle, ile wyczytają w swojej codziennej gazecie.

Jak donosi „Dziennik”, Sikorski (jest teraz w Stanach Zjednoczonych) odbył już trzecią konferencję z Rooseveltem, oczywiście, w „serdecznej atmosferze”...

7 stycznia, czwartek wieczorem.

Prasa angielska trąbi dalej o sukcesach sowieckich. Rozpływa się nad swym sojusznikiem. Nic dziwnego, że od chwili, gdy Sikorski w grudniu wyjechał do Stanów, nic nie pisze o jego podróży. A jeśli pisze, to chyba po to, by notować raczej nieprzychylne nam pogłoski. Zdaje się, że Sikorski nic nie zdziałał w Waszyngtonie. Kołatał o pomoc w sprawie naszych granic wschodnich, ale podobno mu poradzono, by zwrócił się pod właściwym adresem, tj. do Moskwy. Rzekomo rady nie usłuchał. Dobrze i to.

W ogóle plotkowano dziś w naszych urzędach na potęgę. Najwięcej jednak o jakiejś kradzieży u pani ministerowej Stańczykowej i o jakowychś jej brylantach. Też się udał PPS-owi ten Stańczyk!

8 stycznia, piątek.

Rozmawiałem z bratem o stworzeniu firmy wydawni-

czej. Stefan ma rację. Byłoby dobrze uniezależnić się od rządowej kasy.

9 stycznia, sobota, 1-sza w nocy.

Niemcy w Tunisie trzymają się mocno. Rommel cofa się na Trypolis. W Gibraltarze koncentracja floty alianckiej. Spodziewamy się dalszych skoków. Obyż w tym roku był finał ! Ludzie wykańczają się psychicznie.

10 stycznia, niedziela, wieczorem.

Piszę w pociągu, idącym do Edynburga. Jadę do Szkocji, do oddziałów wojskowych — z wykładami o Niemczech. W przepelnionych wagonach wszędzie słychać język polski. Co najmniej po kilku wojskowych połusów w przedziale. Gadają z ożywieniem. Ruchliwy naród.

11 stycznia, poniedziałek wieczorem.

Byłem dziś w Musselburgh. Wieźli mnie do tej miejscowości małym, otwartym wozem wojskowym. Ostry wiaterek ciął od morza. Kompanie zjeżdżały ciężarówkami na wykład. Dziwnie wyglądają ci nasi żołnierze na tle małej miejsciny szkockiej. Przyjemność na nich patrzeć. Trzymają fason. Czyści, schludni. Prezentują się świetnie.

Wykład, jak wykład. Słuchali z zainteresowaniem. Po wykładzie pytanie główne : Kiedy się wojna skończy ? Czy nie chcą się bić ? Nic podobnego ! Spieszno im tylko do Kraju.

Obiad jadłem w kasynie oficerskim. Był swojski nastrój. Zdawało mi się, że jestem w Polsce w Lidzie, Augustowie, może w Grodnie. Po obiedzie zdrzemnąłem się w pokoju sympatycznego gospodarza-majora. Było ciepło, drzewo trzaskało w kominku. Znowu złudzenie Polski.

Po południu miałem mieć wykład w Gosford House. Wskutek nieporozumienia nic z wykładu nie wyszło. Rezultat : przeszło godzinę musiałem czekać na autobus do Edynburga. Autobus, oczywiście, wypełniony naszymi żoł-

nierzami. Jeden śpiewa z wileńska, inny z lwowska. Widać, że już się dobrze zadomowili w tej Szkocji. Każdy mknie z panną do kina. Wszyscy dają sobie radę z angielskim i — ze Szkotkami.

Zziębnięty wróciłem do hotelu Caledonia. Na szczęście dobrze tu pałą. Leżę w łóżku i piszę. Jutro dalsze wykłady.

W Edynburgu nikt nie myśli o bombardowaniach niemieckich. Tak ich tu mało było. To nie Londyn.

12 stycznia, wtorek wieczorem.

Rano gadałem w Haddington, potem wróciłem do Edynburga, a popołudniu wyjechałem do Kelso. Ładne miasteczko z kontynentalnym rynkiem w kształcie czworoboku. Mój hotel mieści się na rynku. Jest przyjemny, czysty, panuje w nim jednak przeraźliwe zimno. Wszyscy mieszkańcy kaszlą lub wycierają zakatarzone nosy, lecz o porządnym paleniu nikt nie myśli. W pokoju nie ma mowy o czytaniu i pisaniu. Na szczęście, zwyczajem tego kraju, znalazłem w łóżku butlę z gorącą wodą.

13 stycznia, środa, północ.

Był słoneczny ranek. Odbyłem z podchorążym Janem Kucharskim długi spacer nad rzeką Tweed. Po południu odwiedziłem jego znajomych Szkotów. Jest u nich tak zadomowiony, jakby był w rodzinie. O 7-ej wieczór miałem wykład. Przeszło 150 osób. Oficerowie i żołnierze. Zadawano mi bardzo dużo pytań. Podobno to tutaj rzecz rzadka.

Po wykładzie obiad w kasynie oficerskim. Zeszło parę godzin na miłą, bezpośrednią gawędzię. Po Londynie takie rozmowy — to strumień świeżej wody. Chyba nie wiele wiedzą o londyńskich rozgrywkach. Pytanie główne — znowu o czas trwania wojny. Jedyna troska, że za długo siedzą beczynnie i chcieliby już być na froncie. Jedyne zmartwienie — o swoich w Kraju.

Czy nie interesuje ich nasza sytuacja, zwłaszcza przyszłość stosunków polsko-sowieckich? Interesuje. Nawet bardzo. Nie chcą jednak do końca myśleć o tych sprawach.

Są szczęśliwi, że myśli za nich rząd w Londynie. Nie ukrywają przecież swoich wątpliwości i złych przeczuć. Ale trwa to krótko. Nie miłują swego naczelnego wodza, choć, jak przystało na żołnierzy, unikają tego tematu.

Czasem tylko ktoś w rozmowie w cztery oczy zdradzi swe oblicze. Zdaje mi się wówczas, że należy do jednej z junt istniejących w wojsku, rozpowszechnionych zwłaszcza w lotnictwie i marynarce. Jak Sikorski zasiał, tak teraz zbiera. Nie kto inny przecież, jak jego mąż zaufania gen. Izidor Modelski zaraz w pierwszych dniach wojny założył w wojsku masońsko-wojskową juntę pod wzruszająco niewinną nazwą „Łańcucha Dobrych Przyjaciół”. Był jednak na tyle naiwny, że zaproponował przystąpienie do niej m.in. młodym wojskowym falangowskiego czy oenrowskiego autoramentu. Podobno nawet jednego z nich, lotnika Sępa-Szarzyńskiego, chciał pozyskać obiecując mu mandat członka Rady Narodowej.

Rezultat zabiegów dzielnego generała Izidora był taki, że Sęp-Szarzyński współ z kpt. lotnictwa Bujalskim (przyjaciół A. Doboszyńskiego) oraz z młodym Felkiem Lechnickim, również lotnikiem, sami założyli juntę, zwróconą przeciwko Sikorskiemu i jego rządowi...

Wróciłem do hotelu dopiero przed kwadransem. Jest naturalnie ciepła butla w łóżku, ale dłużej pisać nie sposób. Mróz nie do wytrzymania.

14 stycznia, czwartek wieczorem.

Przedpołudniem zwiedzałem baraki, w których mieszka obsługa naszych czołgów. Pierwszy raz w życiu oglądałem czołgi z bliska. Mimowoli nasuwało się porównanie z naszą napoleońską wojenką z lat 1918-20.

Popołudniu byłem w Duns, a potem w Langton.

15 stycznia, piątek.

Rano miałem wykład w Galashiels. I tu spotkałem oficerów, którzy przeszli Rosję. Jak się o bałaganie sowieckim słucha, nie chce się wierzyć, że Moskale mogą zwycię-

zać. Po południu miałem wykład w Earlston. Pyszne chłopaki.

16 stycznia, sobota.

Piszę już w pociągu, jadącym do Londynu.

Z rana spotkała mnie niespodzianka. O 9-tej wyjechałem autobusem do Gullan. Po ujechaniu kilku mil, uderzył mnie dziwnie polski ruch na drogach. Od Gorford, na szosach, oddziały różnych broni wojska polskiego w pełnym rynsztunku. Posterunki polskie, regulujące ruch. Zapomniałem, że jestem w Szkocji. Okazało się, że do Gullan przyjeżdża sam Naczelnny Wódz i Premier, który 13-go wrócił ze Stanów Zjednoczonych. Z wykładu, oczywiście, nic nie wyszło, za to zobaczyłem taką ilość naszego wojska, jakiej od Polski nie widziałem. Nie mogłem nacieszyć się tym widokiem i dlatego powlokłem się na uroczystość powitania Sikorskiego. Lecz gdy zaczął mówić, wycofałem się szybko z tłumu i ruszyłem w drogę powrotną do Edynburga. Po co, u licha, urządził to kosztowne zbiegowisko licznych oddziałów? Czy chciał przez to coś zamanifestować, czy po prostu — co mi się wydaje bliższe prawdy — skokietować żołnierza tęsknotą dowódcy, który zaraz po powrocie ze Stanów, pragnie zobaczyć „swoje wojsko” i spędzić wśród niego parę godzin.

W Szkocji miałem piękną pogodę. Zetknąłem się przede wszystkim z żołnierzem, który chce walczyć i któremu spieszo do Polski. Zapomniałem przez kilka dni o tym nieciekawym, polskim Londynie. Już teatralne gesty Sikorskiego przypomniały mi jego istnienie. Z obrzydzeniem myślę, że będę tam za kilka godzin.

17 stycznia, niedziela, 2-ga w nocy.

Nocował u nas Staś Westfal. Zawsze się cieszę z jego przyjazdu. Inteligentny, dowcipny. Przyjemnie z nim popić z bliźnich. Zwłaszcza, że wybór jest olbrzymi...

Po południu byli M. Sokołowscy z dziećmi i braterstwo. Po 8-ej zaczął się nalot. Trwał półtorej godziny. Odpowiedź na bombardowanie poprzedniej nocy Berlina.

18 stycznia, poniedziałek, 1-sza w nocy.

Dziś o 5-ej rano znowu nalot. Trwał godzinę. Około 8-ej wieczorem alarm. Jak się okazuje wczorajsze bombardowanie Londynu było wcale mocne. Berlin też dostał porządnie. Zdaje się, że złączą serię wzajemnych wizyt. Myślę o tym z niepokojem, gdyż żona nie wytrzymuje bombardowań. Nie jest bynajmniej wyjątkiem.

Moskale odnoszą nowe sukcesy. Montgomery wyraźnie ściga Rommla. Wygląda czasem na to, że wojna może się skończyć szybciej niż nam się jeszcze parę miesięcy temu wydawało. Niemcy skracają front. Na wiosnę zrobią pewnie kontrofensywę. Może im się nawet udać. Ale czy będą w stanie rozbić armie alianckie? Wątpię. Kto jednak wie. A może po udanej kontrofensywie zaproponują aliancom pokój?

20 stycznia, środa, po północy.

Dziś w południe był nalot. 40 set out 10 go through. Trwał około godziny. Działa waliły bez przerwy. Śródmieście Londynu było puste. Przed 11-tą znowu alarm. Anglicy okazują teraz również większe wyczerpanie nalotami. Czyta się to na ich zmęczonych twarzach — w autobusach i kolejkach podziemnych. W kolejkach śpi więcej ludzi, jak zazwyczaj. Ciekaw jestem, jak przejdzie noc.

Okazuje się, że w czasie masówki żołnierskiej w Gullan, Sikorski używał zgoła wiecowych zwrotów. Między innymi wykrzykiwał, że nie odda Wilna i Lwowa. Śmiano się w szeregach, gdy charakteryzując swe wysiłki w Stanach Zjednoczonych wołał: „40 dni i nocy pracowałem bez przerwy”, lub „wyniki mej podróży przeszły wszelkie oczekiwania!” Dobrze, że nie słuchałem tych bombastycznych frazesów.

II

SAM NA SAM Z MOSKWA

21 stycznia, czwartek, 6.30 po poł.

Noc nie przeszła spokojnie. Po 11-ej obudził nas drugi alarm, po 1-szej trzeciej. Dzień — jak dotąd — normalny. W prasie angielskiej pełno zdjęć szkoły zniszczonej przez niemieckie bomby. Jeszcze nie wydobyto wszystkich trupów dzieci. Dziwne są reakcje Anglików ! Ani słowa jakichś wymysłów, czy oburzenia na niemieckie lotnictwo. Dominuje praktyczne zagadnienie — ewakuacji szkół londyńskich. Dyskutują, deliberują, interpelują w parlamencie. Oni już chyba nie umieją nienawidzić.

22 stycznia, piątek 1,30 w nocy.

Dziś mam dyżur między 3-6 rano w lokalnej obronie przeciwpożarnej. Jak będą alarmy, mogę nie spać przez całą noc.

W Ministerstwie Informacji gadaliśmy o rezultatach wizyty Sikorskiego w Waszyngtonie.

Sikorski z ambasadorem Raczyńskim mieli być dziś na śniadaniu u Edena. Na pewno amerykańska wizyta Sikorskiego będzie głównym tematem spotkania. Gubimy się w domysłach. Z „Dziennika”, oczywiście, prawdy nie można się dowiedzieć. Wiem z kancelarii Prezydenta tylko tyle, że w sprawie granic wschodnich Sikorski na pewno niczego nie uzyskał. Ale premier, jakby nigdy nic, robi dobrą minę i dalej wraz ze swym otoczeniem ciska gromy

na każdego, kto ośmieli się krytykować układ lipcowy z Rosją. Dla zamydlenia oczu wojsku, ma sypnąć awansami. Prezydent, odwrotnie, po powrocie Sikorskiego, chadza smętny. Sosnkowski nie ukrywa swego niepokoju o przyszłość. Podobno odbyła się burzliwa Rada Ministrów. Endecy mówią o kompletnym fiasku podróży Sikorskiego. To samo — część socjalistów.

Wszystko to niewesołe.

23 stycznia, sobota, 11.30 w nocy.

Byliśmy dziś na obiedzie u Lisiewiczów, koło St. John's Wood Station. O 300 metrów od nich bomby zniósł trzypiętrowy budynek. W pobliżu elektrownia i kolej. Gađało się, oczywiście, o spodziewanych nalotach i o jakichś najnowszych, polskich prorocत्वach na temat końca wojny... jeszcze w tym roku. Popołudnie spędziliśmy u brata, na Golders Green. Wracaliśmy na Mill Hill po 10-tej. Był piękny wieczór. Jasno. Wszystko przesłonięte delikatną mgiełką, skrzącą się w księżycowej poświacie.

24 stycznia, niedziela, 1-sza w nocy.

Rano, przed obiadem, odbywałem spacer w gęstej mgle. O trzy, cztery metry, nie było nic widać. Błado-złote słońce z trudem przebijało się przez otaczającą, mglistą biel.

Ktoś z kolegów odkrył mi nieco kulisy amerykańskiej wycieczki Sikorskiego. Sprawy stoją źle, jak najgorzej. Alianci umywają ręce. Po Anglikach — Amerykanie. W naszym M.S.Z. mówią, że alianci coraz widoczniej zostawiają nas — sam na sam z Moskwą. A Moskwa już przesądziła sprawę granic wschodnich. Raporty naszej ambasady nie pozostawiają żadnych złudzeń. To samo potwierdzają w ustnych relacjach urzędnicy ambasady, przyjeżdżający z Rosji do Londynu.

I w tym właśnie czasie opowiada się o „zmianach” w gabinecie! Jakich? ! Że gen. Józef Haller ma ustąpić, by zrobić miejsce dla Izydora Modelskiego! Mój Minister Informacji i Dokumentacji, prof. Stroński, chodzi podekscy-

towany „zmianami” i rozgrywkami w otoczeniu Sikorskiego. Wszędzie nos wścibia. Jeszcze po nosie dostanie.

25 stycznia, poniedziałek, 10 wieczorem.

Wróciliśmy od Anglików, przyjaciół pana Edwarda L. Było picie, dobry nastrój. Znają polskie piosenki. Pani miała przypięty mały orzełek polski. Jeszcze nie przestaliśmy być zupełnie modni. Ale moda w Anglii na Polaków stanowczo mija. Obawiam się, że wkrótce śladu z niej nie pozostanie.

26 stycznia, wtorek, 6 m. 30 po poł.

Zdaje mi się, że wypadki toczyć się będą szybko. Może się tym razem ów polski prorok, o którym mówiono u Lisiewiczów, nie pomyli. Padła jakaś miejscowość na zachód od Trypolisu. Niemcy przyznają — jak pisze prasa angielska — że nacisk sowiecki jest *increasing in fury*. Słowem nie ukrywają, że dostają lanie. Tylko z czego się tu cieszyć!

Moskwa przemawia zupełnie niedwuznacznym językiem. Stacja im. Kościuszki warczy nieustannie, wzywając fabrykowanych przez Moskali „polskich patriotów” do walki z faszystowskimi wrogami. *Tableau!* Pisemka komunistyczne, wydawane po polsku które wciąż przerzucam, mają ton i treść bezczelną. A w dodatku dziś, w ministers-twie, od jednego z moich przyjaciół dowiedziałem się o sowieckiej nocy z 16 stycznia, która bezceremonialnie włącza do Rosji wszystkich obywateli zamieszkałych na naszych ziemiach wschodnich. Wynika stąd, że Polacy, pochodzący z Wilna, czy ze Lwowa, uważani są już teraz przez Rosję za obywateli sowieckich. Mało tego. Brzmienie noty jest takie, że wszystkich ludzi zamieszkałych 1 czy 2 listopada 1939 r. na ziemiach wschodnich, okupowanych wówczas przez wojska sowieckie, Rosja zalicza do swych obywateli. Znaczy to, że Warszawianin czy Poznańczyk, który przypadkowo znalazł się w tym czasie w Wilnie lub we Lwowie, uważany jest również za obywatela sowieckiego.

I — powtarzam — z czego się tu cieszyć ! Czy z urzędowej blagi uprawianej przez rząd, broniący „doskonałości” układu polsko-sowieckiego z lipca 1941 ? A może z tego, że ambasador Kot, opuściwszy już w lipcu ubiegłego roku ambasadę w Moskwie, spłynie tu lada chwila ? Ta cała urzędowa blaga ma krótkie nogi. Prędzej czy później wszystko wylezie na wierzch. A jak się wtedy zachowa wojsko ? Jak zareaguje, gdy dowie się całej prawdy, o której — jak się mogłem w Szkocji niedawno przekonać — nie ma pojęcia ! Wystarczy obserwacja reakcji wojskowych na prosowieckie elaboraty pana Ksawerego Pruszyńskiego, aby sobie wyobrazić, co się wówczas będzie działo. Podobno Raczkiewicz tak się zaniepokoił owymi elaboratami, że telefonował do Sikorskiego, żądając przywołania do porządku tego osobliwego pupila Naczelnego Wodza i Kota. Wątpię bardzo w skuteczność interwencji Prezydenta...

A jednak wypadki wojenne toczyć się będą szybko. Byleby tylko nie za szybko — na froncie wschodnim.

Stalin w swym rozkazie z wczorajszego dnia przemawia buńczucznie i dumnie. Oznajmia, że front niemiecki został przełamany; że wojska sowieckie zrobiły miejscami 250 mil; że zmusiły 102 dywizje niemieckie do odwrotu; że wzięły 200.000 jeńców i 13.000 armat. Przeraża mnie ewentualność tego sam na sam ze zwycięską Moskwą.

27 stycznia, środa, wieczorem.

Spotkanie Churchill-Roosevelt w Casablance. Dobrze przynajmniej, że bez Rosji. Ale i innych sprzymierzeńców też nie zapraszają. Podobno Sikorski jest w doskonałym humorze. Jak zawsze pewny siebie i ufny w swą gwiazdę.

Minister Kwapiński napisał jakąś ultralewicową broszurę z wstępem socjalisty angielskiego Greenwooda. Trzeba będzie to przeczytać. Jeśli bowiem wierzyć temu, co mówią ludzie, którzy zdążyli broszurę przerzucić, musi to być stek pierwszorzędných bzdur. Podobno przerażona nimi, (pewno ze względu na „wrażenie” w Ameryce) rada ministrów zdecydowała wstrzymać dalsze rozpowszechnianie tego elaboratu. Autor broszury, który sam znalazł się wśród wywiezionych przemocą do Rosji, ma w niej rozwijać program społeczno-gospodarczy dla Polski, będący kopią systemu

komunistycznego. Co to znaczy? Przecież od takiego stanowiska jeden już tylko krok do dobrowolnego włączenia się w sowiecki system polityczny przeciwko czemu broniliśmy się i bronimy. Obroncy broszury dowodzą, że o treści jej zadecydowały inspiracje rzekomo nadesłane z Kraju. Choćby stu Kwapińskich lub Mikołajczyków zaklinało się, że tak było, nie uwierzę.

A propos Mikołajczyka. Po ministerstwie krążyła dziś plotka, że na pewnym przyjęciu podchmielony pan minister Mikołajczyk groził palcem generałowej Sosnkowskiej. Ten „mąż stanu”, jak całe otoczenie Sikorskiego, nie znosi Sosnkowskiego. Dziwię się, że po zachowaniu się Sosnkowskiego w czasie podpisywania układu polsko-sowieckiego, jeszcze go nie spławili ze stanowiska następcy Prezydenta. A przecież nie próżnują. Obsmarowują go jak mogą i gdzie mogą. W Moskwie w rozmowach z dygnitarzami sowieckimi, Kot miał pełne usta wycieczek pod adresem Sosnkowskiego. Mogą się teraz cieszyć. Moskwa go stale atakuje, robiąc z generała, oczywiście, faszystę. Mówi się po kątach (lecz wcale głośno), że Sowiety w ogóle przebąkują, iż bardzo się im nie podobają różni ludzie, zajmujący najwyższe stanowiska państwowe. Kogo mają na myśli? Sosnkowskiego? A może i Prezydenta Raczkiewicza? Maluczko, a zaczną otwarcie domagać się zmian personalnych, względnie będą usiłovali je dyktować. Oto skutki rodzimej nagonki, rozpetanej przeciwko Sosnkowskiemu.

28 stycznia, czwartek, 5 m. 30 po południu.

Wróciłem przed chwilą do domu. Jestem pod wrażeniem inteligentnych wywodów płk. Kijaka, który reprezentuje wojsko na międzyministerialnej komisji dla spraw niemieckich. Mówił przekonywująco o potęgującym się wyczerpaniu obu stron walczących, zarówno Niemiec, jak Rosji. Cytował dane.

29 stycznia, piątek, 7 m. 30 wieczorem.

Pełno było dziś plotek z wewnętrznego grajdołka. Że Stróński zachwiany, że „rośnie” Modelski, że chmury wo-

kół zaufanego doradcy Sikorskiego — dr. Retingera. Jakież to wszystko beznadziejnie nudne !

Cieszę się, że przyjechałem wcześniej na naszą wieś milhilską. Dzień przepiękny. W styczniu pachnie wiosną.

Jutro dziesięciolecie dojścia Hitlera do władzy. W „Evening News” czytam, że Hitler nie będzie przemawiał, że mówić będzie Goebbels, a rozkaz do wojska wyda — Goering. Flagi nie będą powiewały w Rzeszy. Więcej to dla mnie znaczy, niż komunikaty wojenne. Hitler nawet nie chce cienko śpiewać. Trudno mu się dziwić. Rosjanie dali Niemcom łupnia pod Woroneżem. Amerykanie w Tunisie chcą przeciąć Rommlowi możliwości połączenia się z innymi formacjami niemieckimi. Rzeczywiście więc nie-miłe dziesięciolecie.

Już nie tylko my, lecz i światlejsi Anglicy (niestety, jest ich niewielu, jeśli chodzi o tę dziedzinę), zaczynają obawiać się zwycięstw sowieckich. Wczoraj Witek Czerwiński rozmawiał z wybitnym publicystą angielskim Voigtem. Voigt zadał mu pytanie : „Przecież chyba Niemcy nie wpuszczą Rosjan do siebie i w ogóle do Europy ? Co Pan sądzi o tym ?” Nie wiem co Czerwiński odpowiedział Voigtowi, ale po tej zastanawiającej skromności obchodu dziesięciolecia rządów Hitlera, zaczynam sądzić, że mogą wpuścić. I to wcale prędko.

30 stycznia, sobota, II m. 30 w nocy.

Przemawiali przez radio : Goebbels i Goering. Również Axmann. Hitler — nie. A Brytyjczycy urządzili Berlinowi na dziesięciolecie aż dwaienne naloty. Wyobrażam sobie bezsilną wściekłość Hitlera. Pewnie będzie się chciał zrewanżować Londynowi.

Prawda ! Dziesięć lat temu byłem w Genewie, gdy nadeszła wiadomość o przyjeździe Hitlera do władzy. Zawrotnie szybko toczy się koło historii. Wariacka szybkość.

31 stycznia, niedziela, w południe.

Przed chwilą wróciłem ze spaceru. Nie czułem ani wichury, ani deszczu. W Londynie siedziałbym na pewno

w domu. Ale Mill Hill to nie Londyn. To wieś. Lubię po tej wsi chodzić nawet w czasie deszczu.

Gazety niedzielne pełne wiadomości o wczorajszym nalocie i polemik z buńczucznymi wystąpieniami Goeringa. Jak przewidywałem, Hitler zarządził już *drastic new measures*.

Cieszę mnie głosy prasy angielskiej, gdy cytuje antysowieckie wystąpienia niemieckie. Jest w nich dużo prawdy o Rosji. Może przynajmniej tą okrężną drogą przeniknie coś do głów angielskich.

Pruszyński, którego wczoraj widziałem, nosi się butnie. Zapuścił brodę. Upodabnia się zewnętrznie do sowieckich zdobywców świata. Podobno dwa dni temu „zagroził” Sikorskiemu dymisją. Bezczelny. On się na pewno nie martwi ewentualnością naszego sam na sam z Moskwą. Już więc i takich mamy.

1 lutego, poniedziałek, o północy.

Jestem przybity. W dzisiejszym rannym „Daily Mail” czytam wołowymi literami: *Stalingrad army wiped out*. 16 generałów dostało się do niewoli sowieckiej. Na razie... tylko 46 tysięcy jeńców! Przez chwilę radość, że Niemcy ponieśli klęskę, a zaraz potem radość przemienia się w rozpacz. Co to będzie? Co będzie, jak zawiodą wszelkie kontr-ofensywy niemieckie i armia sowiecka, może jeszcze w tym roku, zaczniesz zalewać Polskę?

3 lutego, środa, 8 wieczorem.

Moskale liczą jeńców niemieckich wziętych pod Stalingradem. Idą już na Rostów. Załatwiają Krasnodar. W Tunisie wzrasta się nacisk sprzymierzonych. RAF bombardował wczoraj Kolonię. Co na to Niemcy? Odgrają się admirałem Doenitzem i jego łodziami podwodnymi.

Przed chwilą telefonował Stawiński. Dalsze sukcesy sowieckie. Pchają się na Rostów i Kursk. Koniec wojny zbliża się dosłownie wielomilowymi krokami.

2-ga w nocy.

1 lutego Sikorski wygłosił na tajnym posiedzeniu Rady Narodowej *exposé* o swej podróży do Stanów Zjednoczonych. Rada Narodowa — brzmi ogłoszony komunikat — „uznaje wielką doniosłość osiągniętych w nich wyników, a nade wszystko ponownego w nich stwierdzenia zasadniczej zgodności polskich celów wojny z celami Stanów Zjednoczonych oraz pogłębienia zrozumienia przez wielką demokrację pokojowej roli Polski w Środkowej Europie”. Styl komunikatu wyrażnie szwankuje. Treść banalnie urzędowa. Niezdarnie usiłuje przesłonić kompletne fiasco podróży.

4 luty, czwartek, 10 wieczór.

Dalszy ciąg „dobrych” wiadomości z frontu rosyjskiego i dobrych bez cudzysłowu — z Tunisu. Zaczynamy przyzwyczajać się do tych dobrych wiadomości bez cudzysłowu. Innych się z tego frontu nie spodziewamy. Przedwczoraj znowu bombardowali Kolonię, wczoraj Hamburg. Ale do dobrych wiadomości w cudzysłowie nie chcemy się przyzwyczajać. Instynktownie boimy się ich tragicznych skutków.

Co nasza góra o tym myśli? Wiem co myśli odsunięty od wszystkiego Sosnkowski, wiem co myśli Zaleski, ale reszta? Ta, która faktycznie nami rządzi.

5 luty, piątek, 9 m. 30 wieczorem.

Wczoraj rozeszły się w londyńskiej City pogłoski, że Hitler odebrał sobie życie i admirał Doenitz objął po nim władzę. Nie wiem kto je puszcza. Wydaje mi się, że Anglicy nie życzą sobie zupełnego rozgromienia Niemiec i totalnego nad nimi zwycięstwa Sowietów. Podobno minister Morrison zezwolił nawet na odbycie zgromadzenia publicznego pod hasłem: „Czy pokój z Hitlerem jest możliwy?”. Nieznani sprawcy pokiereszowali biust Lenina w Londynie. Z drugiej jednak strony, Anglicy pozwalają na uprawianie u siebie potężniejącej z każdym dniem agitacji prosowieckiej. Gdy Witek zapytał o tę agitację jednego z Anglików, usły-

szał następującą odpowiedź : „Rząd nasz zezwala na nią, aby się sama Anglikom przejadła”. A potem ów Anglik dodał : „Już się przejada”.

Dziwni są ci Anglicy. Czasem robią wrażenie diabelnie chytrych, a czasem po prostu naiwnie zarozumiałych. W każdym razie nie podzielałam opinii światłego Anglika. Sowiety, podobno, wydają na sam Londyn 200.000 funtów miesięcznie. Taka robota musi zostawiać trwałe ślady. Przysłowiowa flegma angielska nie jest środkiem immunizującym wpływy przemysłanej, chytrej i kosztownej propagandy sowieckiej.

Ale nie o tym chciałem pisać. Dziś rano z rzeczywiście wiarygodnego źródła dowiedziałem się znowu rzeczy, ukrywanych starannie przez rząd Sikorskiego. W związku z ewakuacją rodzin wojskowych oraz dzieci z Rosji władze sowieckie miały oświadczyć naszej ambasadzie w Moskwie, że ilość obywateli polskich, przebywających w Sowietach, jest znikoma. Przedstawiciel Narkomindiełu — Nowikow powołał się przy tym na ową notę z 16 stycznia, zarzucając naszej ambasadzie (tych zarzutów było więcej), że ośmiela się kwestionować suwerenność ZSSR w sprawach obywatelstwa osób, pochodzących z ziem wschodnich Polski, przyłączonych do ZSSR.

Osoba która mi to wszystko opowiadała, dodała na pocieszenie, że Sosnkowski już był w tej sprawie u Prezydenta i przedłożył mu cały plan natychmiastowej kontrakcji. Sosnkowski nazywa notę sowiecką z 16 stycznia — aneksyjną. Miał również żądać, aby rząd polski wziął go w obronę przed ustawicznymi atakami „Daily Worker’a”, który mu m.in. zarzuca, że patronuje tajnemu pismu „Wal-ka”. Prezydent podobno zaakceptował wszystkie sugestie generała. Chwalić Boga, że jest w Londynie Sosnkowski.

III

AKTOR ZA KOTARA

6 luty, sobota, 10 wieczór.

Znowu deszcz i wiatr. Taka jest ta tegoroczna, angielska zima. Na ogół wszystkie podobne są do siebie, ale w tym roku będzie chyba inaczej. Wydaje mi się, że ze wszystkim tak będzie. Ten rok będzie inny, jak się zapowiadał. Jedno jest tylko pewne — zbliży nas do końca wojny.

Ubawiłem się, czytając wiadomość, jak to sam sowiecki ambasador Majskij składał notę protestacyjną z powodu zeszpecenia biustu Lenina na Helford Square, w Finsbury. Niestety, zabawa trwała krótko. Moskale pchają się wciąż na Rostow, Kursk i Charków.

Cały gabinet włoski podał się do dymisji. Też *signum temporis*, zapowiadający zbliżanie się finału.

W dzisiejszym „Dzienniku Polskim” ukazał się mój artykuł pt. „Aktor za Kotarą”.

Nie mogłem odmówić sobie przyjemności napisania o dziesięcioleciu Hitlera. Ciekaw jestem, czy moja analiza sytuacji, bądź co bądź robiona na odległość, okaże się kiedyś słuszna. Co mi się rzadko zdarza, jestem z artykułu zadowolony. Do naszej urzędówki piszę od czasu do czasu. Tylko o sprawach niemieckich.

„Jak wyobrażał sobie Adolf Hitler 1 września 1939 r., gdy ruszał na Polskę — pytam w artykule — obchód dziesięciolecia swego panowania? Triumfalny miał to być obchód. U stóp tronu wodza zjed-

noczonej, wielkiej Germanii leżeć miały pobite i pobite narody. A w całych Niemczech, w dniu 30 stycznia 1943 r. rozbrzmiewać miał jeden potężny hymn wdzięczności i zwycięstwa „narodu panów” dla genialnego proroka i realizatora odwiecznie zaborczych ideałów narodu niemieckiego. Tymczasem rzeczywistość była zgoła inna. Ograniczono wszystko do mów Goeringa i Goebbelsa, do banalnych artykułów w prasie. Sam Adolf Hitler, pierwszy tenor współczesnej Germanii i jubilat, nie zjawił się na scenie, wymawiając się banałem patriotyczno-wojskowego obowiązku.

Co spowodowało tę decyzję? Czy pewność zwycięzcy, który wie, że może przesuwając terminy obchodów swego święta na chwilę, gdy miną przejściowe kłopoty, czy też przeczucie klęski i strach przed gniewem już zawiedzionego w swych nadziejach narodu, który w odpowiedzi na triumfalny obchód dziesięciolecia rządów Hitlera mógłby zareagować nieoczekiwanie?

Nie ulega wątpliwości, że Hitler stracił już dawno pewność zwycięzcy. O ile można sobie wyobrazić na odległość tę postać w styczniu 1943 r., gdy znajduje się w zamkniętym kręgu swych najbliższych towarzyszy partyjnych, musi ona robić wrażenie kompletnie wyczerpanego psychicznie histeryka, miotającego się po pokoju, wymyślającego, szukającego z maniackim uporem jakiegoś tricku, który — jak tylekroć — ułatwiłby mu wydostanie się z matni, w którą sam się wpędził. Ten genialny aktor, który zawrócił do reszty w głowie wielomilionowemu narodowi, aktor o duszy tchórza, drży teraz o swą skórę. Drży, by w miarę potęgujących się w Niemczech kłopotów, osoba jego nie stała się ceną, która mogłaby uchronić Niemcy od zupełnej katastrofy. Sam zbyt wielu spośród swoich towarzyszy zdradzał w życiu i zbyt wielu posyłał na śmierć, aby nie nękała go wszędzie wizja zdrady, aby jej znamion nie czytał nawet w oczach ludzi, którzy w dniu jego dziesięcioletniego jubileuszu wygłaszali na jego cześć hymny pochwalne, wynosząc pod niebiosa imię genialnego wodza narodu niemieckiego.

Działanie czterech ośrodków (stara i starsza generacja oficerów niemieckich, wielki kapitał i przemysł, zwłaszcza kościół katolicki oraz szara masa pracowników fizycznych) zdających sobie coraz lepiej sprawę z bezowocności dalszych wysiłków wojennych, jest z każdym dniem widoczniejsze. Krwawa rozprawa z nimi à la Röhm jest w dobie wojennej niemożliwa. Gdyby Hitler zdobył się na nią — wzmocniłby tylko ich działalność. Nie może ich jednak tolerować. Na tym polega tragiczny dylemat przed którym stoi dziś genialny aktor, pozer i wielki tchórz w jednej osobie. któremu, prócz klęsk wojennych, grozić zaczyna po raz pierwszy niebezpieczeństwo wewnętrzne.

W takiej chwili jedynym wyjściem, na jakie mógł się zdobyć 30 stycznia było ukrycie swego oblicza, na którym naród niemiecki z łatwością mógłby dostrzec znamiona najgroźniejsze dla wszystkich dyktatorów — bezradności, wahania i strachu”.

Po południu zaszedł do mnie pewien pan, zbliżony do Stronnictwa Narodowego. Mówił o konieczności zmiany rządu. Wypadki — dowodził — idą w zawrotnie szybkim tempie i wymagają wielkich decyzji. Koniec wojny może nas zaskoczyć. Ani Sikorski, ani jego najbliżsi, nie dorośli do sytuacji. Zmiana jest konieczna. Zmiana rządu, Rady Narodowej — wszystkiego.

Mamy wkrótce powrócić do tego tematu.

8 luty, poniedziałek o północy.

Stroński zapytał mnie nagle o „naprawiaczy”, nazywając jednego z nich moim przyjacielem. Odpowiedziałem: Chodzą na swoje zebrania, analizują sytuację, radzą, a ów przyjaciel nigdy moim przyjacielem nie był, choć rzeczywiście byliśmy razem w „Naprawie”. Zdaje mi się, że Stroński nie wierzy, bym naprawdę chodził w pojedynkę.

Grupa obecnych w Londynie naprawiaczy schodzi się rzeczywiście i radzi. Radzą z przyzwyczajenia. Przywykli do tego od czasów akademickich. Ba, od czasów szkolnych. Od czasów tajnego „Zetu” i „Petu”. W kraju „zetowcy” działają. Najczęściej słyszę o Bolesławie Srockim. Reda-

guje jedno z pism podziemnych. Ale to mu na pewno nie wystarcza. Ten wiecznie młody z usposobienia ideolog, z urodzenia wychowawca, na pewno całe godziny spędza na rozmowach przede wszystkim z młodymi. Wśród kilkunastoletnich chłopaków z „Petu” czuje się najlepiej.

Sowiecka „Prawda” przypomniała oświadczenie Stalina z listopada 1941 roku, że Rosja nie zamierza przyłączać niczych ziem, prócz rosyjskich. Po tym, co wiem, nie mam najmniejszych wątpliwości, że Stalin zalicza oczywiście do ziem rosyjskich nasze ziemie wschodnie i że chce sprawę ich przynależności załatwić teraz, bez odkładania jej do przyszłej konferencji pokojowej. Co za diabelna sytuacja. Kończą się Niemcy i natychmiast wyrasta przed nami niebezpieczeństwo sowieckie. Wojna 1914-1918 w porównaniu z obecną była błogosławioną.

9 luty, wtorek o północy.

Gdy rano wybierałem się do Londynu, zaczął się alarm. Trwał do 9-ej. Na Mill Hillu nie słychać było żadnych bombardowań, ani nawet artylerii przeciwlotniczej. W ministerstwie dowiedziałem się jednak, że walnęli w pociąg na przedmieściach południowego Londynu. I znów w szkoły. Tym razem, na szczęście, już puste.

Kursk zajęty. Chcą teraz okrążyć Niemców w basenie Donu.

Po zimnym dżdżystym dniu, zrobiło się pogodnie. Niebo szumi od ciągnących nad naszymi głowami samolotów.

Zirytował mnie mój przedwojenny znajomy, Amerykanin, Louis P. Lockner, kiedyś w Berlinie prezes „Verein der Ausländischen Presse”. Napisał książkę „What about Germany”, w której za bardzo rozczuła się „innymi Niemcami”. Lockner pisze: „Istnieją inne Niemcy. Istnieją Niemcy, które na razie są w ukryciu. Są bez głosu, gdyż odebrano im wszelką możliwość publicznego wypowiedzenia się. Są Niemcy, którzy tak samo namiętnie modlą się o wyzwolenie z niewoli nazistowskiej, jak modlą się o koniec Hitlera i jego reżymu wszyscy członkowie Narodów Zjednoczonych. Istnieją Niemcy, którzy wciąż przyznają się do normalnych, cywilizowanych ideałów równego i humanitarnego prawa dla wszystkich, szczerości i prawdy w

stosunkach pomiędzy ludźmi, współczucia dla uciskanych, słabych i chorych. Istnieją Niemcy zawstydzone i upokorzone tym, co naziści czynią w imieniu Niemiec. Twierdzenia te opierają się na bezsprzecznej, konkretnej znajomości rzeczy, lecz jest mi trudno poprzeć je dowodami”.

Są, oczywiście, są, lecz cóż z tego, że są ?

10 luty, środa, 8 wieczór.

Przed 5-tą po poł. gdy byłem jeszcze w Strattonie, zaczął się alarm. Obserwowałem ludzi. Wielu nawet nie ukrywa strachu. Widać, że z nerwami coraz gorzej.

Za chwilę idę na odprawę lokalnej obrony przeciwpożarnej. Nazywa się to *fire guard*. Mam dziś dyżur od 1 m. 30 do 3-ej. Najgorszy, bo w środku nocy.

12 luty, piątek, 1-sza po poł.

Nie spałem całą noc. Nie poszedłem do ministerstwa. Przed chwilą wróciłem ze spaceru. Silny, lecz ciepły wiatr. W dzień powszedni ulice Mill Hillu są zupełnie puste. Potęguje to jeszcze bardziej wrażenie wsi. Zapomina się zupełnie, że tak blisko jest wielomilionowy Londyn, przeobrażliwie szary, brzydki i ponury — jesienią i zimą.

Churchill wygłosił wczoraj mowę po Casablance. „News Chronicle” zaopatruje ją mocnym tytułem : *Are ready now for action*. A podtytuł brzmi : „Wszystko co jest w ludzkiej mocy zostało zrobione, by pomóc Sowietom”. Churchill mówił o 9 miesiącach, czyli, że jeszcze pod koniec roku Niemcy mogą być załatwione. W dziesięciolecie rządów Hitlera !

Czasu w każdym razie jest niewiele, by się namyślać nad sprawą przyszłości Polski. Tak. Tym razem wszystkie znaki, nie tylko na ziemi, lecz na usianym samolotami niebie, mówią, że czasu jest niewiele.

IV

W DYMIE KADZIDEŁ

13 luty, sobota, II m. 30 w nocy.

Pokazano mi w biurze numer, odbijanej marnie, na powielaczu „tajnej” dwustronnicowej „Walki”. Nawiązując do autoreklamowej wizyty Sikorskiego w Szkocji po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, pisemko wywala całą prawdę o styczniowej nocy sowieckiej, o rozmowie Nowikowa z Zawadowskim itd. Sikorski pieni się. Wezwał Strońskiego. A tymczasem „Walka” kursuje dalej z rąk do rąk.

Czego się pieni? Zaleca nam stale uczenie się demokracji od Anglików, a sam nie mówi społeczeństwu prawdy. Wciąż przed nim konspiruje. I blaguje. Blaguje dla podtrzymania swego dawno nadwątlonego prestiżu. Gdy zaś inni wypowiedzą za niego skrzętnie ukrywaną prawdę — pieni się i szaleje.

Szaleje, gdyż wie, że poglądy wyrażane przez „Walkę” stanowią odbicie nastrojów nie jakiejś małej, przypadkowej grupki, lecz pokrywają się z założeniami kilku tajnych zespołów organizacyjnych w wojsku. Sikorski musi przecież wiedzieć, że pracują one — w myśl przepisów oddanego mu generała Izydora — właśnie systemem „łańcuszkowym” i że są już nie tylko w lotnictwie, lecz również w broni pancernej, a nawet w piechocie. Podobno na wszystkich polskich okrętach wojennych istnieją zaprzysiężone koła junty. Cała „dwójka” lotnicza była do niedawna w jej ręku. Liczy junta setki członków, ma swe centrale,

które w jednym miejscu nazywają się „Tamizą”, gdzie indziej „Skorpionem” itp.

„Walka” — to organ Doboszyńskiego, z którym współpracują owe „Tamizy” i „Skorpiony”, kierowane przez Bujalskiego, Szarzyńskiego i Lechnickiego. Do junty Doboszyńskiego i junty wymienionych trzech lotników, dołączyć miała tajna junta oficerów sztabowych. A prócz tego nie próżnuje w wojsku młodzież Stronnictwa Narodowego, no i piłsudczycy.

Nie mam dawno wiadomości od siostry z Warszawy. Zaczynam się niepokoić.

14 luty, niedziela, o północy.

Po obiedzie byłem z żoną i Janeczką na długim spacerze. Szliśmy szeroką drogą, prowadzącą do dwóch pięknych parków, położonych w niedalekiej odległości od naszej ulicy. Pogoda zupełnie wiosenna.

Po południu przyszło trochę młodych, m.in. pewien podchorąży, który tukał się między Oflagami i Stalagami od Wiednia do Prus Wschodnich. Dopiero w maju roku ubiegłego uciekł do Francji, a z Francji przez Hiszpanię do Anglii. Twierdzi, że już w ubiegłym roku panowały w Niemczech nastroje pesymistyczne.

Nocuje u nas płk. Tadeusz Zieleniewski. Jeszcze raz opowiadał mi swą sprawę z Sikorskim, który zrobił z niego zdrajcę za rzekome oddanie we Francji 3-ciej dywizji — Niemcom. Zieleniewski twierdzi, że Sikorski domaga się aresztowania redaktora „Walki”.

Zebyż choć jeden człowiek w otoczeniu Sikorskiego miał sens w głowie. Pomyśleć tylko, że doradcami Sikorskiego są pp. Litauer i Retinger! Okadzają go, potęgują w nim próżność i dominującą nad wszystkim żądzę przesłonięcia sobą nieśmiertelnej legendy Piłsudskiego. Kadzą mu wszyscy. Opowiadał mi ktoś, że w sztuce tej celuje przyjaciel Sikorskiego — prof. Kot. Listy Kota, pisane z Moskwy do Sikorskiego, roją się podobno od samych superlatywów. Nic, tylko, jaki ty jesteś niezwykły, jaki masz mur wszędzie, jak cię Polacy w Rosji uwielbiają itd.

Polakom w Rosji nie dziwię się. Pewnie bym go też ubóstwiał, wyszedłszy z katorżnego łagru. Siedząc w nim

nie miałbym zielonego pojęcia, co się dzieje w Londynie. Nie ma o tym pojęcia Kraj. Ale „góra” krajowego podziemia już się podobno orientuje, że nie wszystko jest tutaj w porządku. W każdym razie wojskowi podziemia wiedzą o konflikcie Sikorskiego z Sosnkowskim.

16 luty, wtorek, godz. 11 m. 45 w nocy.

Księżycowa noc. Na dworze jest zupełnie jasno. Piękne są w Anglii te jasne noce. Mam dziś dyżur od 3-ej rano, więc ze spaniem będzie źle.

Charków już zajęty, a Zieleniewski dowodził mi przedwczoraj że będzie się bronił. Nasi wojskowi za często jakoś się mylą w sprawie frontu wschodniego. W bezstronnej ocenie sytuacji przeszkadzają im — pobożne życzenia. Trzeba przyznać, że my wszyscy na swój sposób żyjemy pobożnymi życzeniami. Bez tego pokarmu, dawno byśmy się wykończyli.

Nasi dygnitarze rządowi robią czasem wrażenie stukniętych. Stroński, gdy bardzo zresztą rzadko poruszam z nim „drażliwy” temat stosunków polsko-sowieckich, zagaduje dowcipasami. Wczoraj widziałem ministra Popiela. Miał minę skwaszoną i — jak zawsze spoglądał w okół spode łba. Widziałem również p. ministra Mikołajczyka. Jak zawsze miał minę pewną siebie i nadętą.

Dowiedziałem się o tajnym rozkazie Sikorskiego do wyższych wojskowych, w którym tłumaczy „arkana” swej polityki sowieckiej. Chciałbym się zapoznać z tym elaborem. W każdym razie znamienne, że go wydał. Czuje, że musi się tłumaczyć, że musi wojskowym coś powiedzieć. Nic mu to nie pomoże.

Junty już zawarły między sobą porozumienie i są w kontakcie ze wszystkimi stronnictwami opozycyjnymi. Zdecydowane są na wszystko, byleby nie dopuścić do dalszej uległości rządu Sikorskiego wobec Moskwy.

Tak, na dalszą metę nic Sikorskiemu nie pomoże. A najmniej kadzidła doradców z nieprawdziwego zdarzenia i — przyjaciół w rodzaju Kota. Jednostronne rządy Sikorskiego i popierających go „stronnictw” muszą się skończyć.

V

APEL DO PREZYDENTA

17 luty, środa wieczorem

W dzisiejszym „Dzienniku Polskim” ukazał się artykuł, zakończony następującym wnioskiem: „Polityka dotychczasowa rządu polskiego wobec Rosji dała rezultaty pozytywne, wszystkim dobrze znane, a żadnych szkód nie wyrządziła. Kontynuowanie tej polityki zatem w atmosferze spokoju i opanowania, a nie w atmosferze hysterii i megalomanii, jest podyktowane polską racją stanu”.

Nie wiadomo czy śmiać się z autorów tych wypocin czy też płakać. Wszystkim dobrze znane, pozytywne rezultaty! Układ lipcowy oznacza przecież nowy rozbiór Polski i wydaje miliony Polaków i nie Polaków z ziem wschodnich na pastwę totalnego i obcego tym milionom systemu.

Czy rząd Sikorskiego świadomie prowokuje społeczeństwo emigracyjne?

18 luty, czwartek, 10 rano.

Jestem w domu. Wczoraj na komisji niemieckiej ambasador Lipski zdawał sprawozdanie ze swego pobytu w Stanach Zjednoczonych, gdzie towarzyszył Sikorskiemu. Wynudziłem się. Wszystko ostrożne, okrągłe, utrzymane w urzędowo — optymistycznym tonie. Nie chciałem „uzupełniać” sprawozdania Lipskiego, bo nie mogę wsypywać moich informatorów. Słuchając sprawozdania, bawiłem się

przez cały czas myślą, co by było, gdybym powiedział prawdę. Wyobrażam sobie miny wszystkich obecnych, milczenie, bełkoty i — zamknięcie dyskusji na wniosek spryciarza Winiewicza. Ratowałby z głupiej sytuacji Lipskiego, z którym są w stałym i przyjaznym kontakcie.

Sympatyczny płk. Kijak, niezrażony upadkiem Charkowa, pociesza nas, że Niemcy jeszcze pokażą zęby.

II-ta w nocy.

W południe tak grzało słońce, że poszliśmy na daleki spacer. Przechodziliśmy uroczą uliczką, na której mieszkaliśmy do lata ubiegłego roku. Nazywa się Parkside.

Wieczorem zadzwonił Witek, z którym wzajemnie dzielimy się wszystkimi nowościami. Okazuje się, że wyszedł nowy numer „Walki” z listem otwartym Doboszyńskiego do Prezydenta.

Doboszyński pisze w „Walce” :

„Niech Pan stanie, Panie Prezydencie, na wysokości zadania i usunie rząd, prowadzący Polskę do zguby. Człowiekiem, który cieszy się zaufaniem ogółu Polaków, jest gen. Sosnkowski. Niech go Pan powoła do władzy, Panie Prezydencie. Ratujmy Polskę, pogrążaną coraz głębiej przez ludzi nieodpowiedzialnych. Poprą was polscy żołnierze i wszystko, co w narodzie jest uczciwe i ofiarne”.

W numerze ujawnione zostało nazwisko redaktora „Walki” Przetakiewicza. Pewnie z „Falangi” lub z O.N.R. Podoba mi się to wystąpienie. Szanuję zawsze męskie decyzje. Nie znam osobiście Doboszyńskiego. Byliśmy nawet w jednym czasie w Lizbonie, ale tak się złożyło, że go nie poznałem i dalej go nie znam. Wielu moich kolegów, którzy przed wojną wzdrygali się na sam dźwięk tego nazwiska, rozmawia teraz z Doboszyńskim i twierdzi, że „coś” ma w sobie, że jest bardzo inteligentny, że z dawnego skrajnego nacjonalisty (totalizm, antysemityzm i inne) niewiele pozostało. W każdym razie działa odważnie. Wolę to od konwentykli za szczelnie zamkniętymi drzwiami, na których padają gromkie słowa.

Akcja Doboszyńskiego oraz innych konspiracji zmierza wyraźnie do pozbycia się Sikorskiego. Największy ruch panuje bezwątpienia wśród lotników. Chcą się uwolnić od gen. Ujejskiego, swego szefa, oddanego Sikorskiemu. Ciekawe co będzie 22 lutego. W tym dniu ma się odbyć w ambasadzie sowieckiej przyjęcie. Ambasada przysłała 100 zaproszeń do hotelu „Rubens”, w którym urzędują nasze władze wojskowe. Konspiratorzy odgrają się, że spiorą każdego, kto pójdzie do sowieciarzy czcić 25-lecie istnienia Armii Czerwonej.

19 luty, piątek, 6 po poł.

Dzień zaczął się od gęstej mgły, potem zrobiło się słonecznie i wiosennie. Miałem różne sprawy do załatwienia w mieście m.in. odwiedziliśmy wspólnie z bratem pewnego oficera wywiadu brytyjskiego, który jeszcze niedawno nosił mundur polski. Nigdy nie wiem, ile jest prawdy w tym co mówi, a ile fantazji. Ale wie dużo. Nie znosi Sikorskiego, Kota, Retingera. Stale powtarza, że brytyjczycy nie biorą poważnie Sikorskiego. Prawią mu komplementy, bo wiedzą, że jest na nie czuły. Jest im przede wszystkim wygodny — do czasu.

Rozumiem podejście Brytyjczyków. Ich sprawa. Poznali się. Ale po co, u licha, tę samą taktykę stosuje Raczkiewicz? Tymczasem ów wielowiedzący wywiadowca brytyjski twierdzi, że po powrocie Sikorskiego z Waszyngtonu, właśnie na wniosek Prezydenta, zapadła uchwała Rady Ministrów, wyrażająca Sikorskiemu słowa uznania i wdzięczności. Nie rozumiem tej kurtuazji. Przecież Raczkiewicz, choć się z tym kryje, nie kocha Sikorskiego. Dałby na pewno wiele, aby jutro przestał być szefem rządu. Już raz próbował go się pozbyć. W lipcu 1940 roku.

I-sza w nocy.

Wieczorne radio polskie z Londynu nadało wiadomość, że w dniu dzisiejszym obradowała Rada Ministrów. Temat główny: sprawy polsko-sowieckie. Tak, jak znam to całe towarzystwo, jestem przekonany, że przede wszystkim de-

batowali nad sprawą... Doboszyńskiego. Ma być jutro aresztowany. No, no. Żeby się Sikorski nie przeliczył.

20 luty, sobota, 4 po poł.

Miał ktoś do nas przyjechać. W Londynie jednak gęsta mgła. Nie przyjedzie. Cieszę się, bo jakoś nie mam nastroju do gości, a chyba alarmu nie będzie. Jeśli jest nalot wołę gdy ktoś u nas nocuje. Żona czuje się wówczas spokojniej.

Rano w Strattonie rozmawiałem ze Strońskim. Nie miał zwykłego sobie, pogodnego uśmiechu. Niespokojnie latające oczy. Wypieki na twarzy. Jest wyraźnie podniecony, zdenerwowany. Pewnie tym nadzwyczajnym wydaniem „Walki” z listem Doboszyńskiego.

O 11-ej rano wybraliśmy się z Konradem Libickim (którego teraz częściej widuję) do gen. Romana Góreckiego. Słaba to indywidualność, ale jest potrzebny. Ma dużo czasu i podobno systematycznie, przynajmniej raz w tygodniu, widuje się z Prezydentem, i „szefem” czyli z gen. Sosnowskim. Libicki uważa, że list Doboszyńskiego jest biczem na wszystkich. Jego zdaniem „szef” będzie z listu niezadowolony, ale nie należy się tym przejmować. Wystąpienie Doboszyńskiego przygotowuje bez Sosnowskiego właściwą atmosferę, a to najważniejsze. List niewątpliwie przyspieszy kryzys rządowy.

Wizyta u Góreckiego trwała krótko. Podzielił mój pogląd, że należy jak najprędzej doprowadzić do współpracy socjalistów, endeków, piłsudczyków, oraz części ludowców. Chodzi, oczywiście, o socjalistów (jak Ciołkosz lub Pragier) i ludowców (jak Kuncewicz lub Nagórski), którzy ideowo nic wspólnego nie mają ze swymi kolegami, biorącymi udział w rządzie Sikorskiego. Jest to tym bardziej wskazane, że podobno w Kraju zarysowuje się taki sam układ polityczny. Postanowiliśmy z Libickim, że w najbliższą środę spotkamy się z kimś ze Stronnictwa Narodowego.

Powróciwszy do ministerstwa podesłałem do Pragiera jednego z mych znajomych, by wybadał, jak zareaguje na pomysł. Przyszedł zadowolony. Pragier zgadza się na rozmowy. O Sikorskim wyraża się jak o człowieku, którego rządy prowadzą do klęski. Swych towarzyszy-ministrów

Kwapińskiego i Stańczyka najchętniej usunąłby z rządu. O Sosnkowskim mówi pozytywnie. Jeśli chodzi o „ministerialne” nazwiska wymienia: Zaleskiego, Barańskiego, Wł. Neumanna. Pragier jest masonem. Z tego punktu widzenia należy oceniać jego kandydatów. Powoli wymieni co główniejszych „braciszków”.

W Tunisie i Bizercie bez zmian. W prasie zaczyna się robić coraz głośniej w sprawie „drugiego” frontu. Moskale narzekają bezczelnie, że wobec jego braku „cały ciężar wojny” spoczywa na ich bohaterskich barkach. A tym narzekaniom zdają się sekundować Mikołajczyki, Szczyrki, no i „Dziennik Polski”.

21 luty, niedziela w nocy.

Od soboty Doboszyński i Przetakiewicz siedzą pod klu-
czem. Podobno mają przeciwko nim „dowody” ciężkiego
kalibru. Podobno zaufani Sikorskiego wpadli na trop kon-
spiracji wojskowych... Wymienia się nazwisko jednego z
konspiratorów, który zdradził. Generał Sikorski, wsparty
przez ministrów: Mikołajczyka, Kwapińskiego i Stańczyka
(najostrzej gardlujących za represjami przeciwko opozycji)
— mocno więc sobie poczyną. Na tle aresztowania miało
podobno dojść do scysji pomiędzy prawą ręką Sikorskiego
— gen. Kukielem, a obrońcą Doboszyńskiego w Polsce,
adwokatem Szurlejem. Dwaj Adamowie z PPS: Ciołkosz
i Pragier, przemawiają językiem zdecydowanych opozycjo-
nistów. Nie liczą się zupełnie z tym, że przecież ich towa-
rzysze zasiadają w rządzie. Spotykam się z Pragierem w
najbliższych dniach. Z Bieleckim umówiłem się na jutro.
Ciekaw jestem, co o tym wszystkim sądzi Prezydent?
Może po zrywie 18 lipca 1940 roku myśli o nowym?

Coraz bardziej niepokoją nas postępy sowieckie i ros-
nąca, jak na drożdżach, pozycja Sowieców w obozie alianc-
kim. „News Chronicle” domaga się wyjaśnienia stosunków
polsko-sowieckich. Cóż za cudowna okazja, by je bez nie-
domowień wyjaśniła strona polska, zaczynając od mani-
festacyjnej dymisji gabinetu i całkowitej zmiany garnituru
ministrów. Co za efekt miałyby taka dymisja w W. Brytanii,
w Stanach, w zagrożonych krajach bałtyckich, w Turcji,
o którą tak zabiegają! Aliantom jeszcze na Polakach zależy.

Liczą skrzętnie każdą naszą jednostkę wojskową. Wszystkie są im potrzebne. Można byłoby przyprzeć sowieciarzy do muru w oparciu o przychylną nam opinię świata. Niemcy zmuszeni wypadkami, coraz więcej mówią i piszą o zagadnieniu polskim, To też woda na nasz młyn.

Tunis i Bizertę — zdaje się — Amerykanie spaskudzili. Byleby się na tym tle nie pożarli z Anglikami. Oni przecież nie bardzo się wzajemnie kochają.

23 luty, wtorek, 12 w nocy.

Więc trzech oficerów otrzymało od Sikorskiego rozkaz pójścia do ambasady sowieckiej : gen. Ujejski, płk. Bohuszewicz i jeszcze jakiś pułkownik. Ujejski i ów pułkownik poszli. Bohuszewicz natomiast odmówił wykonania rozkazu. Konspiratorzy zamierzają wysłać do Prezydenta list, żądający usunięcia Ujejskiego, twierdząc, że splamił mundur lotniczy. Będą się również domagali zdecydowanej linii politycznej w stosunku do Sowietów. Przemawiają coraz ostrzejszym językiem. Wiem, że z juntami kontaktuje Stronnictwo Narodowe, ONR, pilsudczycy, nie wyłączając naprawiaczy, oraz część socjalistów. Zapewne — Pragier.

24 luty, środa, po 9-ej wieczór.

Gdy wychodziłem rano było mroźno. Dachy białe. W godzinę później zrobił się piękny, wiosenny dzień. *A propos* wiosny. Dziś 46-ta strzeliła. Na prezent urodzinowy otrzymałem list od Gierata z Bliskiego Wschodu. Jaka szkoda, że go tu nie ma. Pojechał z gen. Paszkiewiczem do Andersa. Spośród naprawiaczy, a ściślej „zetowców”, którzy wskutek wypadków wojennych znaleźli się poza granicami kraju, lubię go chyba najbardziej. Inni, najbliżsi mi są, niestety, w Kraju.

Mój minister Stroński wciąż zachmurzony i wyraźnie zakłopotany. Mówią, że jego ubóstwiają — jak sam Sikorskiego nazywa — generał (broń Boże, nie generał !) jakoś ostatnio nie łaskaw na niego. Czuję, że Stronsio wmanewrował się w sieć wewnętrznych intryg, z których nie umie się wyplątać. Natomiast Sikorski, tak mocno reagujący na Do-

boszyńskiego, stara się nagle gadać ze wszystkimi. I co najznamienniejsze rzuca od czasu do czasu dziarskie słowa pod adresem Sowietów. Może czując, że traci wśród swoich grunt pod nogami (przede wszystkim w wojsku), gotów będzie zrobić jakąś nieoczekiwaną woltę?

Ma dużo kłopotów z tym listem w sprawie Ujejskiego. Krąży ponoć w odpisach po dywizjonach lotniczych. Pokazano mi go wreszcie. Ciekawy dokument. Przepisałem go sobie na wieczną rzecz pamiątkę.

„Czcigodny Panie Prezydencie! — zaczynają lotnicy. W dniu 22 lutego 1943 r. na przyjęciu w ambasadzie sowieckiej był obecny Dowódca Lotnictwa Polskiego. Wiadomo nam, że ostatnimi czasy rząd sowiecki oficjalnie oświadczył, że anektowane we wrześniu 1939 r. Ziemie Polskie uważa za integralną część Związku Sowieckiego, a mieszkańców tych ziem za obywateli sowieckich. Mówiące o tym noty rządu Z.S.S.R. skierowane do rządu polskiego, nie dadzą się inaczej rozumieć, niż jako akt rozbioru Polski. Jednocześnie w Rosji pozbawiono naszych rodaków wszelkiej pomocy i przystąpiono do wcielania ich do armii czerwonej. Wielu z nich wtrącono na powrót do straszliwych więzień i obozów, gdzie skazani są na niechybną śmierć z głodu i wyczerpania.

Fakt ten, ukrywany przed społeczeństwem polskim, zarówno w Kraju jak i na emigracji, jest faktem, którego historyczna waga jest zbyt wielka, by stosunek do niego mógł ograniczyć się wyłącznie do płaszczyzny stosunków dyplomatycznych. Fakt ten stawia cały Naród Polski w obliczu niewątpliwego zamachu na bezcenne wartości moralne i materialne, w imię których podjęliśmy obecną wojnę.

Nie są nam znane dostatecznie przyczyny dla których znajdujemy się jeszcze w stosunkach dyplomatycznych z Z.S.S.R., ale jakimikolwiek by te przyczyny nie były, jest dla nas rzeczą całkowicie niewątpliwą, że dziś obecność żołnierza polskiego w sowieckiej ambasadzie jest splamieniem munduru, który nosi. Jest dla nas rzeczą oczywistą, że żołnierz polski, który ściska dłoń katów swoich sióstr i braci, dłoń nieobeschłą z polskiej krwi, dłoń grabieżcy Pol-

skiej Ziemi, ten żołnierz hańbi mundur Rzeczypospolitej.

Panie Prezydencie ! Chwała munduru Lotnika Polskiego — to nie chwała kupiona frazesami i fanfarami. Ta chwała została kupiona życiem naszych serdecznych druhów, którzy na ruinach Ruhry, Bremy, Hamburga i wielu innych wrogich miast wypisali swą krwią Imię Polskiego Lotnika. Ta chwała została kupiona żołnierskim czynem obrońców Londynu, w tym czasie, kiedy losy świata leżały w rękach kilkuset lotników. Dziś mundur Lotnika Polskiego budzi szacunek nawet u wrogów, budzi szacunek na całym świecie. Ten szacunek kupiony za najwyższą cenę, za cenę świętą.

W imię czego cześć tego munduru została ciśnięta na szalę niegodną naszego Narodu ? W imię czego w grę zgubną, grę przypominającą żywo haniebne czasy rozbiorów, jest wciągnięte Imię Lotnika Polskiego ? Nam którzy znają wiele spraw tajonych przed naszymi walczącymi teraz Kolegami, nie wolno pozwolić, by sprawy za które oni umierają były przedmiotem gry i by chwała munduru, który noszą, była rozmieniana na uniżone gesty wobec tych, którzy na naszej Ojczyźnie dokonywują zbrodni nie mniejszej niż nasi oficjalni wrogowie.

List ten, Panie Prezydencie, piszemy w głębokim przeświadczeniu, że stała się Lotnictwu Polskiemu wielka moralna krzywda, za którą Lotnictwo Polskie winno otrzymać całkowite i rychłe zadośćuczynienie. Tego zadośćuczynienia Lotnictwo Polskie oczekuje od Pana, Panie Prezydencie, jako od Najwyższego Zwierzchnika Sił Zbrojnych, podobnie jak Naród Polski oczekuje od Pana, panie Prezydencie, jako od piastuna legalnej władzy Rzeczypospolitej — decyzji, które byłyby godne Polski.

Zdajemy sobie sprawę, że pisząc ten list stajemy w kolizji z wojskowym regulaminem, ale ponad formalne nakazy istnieje dla nas prawo, które jest ponad wszystko święte, a prawem tym jest służba Bogu i Ojczyźnie, a Honorowi wierność. My żołnierze będziemy zawsze wierni tylko i wyłącznie Polsce, której majestat i niczym nieumniejszona konstytucyjna wła-

dza, spoczywa w rękach Pana Prezydenta. Niech Bóg Wszechmocny da Ci, Dostojny Panie Prezydencie, moc i niezłomność decyzji w tej tragicznej chwili dziejów. Londyn, luty 1943''.

Ciekawy dokument. O co błagają ci młodzi, podpisani pod listem lotnicy? O moc i niezłomność decyzji. Ciekawe, jak Prezydent zareagował na list. Wiem, że był nim poruszony, a teraz nieustannie konsultuje różne osobistości ze świata politycznego. Osoba „bliska Prezydenta” rozmawiała nawet z niepokojąco ruchliwym, nienawidzącym Sikorskiego, redaktorem E. Puaczem.

O 5-ej byłem u Bieleckiego. Jest zawsze ze mną koleżeński i, jak się nieraz o tym mogłem przekonać, szczery. Utrzymuje kontakt z Rączkiewiczem i Sosnkowskim. Powiedział parę szczegółów o wewnętrznych stosunkach w kołach rządowych, których nie znałem. Bielecki zgadza się na mój pomysł, obawia się tylko, że będzie mógł mieć u siebie jakieś opory z powodu socjalistów. Wypytywał o „Zespół Piłsudczyków”, o „lepszych” ludowców (Tarnowski, Kuncewicz, Nagórski), o to wreszcie, jak sobie wyobrażam „metodę” działania. Byłem przekonany, że zada mi to pytanie. Bielecki, jako doskonały taktik, lubi rozmowy o metodach działania.

Powtórzyłem swoje, że najpierw powinny całkowicie dogadać się trzy grupy: socjaliści, endecy, piłsudczycy, a potem zaprosić „lepszych ludowców”. Zgodził się, lecz w jakim stopniu sam się uaktywni tego oczywiście nie wiem. Zastanawiam się, czy nie pójść do Rączkiewicza, choć sądzę, że go dostatecznie informuje Górecki, Helczyński i inni.

25 luty, czwartek, 12 m. 15 w nocy.

Jakoś trochę pogodniej na duszy. W Tunisie Niemcy więcej, lecz za to na froncie sowieckim wzrasta jakby opór niemiecki. Hitler wydał orędzie, w którym m.in. oświadczył, że zmusi Europę do walki z Sowietami. Kogo? Francuzów, Włochów, Hiszpanów? Tych przecież ma za sobą. Stalin natomiast oświadcza w rocznicę 25-lecia Armii Czerwonej, że armia ta zawsze szanowała prawo do niepodległości in-

nych narodów i nie ma zamiaru podbijania cudzych krajów. Słowa, wszystko słowa. W dzisiejszych czasach słowa nie znaczą.

Ciekawsze jest nieoczekiwane oświadczenie rządu w którym m.in. stwierdza się, „że w sprawach granic między Polską a Rosją Sowiecką, obowiązuje status sprzed 1 września 1939 r. i podważanie tego stanowiska, zgodnego również z Kartą Atlantycką, rząd uważa za szkodliwe dla jedności sprzymierzonych”.

Co spowodowało wydanie deklaracji? Zdaje się, że po prostu strach przed wzburzonymi nastrojami społeczeństwa polskiego. Jakikolwiek są powody, treść deklaracji wygląda na spóźnioną próbę jednostronnej interpretacji fatalnego układu polsko-sowieckiego z lipca 1941 roku. Po tej deklaracji rząd Sikorskiego powinien uderzyć się w piersi i — ustąpić.

Jestem przekonany, że nie ustąpi. Z jednej strony będzie się starał uspokoić opinię dziarskimi, lecz pozbawionymi realnego znaczenia deklaracjami w rodzaju dzisiejszej, a z drugiej słać będzie depesze gratulacyjne do Stalina z powodu 25-lecia Czerwonej Armii i wysyłać oficerów na sowieckie galówki.

27 luty, sobota, i w nocy.

Sikorski próbuje jednak „usztynić się” wobec Sowietów. Stąd wczorajsze oświadczenie rządu. „Daily Herald” pisze, że „nie zamyka ono drogi do kompromisu”. Ten komentarz, jak twierdzą wtajemniczeni, jest dziełem nieocenionego Retingera, zwanego popularnie — Rociem.

Usilnie kolportują pogłoski, że Sikorski — „zmienia kurs”. Ciekawe co to oznacza. Znamienne w każdym razie, że te pogłoski zbiegają się z innymi. Dotyczą one Strońskiego. Sikorski ma być z niego niezadowolony. Dlaczego właśnie z niego, najwierniejszego wśród najwierniejszych?

Nie brakuje i takich, którzy twierdzą, że ta rzekoma „zmiana kursu” została po cichu uzgodniona z Edénem. Byłoby to bardzo pocieszające, ale, niestety, nie chce mi się w to wierzyć. Zbyt się Anglicy wieszają codziennie na sowieckiej szyi. Optymiści dopatrują się nawet w akcji w Tunisie antysowieckiego manewru wojenno-politycznego

aliantów. Jedno jest pewne, że sprawa stosunków polsko-sowieckich zaczyna znowu chodzić po prasie angielskiej. Stalin rozmawiał z polskim ambasadorem i inne tym podobne wzmianki.

Ale przeważnie arcyniemile. Ostatnio prasa angielska przytoczyła opinię osławionego Korniejczuka, który powiedział, że tylko „beznadziejny głupiec” może w to uwierzyć, by ludność Lwowa i „zachodniej Ukrainy” czekała na powrót rządów polskich. A „Dziennik Polski” udaje durnia i kwituje te wypowiedzi męża Wandy Wasilewskiej, jako prywatne opinie niejakiego pana Korniejczuka, który „dąży do zaboru ziem wschodnich”... Gdy powiedziałem redaktorowi „Dziennika”, co sądzę o takich komentarzach, uśmiechnął się nijako, wrzucił ramionami i — rozłożył bezradnie ręce.

Niemcy były nieprzerwanie bombardowane w ciągu 36 godzin.

Dziś pierwszy raz poszedłem na zebranie „Zespołu Piłsudczyków”. Zespół zaiste, samych zdetronizowanych wielkości. Między innymi: ex-premier Kościalkowski, ex-wojewoda i minister Grażyński, ex-wojewoda Hauke-Nowak, ex-prezes Trybunału Administracyjnego Hełczyński, ex-minister taki a taki. Poniżej dyrektora trudno było kogoś dostrzec. Wielhorski mówił ciekawie o dobrze mi znanej kwestii litewskiej.

Nie lubię atmosfery samych zdetronizowanych.

I marzec, poniedziałek, II w nocy

Wczoraj po południu odwiedził nas gen. L. Rayski. Nocował i dziś rano wyjechał. Za dwa, trzy dni wraca na Bliski Wschód. Znowu mam pełne uszy opowiadań o tych naszych rozkosznych rządach. Czasem chciałoby się przez cały dzień chodzić z watą w uszach.

W domu teraz wszyscy śpią. Noc jest ciepła, znowu wiosenna. Niebo wygwieżdżone. Nie słychać szumu samolotów, choć — jak wynika z komunikatów — samoloty muszą lecieć nieprzerwanie na zachodnie Niemcy i na okupowaną Francję. Wczoraj spuścili na St. Nazaire tylko jeden milion kilogramów bomb! Na Niemiaszkach musi cierpnąć skóra.

26 lutego ambasador T. Romer został rzeczywiście przyjęty na Kremlu przez Stalina.

Byłem z żoną i Janeczką w kinie. Oglądaliśmy sowiecki reportaż spod Stalingradu. Bardzo ciekawe. Raczej antypatyczna sylwetka typowego junkra gen. von Daniela i filmowo piękna, zewnętrznie szlachetna, postać feldmarszałka von Paulusa. Tłumy jeńców niemieckich. VI-ta armia. Ta sama, która zdobyła Warszawę. Dziwne miałem uczucie, oglądając kulturalne twarze generałów i oficerów niemieckich. Ileż podobieństwa z Anglikami! Anglicy muszą to odczuwać, porównując twarze niemieckie i sowieckie. Ale na zewnątrz wcale tego nie widać. Przeciwnie. Gorące oklaski na cześć Stalina. Są także oklaski zamówione. Przede mną siedział młodzian o rysach semickich, który nie bił, lecz walił histerycznie w dłonie na widok sowieckiego dyktatora.

Zdaje mi się, że permanentne ofensywy powietrzne na Niemcy i na Francję, zapowiadają zbliżanie się drugiego frontu w Europie. Wisi to jakby w powietrzu tegorocznej wiosny, która — jak obliczają — zjawia się o całe 23 dni wcześniej, niż ma to zwyczaj czynić w Anglii. Lecz wisi w tym powietrzu również wielki nasz dramat. Jaki? Na razie jeden: ziemie wschodnie. Ogarnia nas depresja, gdy wracamy do tego tematu i szczerze o nim między sobą mówimy.

Co naprawdę myśli o tym nasz premier i wódz naczelny? Jest to przecież człowiek inteligentny i zdolny. Opowiadał mi w Lizbonie Miedziński, że Piłsudski wysoko cenił jego zalety umysłu. W pierwszych latach po wojnie polsko-rosyjskiej nosił się z zamiarem oparcia swych rządów na dwóch ludziach: Sosnkowski miał być naczelnym wodzem, Sikorski żelaznym premierem. Lecz zawsze brakowało Sikorskiemu charakteru. Tak samo jest i dziś. Ludzi się więc, że jakoś się przez wszystko przemanewruje, to znaczy przemanewruje swą osobę, gubiąc po drodze jak najmniej dostrzegalnie, sprawy kapitalnej wagi dla Polski. Ten system już wydaje fatalne skutki, nie tylko dla sprawy, lecz i dla niego. Nikt mu nie wierzy. Nie ma do niego zaufania, ani wojsko tu, ani wojsko, którym dowodzi generał Anders. Przecież w listach do Raczkiewicza i do Sikorskiego Anders miał się domagać ustąpienia rządu. Na co więc i na kogo Sikorski liczy?

Podobno powstał już komitet porozumiewawczy tajnych organizacji wojskowych, współpracujących ze stronnictwami opozycyjnymi. Wciąż powtarzają się te same nazwiska głównych przywódców: Bujalski, Szarzyński, Doboszyński, Utnik, Kamiński, Harusewicz, Grocholski. Komitet odbywa rzekomo stałe zebrania.

Goebbels jest niezadowolony ze swych Niemiaszków. Napisał to wyraźnie w tygodniku „Das Reich” 29 listopada ub.r. „Es geht um Leben oder Tod” — chodzi o życie lub śmierć. Zarzuca swemu narodowi — że politycznie jest wciąż niedojrzały.

Cóż — zdaniem jego — ma robić naród niemiecki? Zerwać z „falszywym obiektywizmem”, walczyć z fanatyczną namiętnością, na nienawiść odpowiadać nienawiścią, a zasadę sprawiedliwości stosować wyłącznie tylko do własnego narodu. *Gerechtigkeit kennen wir nur unserem eigenem Volke gegenueber. Dem Feind jedoch gebuehrt unser Hass und unsere Vernichtungswille.*

„Goebbels jest więc niezadowolony ze swych współrodaków. Zarzuca im brak temperamentu politycznego, obiektywizm, choć wie, że nie o to naprawdę chodzi. Dostrzega on w narodzie bezmyślnych i karnych żołdaków, objawy zmęczenia i zupełnego braku wiary w zwycięstwo. Komedia wiecowych plebiscytów, zapoczątkowana przez Goebbelsa 18 lutego w Sportpalastcie, akceptująca posłuszenie wszystkie żądania, kierowane do narodu niemieckiego przez wodzów partyjnych, została przez Goebbelsa pomyślana, jako jeden z zastrzyków, pobudzających zmęczony naród do dalszych wysiłków. Na pewno jednak co najwyżej chwilowy rezultat tej komedii, nie odrodzi w wodzach hitleryzmu zachwianej wiary we własny naród”.

Tymi zdaniem zakończyłem swój artykuł pt. „Gdy wodzowie tracą wiarę...” Ukazał się w dzisiejszym „Dzienniku”.

Za to nasi rządowi wodzowie nie tracą wiary — w siebie. Mimo powszechnego niezadowolenia, które ich otacza, mimo wystąpienia Doboszyńskiego... Raczkiewicz świadom jest tych nastrojów. Czy wyciągnie z nich konsekwencje? Czy „powoła do władzy” Sosnkowskiego?

VI

CZŁOWIEK CIESZĄCY SIĘ ZAUFANIEM OGÓŁU

2 marca wtorek, 3 m. 30 po południu

Anglicy odkrywają bezceremonialnie karty. W rozmowach z naszymi mężami stanu (lekka przesada z tą nomenklaturą) robią to właściwie już od dawna. Ale działa się to dotąd na kilku osobowych śniadaniach (którym asystował nieodzowny akuszer sprawy polskiej Retinger) lub w czasie wizyt, składanych w Foreign Office — Edenowi czy Churchillowi. Teraz zdyscyplinowana prasa angielska czyni z naszych spraw żywotnych, ze sprawy Polski, kwestię, w której ostatnie słowo ma mieć — Rosja. Oszaleć można.

Gdybyż ci Niemcy... Chciałem coś napisać i zamiast tego ograniczam się do kilku epitetów: polityczni głupcy, dranie, mordercy.

Berlin był w nocy mocno bombardowany. Prasa twierdzi, że Londyn takiego nalotu nigdy dotąd nie przeżywał. 19 maszyn brytyjskich nie powróciło do swych baz.

12 w nocy

Witek przeczytał mi przez telefon list otwarty Sosnowskiego (z 23 lutego) do Bieleckiego, ogłoszony w „Wiadomościach”. Wiedziałem, że będzie, ale do ostatka obawiałem się, że coś może nie wystrzelić. Wolałbym rzecz prosta, aby pierwsze publiczne wystąpienie generała od

czasu gdy został przez Sikorskiego usunięty od wszystkiego, było zrobione z innej okazji. Ale tym razem inaczej nie mógł. List Doboszyńskiego był wołaniem o Sosnkowskiego. Musiał odpowiedzieć i musiał wyjaśnić, że wystąpienie Doboszyńskiego była dla niego zupełną niespodzianką. Na pewno różne Mikołajczyki w to nie uwierzą. Mniejsza o nich. Faktem jest, że myśl o apelu Doboszyńskiego do generała (którego nb. Sosnkowski może ze dwa razy widział w czasach emigracyjnych) zrodziła się poza nim i bez jego wiedzy. Rzekomo w Szkocji, w czasie intymnych rozmów kilku oenerowców czy falangistów z piłsudczykami.

List jest krótki, stanowczy, mocny. I dobrze, że zaadresował go do Bieleckiego. Bielecki i Doboszyński — to ideologicznie jedno i to samo. Szkoda, że się wzajemnie nie lubią. Może Sosnkowski pogodzi ich kiedyś.

Mackiewicz, którego dziś spotkałem, sapie z zachwytem. Dowodzi, że list Sosnkowskiego do Bieleckiego oznacza zasypywanie przepaści, dzielącej w przeszłości piłsudczyków od narodowców. Powtarzał mi w kółko, że jest to „oś” w okół której należy odtworzyć teraz prawdziwą jedność narodową.

Podobno Doboszyńskiego już zwolniono z aresztu. Sikorski woli widać nie przeciągać struny. To się zresztą wkrótce okaże. Na razie w wojsku, a zwłaszcza w lotnictwie nastroje wzburzenia nie opadły ani trochę.

Jeden z lotników opowiadał mi dziś o reakcji Prezydenta na list w sprawie ambasady sowieckiej. Był rzeczywiście sprawą poruszony. Podobno Sikorski chciał list zobaczyć, gdyż chodziło mu o podpisy, ale Raczkiewicz się wykręcił. Generał Ujejski wezwał do siebie dwóch oficerów lotnictwa, których mu zapewne wskazano, jako głównych inspiratorów całego wystąpienia, mianowicie — kpt. Bujalskiego i por. Sępa-Szarzyńskiego. Między Ujejskim i Bujalskim miał się odbyć następujący dialog. Ujejski zapytał Bujalskiego, czy może mu powiedzieć, kto, prócz niego, jeszcze list podpisał, Bujalski na to: „Odpowiedzieć mogę, lecz nie chcę”. Sępa zapytał Ujejski, czy wie o liście i czy wie, kto go podpisał. Odpowiedź brzmiała: „Wiem kto podpisał, ja też podpisywałem, lecz więcej nie powiem”.

Wynika z tego, że Ujejski jest tylko w posiadaniu odpisów krążącego listu, lecz nie zna oryginału z podpisami.

3 marca, środa, ok. 1-ej w nocy.

Wichura za oknami. Gwiazdziste niebo. Nie słycać szumu samolotów. Może głuży go wiatr. Dolatują tylko miarowe odgłosy przebiegających pociągów. Niedaleko od willi w której mieszkamy są tory kolejowe.

Przed kilku godzinami mieliśmy emocję. Niemcy dali Londynowi odpowiedź za Berlin. Trwało to od 8 do 9 m. 45. Gdy się nalot zaczynał byłem na stacji w Hendon, skąd autobusem 113 dojeżdżam na Mill Hill. Autobus normalnie jedzie kilka minut. W Hendon czekaliśmy niemal pół godziny, na jego nadejście, słuchając artylerii przeciwniczej i huku bomb. Rosnący ogon czekających denerwował się coraz bardziej. Wreszcie nadciągnął autobus. Włókł się dalej natłoczony. Kilku mężczyzn dla dodania sobie i innym animuszu pogwizdywało wesoło. Reszta siedziała w milczeniu. Na ciemnym horyzoncie nieba widać było żółtawe łuny pożarów. Czuć było w ludziach strach. Nastrój był tak nieprzyjemny, że nie mogłem się doczekać dojazdu do mego przystanku — Apex Corner. Od przystanku do domu mam tylko 3 minuty.

Gdy wygramoliłem się wreszcie z autobusu, kanonada wzbiwała na sile. Nieprzerwane huki, bliższe i dalsze, rozdzierały powietrze. Biegłem do domu, bo wiedziałem, że żona i Janka są same. Ucieszyły się na mój widok. We trójkę stanęliśmy w zagłębieniu pod schodami, prowadzącymi na pierwsze piętro. To podobno — jak twierdzą fachowcy — w takich domach jednopiętrowych najlepsze miejsce. Huki szalały dookoła. Po 9-ej zjawił się Majewski. Omal nie rzuciłem mu się na szyję. Żona była zupełnie wykończona nalotem. Szczęśliwie wszystko skończyło się przed 10-tą. Na samym Mill Hillu chyba nie padła żadna bomba.

4 marca, czwartek.

O 5-ej po poł. spotkaliśmy się razem z Bieleckim i Góreckim. Interesująca pogawędka. Nie ma różnicy w ocenie sytuacji. Zmiany są konieczne. Nie bardzo tylko mogę zrozumieć o co chodzi Bieleckiemu. Z jednej strony jest zwolennikiem spotkania przedstawicieli trzech stronnictw, z drugiej twierdzi jednak, że nie należy... „przyspieszać wy-

padków". Na temat socjalistów zdążył mi szepnąć, że bardzo ponoć im zależy na tym spotkaniu. Nie chcą wypaść z gry. Dalibóg nie wiem, o co chodzi! To dla mnie za skomplikowane. Górecki znowu szepnął mi, że nie wszyscy piłsudczycy są zadowoleni z listu Sosnkowskiego, a zwłaszcza — z adresu. Domyślam się jacy. Może Łukasiewicz i inni. Tego samego, co Pragier, masonskiego gatunku. O ile wiem, Sosnkowski mało się tym przejmuje. I słusznie.

Około 7-ej spotkałem się w Automobilklubie z Pragierem. Istotnie, brzydko się wyraża o Sikorskim. Nie pragnie rozbicia PPS, ale nie chce widzieć Kwapińskiego w roli przywódcy partii. List Sosnkowskiego uważa za niefortunny. Należy — powiada — być ostrożnym z „faszystowskimi” nazwiskami. Rozmawialiśmy o ewentualnym gabinecie. Wysuwa na premiera same „szkockie” (masonskie) nazwiska: Zaleski, Nagórski, Tomaszewski. W gabinecie widziałby, oczywiście, siebie i Ciołkosza. Z endecków mec. A. Demideckiego, prof. Folkierskiego, z piłsudczyków Łukasiewicza i Góreckiego, poza tym — nie wiem dlaczego — ks. Kaczyńskiego. O Grażyńskim nie chce słyszeć. Naczelnym Wódcą — Sosnkowski. Nie wie jeszcze „drobiazgu”, w jaki sposób należałoby „załatwić z honorami” — Sikorskiego.

Zgodziliśmy się, że pierwsze zebranie trzech stronnictw nie powinno liczyć więcej, jak 6 osób. Po dwie z każdego stronnictwa.

5 marzec, piątek, 6 po południu.

Jestem zmęczony po nieprzespanej nocy. Anglicy walili piekielnie z dział przeciwlotniczych, choć nalot był słaby.

Rząd ma nadzieję, że sprawa Doboszyńskiego rozejdzie się po kościach. Na pewno będą odpowiadali Sosnkowskiemu. Stroński ostrzy już pióro, by bronić mężnie okopów swego ubóstwianego „jenerała”.

Moskale wzięli Rżew.

Na deklarację naszego rządu z 26 lutego sowieciarze odpowiedzieli bezczelnie. Oczywiście, anektują nasze zie-

mie wschodnie. Czy rząd będzie w stanie bujać dalej opinię, że wszystko jest w porządku, a Sikorski chwalić się swym wiekopomnym wyczynem w postaci układu lipcowego z Sowiecami? Taktyka przemilczania prawdy i okłamywania społeczeństwa wzięła w łeb.

12 m. 30 w nocy.

Ciekawy przyczynek do nerwowego wyczerpania tak przysłowiowo opanowanych Anglików. Oto w czasie ostatniego nalotu w pewnym londyńskim schronie wybuchła panika. 168 osób zmarło wskutek uduszenia. I Anglicy tracą nerwy. Nie tylko my.

6 marca, sobota, 12 w południe.

Wczoraj o 6-ej po poł. z inicjatywy redakcji organu Stronnictwa Narodowego „Myśli Polskiej”, Bielecki wygłosił godzinne przemówienie na temat sytuacji międzynarodowej. Najwidoczniej nie chciał pesymizować, więc unikał postawienia kropki nad i. Rząd atakował bardzo silnie, choć nie demagogicznie. W miarę złośliwie, w miarę dowcipnie. Jak to zawsze Bielecki. — Ameryki nie odkrywał, lecz wszystko miało swój sens. Zrobił ukłon w stronę „socjalistów z charakterem”. W sprawie żydowskiej ulżył sobie, atakując pp. A. Słonimskiego i J. Szapirę — także dwie podpory Sikorskiego. Taktownie nie wspomniał o liście Sosnkowskiego. Na zakończenie poruszył myśl zjednoczenia — od dołu. Sala była nabita. Wielu wojskowych, wielu urzędników. Jeszcze jedno potwierdzenie, że 99 % ludzi ma dosyć tych niepoważnych rządów.

7 marca, niedziela, 1 m. 15 w nocy.

Przed chwilą odwołali krótki alarm. Jeszcze nie spałem. Zeszedłem z żoną i Janeczką na dół. Teraz pewnie obie śpią. Wyszedłem na chwilę przed dom. Niebo gwiaździste i czarne, jak węgiel. Lubię tę kombinację.

8 marca, *poniedziałek, po 1-ej w nocy.*

Już od kilkunastu minut niebo drży od metalicznych, miarowych, głośnych szumów. Dokąd te bombowce lecą? Na Francję, Niemcy, Belgię, Holandię?

Przeczytałem odpowiedzi Strońskiego i Grabskiego na list Sosnkowskiego. Nie powinien im odpowiadać. Stroński zaczął mi coś w związku ze swą polemiką klarować, ale nie słuchałem.

Widziałem przelotnie Bieleckiego. Nie odnoszę jeszcze wrażenia, by się śpieszył. Jeżeli będą robili w takim tempie, Sikorski może spać spokojnie. Ma zapewnione dożywocie. Tymczasem zawiesza ordery Virtuti Militari na piersiach lotników. Mimo to nie mógłby wśród nich liczyć na dożywocie. Nie lubią go.

Jutro skończymy z Jedlickim drugi akt „Drugiej Wyspy”. Wpadłem z tą robotą. Jedlicki zwariował. Zdaje mi się, że pisanie sztuki, to coś w rodzaju pisania książki naukowej. Narzuca swe pomysły i nudne, szablonowe sytuacje. A gdy się buntuję, błaga abym trwał do końca. Ponieważ go lubię, więc ulegam. Zajmuje to dużo czasu. Nie raz zasypiam, gdy Marian w zapale rozwija projekt jakiejś nawet dobrej, lecz banalnie podanej sytuacji. Zobaczymy, co o tym powie tłumacz — inteligentny Anglik Stevens.

9 marca, *wtorek, 1 m. 20 w nocy.*

Podobno dziś po południu był alarm. Nie słyszałem. Jechałem podziemną.

Straszny jest ten rządowy grajdołek. Te polemiki! Ten kąśliwy Stroński! A jak był słodki w Paryżu i długo potem dla Sosnkowskiego! Teraz w urzędowym „Dzienniku Polskim” dowodzi, że myśl Doboszyńskiego, by Sosnkowski stanął na czele rządu dawno „wpadła w wodę”, że sam Sosnkowski ją teraz z tej wody wyławia, że się chwali w swoim liście, iż zawsze był „człowiekiem chwili” — krótko mówiąc, że się pcha na czołowe stanowiska. Boże Święty! Sosnkowski i pcha się! Jeżeli można mu robić jakiś zarzut, to właśnie ten, że nigdy nie umiał się pchać, że nie pchał się po śmierci Marszałka,

kiedy w opinii całego kraju (nie wyłączając ówczesnej opozycji) on właśnie, a nie Rydz-Śmigły, uważany był za następcę Józefa Piłsudskiego. Stroński nazywa list Sosnkowskiego „niebysławem”, ponieważ Sosnkowski „opiera się” na liście Doboszyńskiego, w którym tenże rzuca hasło „zerwania stosunków z Rosją, bez oglądania się na sprzymierzonych z W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi na czele”. Stroński twierdzi że sprzymierzeni są bardzo „rzetelni” w stosunku do nas...

A co wypisuje ten stary, jurny warchoł, prezes Rady Narodowej, przedwojenny niemal-ozonowiec Stanisław Grabski! Dalsze występy obrońców rządu już są zapowiedziane. Wszystko będzie piętnowało, czy, jakby powiedział Stroński, przypieczętowywało spółkę „sanacji” z ende-kami, wołając za Strońskim: „Oto ich polityka!”

Cała ta polemika nie ma żadnego poziomu. Jaki może mieć poziom? Cóż bowiem może wymyślić radzący w permanencji nad sytuacją komitet przedstawicieli czterech stronnictw, wchodzących do rządu? Co nazwisko — to luminarz! Kwapiński w roli głównego przedstawiciela PPS! Seyda, ciężko myślący rzemieślnik-polityk, szef kilkoosobowej frondy ze Stronnictwa Narodowego. Wycwaniiony Popiel, przedstawiciel papierowego Stronnictwa Pracy i wreszcie — analfabeta polityczny, napchany przedwojennymi urazami — Mikołajczyk. Wszyscy ci panowie oczekują podobno na przyjazd Kota. Bo, mimo groźnych tonów polemicznych, myślą ze strachem o przyszłości. Kot w roli wybawcy! Oto obraz rządowego grajdołka.

Jedlicki, który często jeździ z wykładami do wojska, twierdzi, że wojsko oczekuje zmian w rządzie, ale — jeśli nie miałyby nastąpić — żadnych awantur nie będzie. Inni mówią, że skandale w wojsku wiszą w powietrzu. Nastroje wśród wojskowych najbardziej niepokoją Anglików. Rzekomo sami sugerowali Sikorskiemu, że dobrze byłoby gdyby na przykład niezbyt popularny w wojsku Stroński udał się na dłuższy urlop...

A na zakończenie dzisiejszych notatek — Ciołkosz. Zaszedł do Witka. Przybity. Pesymista. Zdaniem jego klamka w sprawie ziem wschodnich zapadła definitywnie. A Labour Party? Naturalnie, oczywiście, są za niepodległością Polski, lecz... Dalszego ciągu nie słuchałem.

Jutro zadzwonię do Pragiera i Bieleckiego. Niech ich
lichy z takim tempem. Angielskie żółwie. A cóż na to
wszystko Raczkiewicz? Chyba pójdę do niego.

10 marca, środa, 12 m. 15 w nocy.

Cały dzień spędziłem na Mill Hillu, przyjemnie od-
cięty od Londynu. To tak blisko, a równocześnie tak da-
leko. Można się zupełnie odizolować. Dopiero wieczorem
zadzwonił Witek. Powiedział mi o artykule w „Times’ie”
z tezą, że granica bezpieczeństwa Rosji leży... nad Odrą.
Co to znaczy? Co to dla nas znaczy? Co się za tą tezą
kryje?

Druga wiadomość z innej beczki. Dziś wrócił do Lon-
dynu „wybawca” rządu — prof. Stanisław Kot.

12 marca, piątek 3 m. 15 po poł.

Chłodnawy, piękny dzień wiosenny. Podobno od 50
lat nie mieli Anglicy tak łagodnej zimy.

Rano przed 8-mą, zbudził nas alarm. Trwał krótko.
O 11-ej pojechałem do Bieleckiego. Mieszka blisko od nas,
na Hampstead. Pytałem go czemu zwleka. On na to, że
musi odłożyć decyzję do wtorku. Powtarzał z naciskiem,
że — musi. W czasie week-endu będzie na pewno gadał
z socjałami. Był raczej w minorowym nastroju. Rozumie
na pewno wszystko, lecz wciąż jeszcze chce sobie „coś”
wyjaśniać. Może ma jakie wewnętrzne opory? Zasypy-
wałem mnie pytaniami. Co myślę o Sosnkowskim w roli pre-
miera. Odpowiedziałem, że tego stanowiska generałowi nie
życzę. Powinien jak najprędzej objąć Naczelne Dowództwo.
Co sądzę — pytał dalej — o stanowisku W. Brytanii w
sprawach polskich. Rzekłem, że trudno mi na to pytanie
odpowiedzieć, gdyż w moim przekonaniu sami Anglicy
nie mają jeszcze na nie odpowiedzi. Obawiam się jednak,
że są tak zachwyceni sukcesami wojennymi Sowietów, iż
w tym nastroju gotowi będą oddać „sprawę polską” cał-
kowicie w ręce Rosji. Z wdzięczności, że udział Sowietów
przyśpiesza koniec wojny, którą są piekielnie zmęczeni.
Artykuł „Times’a” zdaje się na to wskazywać. Było je-

szcze wiele innych pytań : o naprawiaczy, w ogóle o piłsudczyków, o ludowców.

Kilkakrotnie wracałem do swej myśli porozumienia się tych wszystkich elementów, dla których słowa „interes państwa” nie są frazesem, lecz mają realną treść. Bielecki zgadzał się ze wszystkim.

Ach ten Sikorski ! Cóż z tego, że się rzuca, że wysłał, czy zamierza wysłać jakiś list do Roosevelta, w którym ma go prosić, by bronił Polskę przed terytorialnymi apetytami Rosji, że o to samo prosił Churchilla... Są to nerwowe odruchy, a nie męskie decyzje wsparte zasadami, których się nie zmienia pod wpływem chwilowego nastroju.

14 marca, niedziela, i w nocy.

Czasem zdaje mi się, że to już dno kryzysu psychicznego. Wszystko mnie męczy : i trwająca wojna i nasze stosunekczki polityczne i ponure perspektywy przyszłości. Lecz kiedy piszę słowa — dno kryzysu, zaraz przypominam sobie wrzesień 1939 i tragiczny czerwiec 1940 r. we Francji. Wtedy tak samo mówiłem, a jednak... Tylko wtedy odporność psychiczna była lepsza. Dziś jest z nią coraz gorzej. Nie tylko ja to czuję. Wszyscy. Z wyjątkiem chyba ludzi w Kraju. Są ustawicznie narażeni. Tak. To prawda. Ale mają za to codzienną świadomość walki. A my ? Jestem zmęczony, a spać mi się nie chce. Nie warto dalej pisać.

15 marca, poniedziałek o północy.

Po nieprzespanej nocy jechałem wściekły do ministerstwa. Nagle w „Daily Herold” przeczytałem wiadomość, która podziałała jak kojący balsam na wzburzone nerwy. Niemcy odebrali Charków ! Może wreszcie zmięknie rura sowieciarzom. Może ten gwiazdor Eden nabierze w Waszyngtonie wigoru, może także Amerykanie przestaną cackać się z Rosją, jak z jajkiem. Może, wbrew Łukasiewiczowi, nie dojdzie jednak do nowego Monachium...

Trochę plotek z rodzimego gruntu. Zdenerwowany Stroński ratuje się podobno — Retingerem. Należy spo-

dziewać się jakichś „wiekopomnych” decyzji. Uwaga ! Radzą dwaj mężowie tej miary co Mikołajczyk i Kot ! Podobno Kot ma zostać premierem „koordynującym” prace wszystkich urzędów cywilnych. Sikorski chce „poświęcić się” wyłącznie wojsku. Ma w projekcie dużą ilość wypadów, przede wszystkim do tak zwanej „armii Andersa”, w której nie cieszy się popularnością i której nie jest pewien. Pragnie więc mieć murowanego zastępcę w Londynie. Któż tedy jak nie oddany przyjaciel, mocny, demoniczny — Kot !

Dlaczego polecał gen. Boruta-Spiechowicz ? Stawiam to pytanie, choć nic mnie ta postać nie obchodzi. Aktor w mundurze generała. Minał się z powołaniem.

W niedzielę odbyła się manifestacja Związków Ziemi Północno i Południowo Wschodnich. Celowa w tej chwili akcja. Wypadła doskonale. Rząd, zamiast się cieszyć, jest oburzony !

Dalsze ataki na Sosnkowskiego. Popisuje się nimi teraz „Zielony Sztandar” (organ Stronnictwa Ludowego pp. Kota i Mikołajczyka) oraz antypatyczny Szczyrek (wrócił z Rosji) w „Robotniku” — organie PPS-u. Co na to „lepsi ludowcy” czy „socjaliści z charakterem ?” Nie chodzi tylko o Sosnkowskiego, lecz o bzdury, które z jego powodu wypisują w oficjalnych organach partyjnych.

Dobrą broszurę napisał polityczny uciekinier niemiecki Bernhard Menne, pt. „The Case of Dr. Brüning”. Omawiam ją w obszernym artykule pt. „Dobrzy Niemcy podnoszą głowy”. Część pierwsza artykułu ukazała się w dzisiejszym „Dzienniku”. Patrząc na to co Anglosasi zaczynają dziś wyrabiać z Sowietami, poprzedziłem mój artykuł krótką analizą dziejów dwudziestolecia, dzielącego koniec wojny 1914-1918 i wybuch obecnej. Przypominam w niej absolutną krótkowzroczność Zachodu wobec odżywającego ducha zaborczego nacjonalizmu niemieckiego. Ileż analogii nasuwa ta analiza z krótkowzrocznością Aliantów wobec Rosji !

Notuję ustęp mego artykułu :

„Na oczach wytrawnych polityków i dyplomatów, pod ustawiczną kontrolą sieci wywiadów międzynarodowych, zwyciężone Niemcy zbroją się bez przerwy z myślą o wywołaniu nowej wojny światowej. Tylko przez pierwsze lata powojenne proces ten

rozwija się we względnym ukryciu, potem dojrzewa w biały dzień, bez zachowania najprymitywniejszych pozorów przyzwoitości.

A jednak nikt go nie widzi, raczej nie chce wiedzieć. Przeciwnie, świat do ostatka, nie wyłączając epoki Hitlera, szuka z jakimś maniackim uporem w rzeczywistości niemieckiej zjawisk, które utwierdziłyby go w złudzeniu, że Niemcy wojny nie rozpoczną. Oceniając rzeczywistość niemiecką według siebie, według własnych pojęć, zasad etycznych, terminów politycznych, gospodarczych czy społecznych, wielkie i mniejsze państwa popełniają jeden błąd za drugim w ocenie ludzi, którzy rządzą Niemcami w dwudziestoleciu, dzielącym obie wojny. Łudzą się postaciami socjalistów niemieckich, demokratów, liberałów, katolików, monarchistów, generałów, ba, nawet nacjonalistów! Wokół nich tworzą się, ułatwiające niemieckie zbrojenia, legendy o istnieniu w Niemczech sił, które zdolne są nie dopuścić do nowej rzezi światowej.

Rzecz znamienna i niepokojąca zarazem, że mimo doświadczeń przeszło trzech lat krwawej wojny totalnej, legendy te są wciąż żywe. Dobrzy Niemcy, ucieleśniani są nadal w postaciach, które nigdy na tak zaszczytne miano nie zasługiwały. Przekleństwo ślepoty dwudziestoletniej „pieredyszki” ciąży wciąż nad światem, walczącym z Niemcami...”

17 marca, środa, 12 m. 30 w nocy.

Dziś od rana panował w Strattonie nastrój pogrzebowy. Nasze Ministerstwo Informacji i Dokumentacji nie ma ministra. Wczoraj po południu Pan Prezydent „zwolnił” z pełnionych funkcji prof. Strońskiego. Wyobrażam sobie, że uczynił to z rzadką przyjemnością. Nie znosił Strońskiego. Rzeczywiście dużo mu krwi napsuł. Ale w ministerstwie Stroński był lubiany. Był idealnym szefem. Ludzki, koleżeński, serdeczny. Stąd smutek personelu jest szczerzy. Witek jest przybity. Przywiązał się do Strońskiego. I ja żałuję jego odejścia. W pracy, w codziennych stosunkach, był miłym, inteligentnym zwierzchnikiem. Na tere-

nie ministerstwa nie miał żadnych urazów w stosunku do ludzi, o których wiedział że są przeciwnikami rządu, a tym samym i jego przeciwnikami politycznymi.

Można by sprawie ustąpienia Strońskiego dać tytuł : „Za wierną służbę”. Stroński, zapamiętały wróg Piłsudskiego, demokratyczny wróg wszelkich kultów, dyktatur, był arcywiernym stworzeniem Sikorskiego. Skoczyłby za ukochanego „jenerała” w ogień. I za tę wierną służbę został przez niego kopnięty. Aby udobruchać niezadowolone ze Strońskiego stronnictwa. Jeszcze jedna rozkoszna cecha charakteru naszego pseudo-dyktatora.

Żał mi było Strońskiego, gdy, nie kryjąc wzruszenia, mówił zebranemu personelowi „Do widzenia”. Potem u siebie w gabinecie, już w małym gronie, siłąc się na dowcip, powiedział : „Zmiany w gabinecie zaczyna się robić od jakiegoś końca. Zwykle od ministra, który jest najgłupszy lub kradnie. Widocznie byłem najgłupszym ministrem, chyba, chyba, że tam ktoś zwariował...” „Tam”, uzupełnione wymownym gestem, miało się odnosić do „góry”, w której króluje jego ubóstwiany „jenerał”. Była to pierwsza mowa opozycyjna Strońskiego, skierowana przeciwko Sikorskiemu. Na razie jeszcze bardzo, bardzo uprzejma.

Kiedy wychodziliśmy od Strońskiego ktoś szepnął, że jest spodziewana dymisja gen. Andersa. Tak bezpośrednio po powrocie wybawcy Kota ? W każdym razie i tego generała ma już Sikorski przeciwko sobie. A był czas, że gen. Anders ulegał w Rosji czarowi słów Sikorskiego. W każdym razie — jak z tego widać — Kot po powrocie pokazuje silną rękę. Miał podobno oświadczyć z tupetem, że przyjechawszy do Londynu znalazł się w podwójnej opozycji : do antyrządowej opozycji i do samego rządu. Rozmawiając z Prezydentem rozpoczął nawet od krytyki rządu, mówiąc, że rządu po prostu się nie czuje i dlatego musi być przebudowany na zupełnie innych zasadach. Raczkiewicz miał na to odpowiedzieć dyplomatycznie (po diabła wiecznie ta, tak zwana dyplomacja !), że „śledzi z uwagą nastroje opinii i sam wyciągnie z tych nastrojów właściwe wnioski”.

Dziś wieczorem nowa bomba. Na miejsce Strońskiego przychodzi Kot. Tadziu — mówię sobie — żegnaj się z ministerstwem. Wyleje cię na pewno ! Taka jest powszechna

opinia kolegów. Niektórzy spoglądają na mnie ze współczuciem, jako na pierwszą ofiarę demona.

18 marca, czwartek, 12 m. 20 w nocy.

Dziś spotkałem na ulicy naszego posła w Lizbonie — Dubicza. Jest w Londynie od kilku tygodni. Czeką na jakieś dyscyplinarne dochodzenie. Nielojalny wobec rządu. Jeszcze jeden proces. Zwariowali. Wieczorem miał przyjść gen. Rudolf Dreszer, lecz gdzieś po drodze zbłądził. Telefonowałem do Bieleckiego, aby się czegoś dowiedzieć. Przekonywał mnie znowu, że jeszcze na wspólne posiedzenie trzech stronnictw „za wcześnie”.

O 11-ej w nocy zadzwonił Witek. Jest speszony. Kot — na pewno. Powinszowaliśmy sobie wzajemnie nowego Pana Ministra. Jeszcze tego do kompletu brakowało.

Jutro msza za Marszałka Piłsudskiego.

19 marca, piątek, 5 po południu.

Imieniny Matki. Pewno spędza je razem w Warszawie ze Stasią i Włodkiem. Za jedną rzecz jestem Niemcom wdzięczny: że pozwolili Matce wrócić z Paryża do Warszawy. Jest ze swą ukochaną córką w ukochanej Warszawie.

O 10-ej odbyła się msza za Marszałka, w Brompton Oratory. Było około 700 osób. Zaagitowani? Nie. Sami przychodzą. Coraz pełniej jest teraz na tych mszach za Komendanta. Wielu twarzy dawniej nie widywałem. Sensację wzbudzała obecność kilku endeków i wcale licznej grupy oenerowców. M. in. zauważyłem mego kolegę uniwersyteckiego, Muszalskiego. Bezpośrednio po mszy poszedłem do ministerstwa.

O 12-ej miało nastąpić zapoznanie się z nowym szefem. Rzeczywiście, jak przystało na Kota, zjawił się w marcu. Ale Kot nie przyszedł. Wszystko wiedzący Sakowski, miał już z nim półgodzinną pogawędkę i tak się o nowym szefie wyraził: „Ponury, zimna ściana lodu. Nic się nie orientuje w sprawach swego nowego resortu”. Po południu też Kota nie było. Optymiści pocieszali się, że

może jeszcze nie przyjmie tego stanowiska, bo mu podobno proponują M.S.Z. Lecz znakomite oko rządu inż. Ulman (którego spotkałem w korytarzu ministerstwa), zapewniał mnie jak najbardziej, że sprawa jest przesądzona. A Ulman — to autorytet. Szef rządowego urzędu bezpieczeństwa.

II m. 30 w nocy.

Byliśmy z żoną na imieninach u płk. J. Hałacińskiego. Pracuje u mnie, w wydziale niemieckim. Panował miły nastrój i, jak zawsze u niego, było morze wody. Wróciliśmy około 10-ej. Zaraz potem zadzwonił Witek. Opowiadał, że Kot był u Strońskiego, prosząc, by zechciał asystować przy ceremoniale przejmowania ministerstwa. Stroński odmówił. Stroński miał mi wobec Kota wystawić świadectwo dobrego specja. Podobno jutro mam stanąć przed obliczem demona.

Dziś spośród wszystkich urzędników ministerstwa Kot zaszczylił rozmową tylko jednego — Stefana Litauera. Czy, jak za czasów Strońskiego, będzie Litauer dalej pełnił rolę prawej ręki ministra?

21 marca, niedziela, I m. 30 w nocy.

Wczoraj o 3-ej po południu odbyła się pierwsza na emigracji na taką skalę akademicka ku czci Marszałka. Wypadła świetnie. Przemówienie Sosnkowskiego znakomite, pełne wyraźnych aluzji do aktualnej rzeczywistości emigracyjnej, choć bardzo opanowane. Niektóre akcenty bardzo mocne. Słabsze, czy budzące pewne wątpliwości, ustępy listu Sosnkowskiego, zostały wyrównane tym przemówieniem. Sosnkowski w doskonałej formie. Przyjmowali go owacyjnie. Widać, że nie załamało go brutalne usunięcie przez Sikorskiego na emeryturę. Na swym pierwszym, publicznym występie godnie reprezentował najlepsze wydanie piśmiennictwa i stanowisko następcy Prezydenta Rzeczypospolitej. Sala nabita. Wiele osób nie mogło się dostać. Nastrój poważny, wzruszający. Wielu miało łzy w oczach. Dobra część muzyczna. Doskonała deklamacja

Tońcia z „Lwowskiej Fali” (Wajda). Na zakończenie — Pierwsza Brygada. Na podium portret Marszałka i pęk biało-czerwonych kwiatów. Wśród obecnych liczna grupa endeków z Demideckim na czele. W ogóle dużo znanych z czasów uniwersyteckich, którzy kiedyś należeli do przeciwników Piłsudskiego.

Chciałbym widzieć miny naszych rządzących wodzów, jak im łapsy będą referowały przebieg dzisiejszej uroczystości. A łapsy były. Mniejsza o nich.

Cieszę się. Cieszymy się wszyscy. Sosnkowski wyszedł na widownię. Przerwał milczenie. Z widowni nie zjedzie. Otacza go powszechne zaufanie.

VII

DEMON LONDYŃSKIEJ SCENY

22 marca, poniedziałek, 2-ga w nocy

W Ministerstwie Informacji nastrój minorowy. Nie chce mi się łązić do tego przybytku. Dziś po raz pierwszy z bliska ujrzałem prof. Kota w towarzystwie ludowca dr. Szeląga. Nie ustają gadania, że ma się zabrać i do innych resortów. Od nas tylko zaczyna. Potem na tapecie M.S.Z. itd. Przy nazwiskach urzędników naszego ministerstwa stawia jakieś kółka i krzyżyki. Podobno przy moim nazwisku i nazwisku Witka postawił znak, wyrażający aprobatę na nasze pozostanie. Ludzie wciąż wspominają Strońskiego. Krąży kawał na jego temat, że był w obecnym gabinecie jedynym ministrem z bródką. Musiał wobec tego ustąpić, bo Sikorski szukał... kozła ofiarnego.

Dowiedziałem się, że jednym z powodów przyspieszających usunięcie Strońskiego stała się sprawa tajnego pisma „Alarm”, odbijanego również na hektografie. Redagowali je : Sęp-Szarzyński i Felek Lechnicki (Felek, którego znam od dziecka, gdy do mnie wpada, mówi na te tematy bardzo oszczędnie. Udaję, że nic nie wiem. Bawi mnie to bardzo. Trzeba będzie kiedyś skończyć z tą grą w ciuciubabkę). Otóż okazało się, że „Alarm”, o zgrozo, był odbijany nocami w lokalu naszego Ministerstwa Informacji, niemal pod okiem prof. Strońskiego ! Podobno maczała w tym rączki nasza ambitna koleżanka panna B. Ten pikantny drobiazg wyszedł wreszcie na jaw i przyspieszył koniec profesora. Oczywiście, Stroński o całej sprawie dowiedział się ostatni.

Churchill palnął nową mowę. Zapowiada koniec wojny na 1944, a może nawet na 1945. Niech to diabli! Stanowczo za długo. Nawet nie ucieszyły mnie wiadomości o sukcesach niemieckich na froncie wschodnim.

26 marca, piątek 1 m. 15 w nocy.

Przyjemny wieczór. Nocuje Zieleniewski i Zygmunt Grażyński. Byli Stawińscy. Stawińska jest siostrą Tuwima. Inteligentna osoba. Sama niezła poetka. Uśmieliśmy się serdecznie, a to na ogół zdarza się ostatnio rzadko. W dodatku gazety wieczorne przyniosły zapowiedź „frontalnego ataku 8-ej armii” i rozkaz Montgomery’ego: *On to Tunis!* Rozumiemy, że pomyślnie załatwienie tej operacji może przyspieszyć otwarcie drugiego frontu w Europie. Ostatecznie będziemy spokojniejsi, gdy wojska brytyjskie i amerykańskie będą już w Europie. A może Anglosasi nie śpieszą się zbytnio w nadziei, że ich sowiecki sprzymierzeniec zdąży sobie jeszcze nadłamać zęby w walkach z Niemcami? Kto wie, czy nie dlatego w tak powolnym tempie kończą Rommla.

Na froncie wewnętrznym wciąż burzliwie, lecz nic nie wróży, by te burzliwe nastroje miały przynieść jakieś pozytywne skutki. Drugi list Sosnkowskiego dobry. Dziś dowiedziałem się, że Sosnkowski w zasadzie aprobuje moje pomysły. Podobno już miesiąc temu wysunął Prezydentowi dwa postulaty: 1) konieczność stworzenia rządu prawdziwej jedności narodowej i 2) konieczność rozdzielenia władzy politycznej od wojskowej. Teraz czeka, gdy wszystko będzie — „zapięte na ostatni guzik”. Może się kiedyś doczeka. Na razie wszystko idzie niezwykle ospale. Odbyto się wprawdzie pierwsze posiedzenie Komitetu organizacyjnego, tzw. „Klubu Dyskusyjnego”, lecz bez endeków. Wykręcili się. Czego się Bielecki obawiał? Czy dywersji ze strony Seydy? Może, bo jak słyszę, wskutek tej dywersji papiery Bieleckiego nieco spadły w Kraju.

Przyzwyczajamy się do nadętej sylwety nowego szefa profesora Kota. Jeszcze na ogół nie gada z urzędnikami. Za to w jego gabinecie i poczekalni grasują „swoi ludzie”, partyjni ludowcy. Uporczywie powtarzają się plotki, że ma czyścić M.S.Z. W roli męża zaufania Kota ma wystą-

pić na tym terenie p. Mieczysławski. Brzmi to wszystko bardzo prawdopodobnie, gdyż Sikorski nie ma najmniejszego zaufania do całego zespołu urzędników tego resortu. Uważa wszystkich po prostu za sanatorów i beckowców. Sikorski zresztą wymyślił sobie namiastkę M.S.Z. w postaci dwóch osobistości: Retingera i Litauera. Pierwszy jest, jak się powszechnie mówi, agentem brytyjskim, drugi, którego znam świetnie, zaczyna mi wyglądać znacznie gorzej, bo na sowieckiego. A był beckowcem! Jeszcze wcale nie tak dawno, bo w kwietniu 1939 r. wypisywał w „News Chronicle” szpalty hymnów pochwalnych na cześć Becka. Ale u takich typków to niczego nie dowodzi. Dziś Beck, jutro Stalin. Byłe się żyło wygodnie.

Sikorski musi się spieszyć do wojska. Coraz gorzej tam wygląda. Wpadł mi w ręce Biuletyn Nr 17 p.n. „Honor i Ojczyzna” z 23 czy 24 marca. Wyraźnie skierowany przeciwko Sikorskiemu.

A tymczasem Piłsudski — wraca. Zieleniewski opowiadał mi że 19 marca katedra edynburska była nabita. „Dziennik Żołnierza” wyszedł w żałobnych obwódkach, w szacie uroczystej. Nie dziwię się, że Sikorski musi się śpieszyć, aby z tymi objawami zrobić porządek. Niech się śpieszy. I tak mu to nic nie pomoże.

27 marca, sobota, 2 w nocy.

Niebo szumi już od godziny. Noc ciemna i gwiaździsta. Białe smugi reflektorów przecinają bez przerwy ciemny horyzont w różnych kierunkach.

Mimo wiosennych dni i nocy oraz błogosławionego ciepła, jestem w obrzydliwym nastroju. Nic mnie nie cieszy. Dłuży się ta wojna beznadziejnie. Dłuży się uchodźczy żywot. Zjada niepewność co do losów Polski. Może wproważył mnie w ten nastrój dzisiejsze wiadomości z Lubelszczyzny o zabiciu 50 Niemców i „zaoraniu” w odwet za to całych dwóch wsi. Co my tam zastaniemy?

Lecz gdy wpadam w nastrój przygnębienia — a często mi się to w tym roku zdarza — powtarzam sobie do znużenia starą jak świat prawdę, że przecież życie nie ma żadnego obowiązku dawania nam tego właśnie, czego pragniemy, czy czego wiecznie oczekujemy. Wystarczy zresz-

tą, że w takich chwilach przygnębienia pomyślę o Polakach, którzy marnują się w niemieckich obozach koncentracyjnych lub w łagrach i więzieniach sowieckich. Dziękuję wówczas Bogu za to co jest i za to, że nie jest gorzej.

Jednym z motorów żądy życia jest ciekawość jutra, wielokrotnie dziś spotęgowana pragnieniem poznania rozwiązań niezliczonych zagadek przyszłości, rodzących się nieustannie wśród epokowego wstrząsu, którego jesteśmy świadkami. Wystarczy przecież, że się w czasie tego wstrząsu żyje, że ma się nadzieję doczekania choćby części rozwiązań, zwłaszcza gdy o Polskę chodzi.

Tak, chyba to jest jedyna recepta na wszystkie załamania, przygnębienia i inne tego rodzaju choroby, będące zresztą nieuniknionym objawem czasów, w których stary świat wali się bezpowrotnie, a zarysów nowego, lepszego czy gorszego, nawet nie widać.

Wzmagają się pogaduszki o zbliżającej się inwazji aliantów na kontynent.

28 marca, niedziela, około 2-ej w nocy.

Cały dzień siedzieliśmy w Mill Hillu. Był nalot na Berlin. Trzeba się spodziewać rewizyty. Jak zwykle — ukrywamy z Janeczką przed matką wiadomość o tym berlińskim nalocie. Wyszedłem przed willę. Jest idealnie ciicho. Słychać tylko beztroskie pogwarki ptaków. Wiosna przecież.

29 marca, poniedziałek, 12 m. 30.

Niebo huczy. Lecą na kontynent. A może to ciągną nad Anglią tylko nocne myśliwce, zdążające na spotkanie niemieckich bombowców? Żona dotąd nic nie wie o sobotnim nalocie.

Z frontu wieści dobre. Zdaje się, że Alianci wykańczają Tunis i Bizertę, a Moskalom ciężko idzie.

De publicis — nic szczególnego. Klub Dyskusyjny odbył w piątek posiedzenie. Na razie gadanina. A tymczasem Kot działa. Znowu kogoś usunięto. Tym razem „naprawiacza” B. Szymanowskiego z „Polish Research Centre”. Dotąd nie rozmawiałem z Kotem.

Po polskim Londynie krąży nowy kawał: — Czy pan wie, że całe lotnictwo polskie włączono do Coastal Command? Nie. A dlaczegoż miano by je przydzielić do służby nadbrzeżnej? Aby szukało zatopionej w głębinach kanału Karty Atlantycznej.

Bardzo to charakterystyczny kawał dla panujących wśród Polaków nastrojów.

30 marca, wtorek, 6 m. 15 po poł.

Sprawa huczącego wczoraj nieba już wyjaśniona. Znowu walili w Berlin i zagłębie Ruhry. Musiał być zdrowy nalot, skoro RAF stracił 33 bombowce. Rewizyty można się spodziewać lada godzina, lada dzień, lada noc.

VIII armia zdobyła Gabes. Radio londyńskie podało triumfalnie tę wiadomość.

Nie byłem w ministerstwie i pewnie dlatego humor mi się poprawił. Przed chwilą zatelefonowano, że właśnie dzisiaj, gdy zrobiłem sobie jednodniowy „urlop”, pan minister Kot raczył złożyć wizytę w moim pokoju.

I w nocy.

Mam dyżur w środku nocy, od 12-ej do 3-ej. Trzeba będzie czuwać. Mogą dziś rewizytować, choć kto wie... Na dworze wichura. Cała willa trzeszczy dosłownie w swych słabych posadach. Drzwi latają w zawiasach. Raz słabsze, raz silniejsze zefirki przelatują pokoje. Zdaje mi się, że za chwilę kawał dachu spadnie z łoskotem za oknem. Wichura jest tak silna, że zagłusza szum samolotów i odgłosy przejeżdżających niedaleko pociągów. Słowem — jak to mówią — diabelska noc. Spać mi się chce. Poczytam sobie jeszcze „Księgę Dżungli” Kiplinga.

I kwietnia, czwartek, 12 w nocy.

Mimo, że dziś 25-lecie RAF'u, Niemcy nie złożyli Londynowi oczekiwanej rewizyty. Gdyby polegać na płk. Kijaku, to wyprawy bombowców niemieckich na wyspę po-

winny z każdym miesiącem stawać się coraz mniej prawdopodobne. Lotnictwo przestało dla Niemców odgrywać rolę broni operacyjnej. Ma znaczenie broni uzupełniającej. Broń decydująca w rękach niemieckich — to teraz rzekomo łodzie podwodne.

Czy rzeczywiście przy pomocy tej broni Hitler zamierza osiągnąć zwycięstwo? Wydaje mi się na odległość, że Niemcy bardziej niż na tę broń, liczą na rozbięcie wśród sprzymierzonych, przede wszystkim na rozdźwięki między aliantami i Rosją. Podobno *via* Madryt płyną z Niemiec stale jakieś czułości w stronę Londynu. Lipski przywiązuje do tego duże znaczenie.

Dzisiejszy „Dziennik Polski” wypełniony kawałami primaaprilisowymi. Mają głowę do tego! Z drugiej strony szalona okazja, aby się „urzędowo” przejechać po endekach, oenerach, po piłsudczykach i „Naprawie” w szczególności.

Powtarzano mi nieco szczegółów o konsekwencjach głośnego dziś już listu do Prezydenta w sprawie gen. Ujejskiego. Otóż zapytywano czterech lotników (mjr. Poziołek, kpt. Bujalski, kpt. Kurzempa i ppor. Sęp-Szarzyński) w czasie wstępnego śledztwa, czy list podpisali. Wszyscy się przyznali. Wobec tego postanowiono internować ich na wyspie Bute. Oddani zostaną pod sąd. Jak się zdaje do tych czterech oficerów ograniczono dochodzenia i w ogóle całą sprawę. Gdyby bowiem chciano jej zasięg rozszerzać, trzeba byłoby — jak twierdzą znawcy — oddać pod sąd tylko... 180 oficerów samego Inspektoratu Lotnictwa!

Wszystko to oczywiście, z punktu widzenia normalnych wymogów dyscypliny wojskowej, nie jest dopuszczalne. Ale trudno. Sikorski zbiera tylko owoce swej siejby. Dotąd jeszcze nie wyszły na jaw wszystkie kulisy „delegacji” oficerów, która w lipcu 1940 roku złożyła wizytę desygnowanemu przez Prezydenta Raczkiewicza na premiera — ministrowi Zaleskiemu. Owa „delegacja” żądała od Zaleskiego ustąpienia, grożąc buntem wojska. Nie jest przecież tajemnicą, że „delegacja”, którą prowadził płk. Klimecki, zjawiała się u Zaleskiego z wiedzą Sikorskiego, złożonego z urzędu premiera przez Prezydenta. Nie jest również tajemnicą, że za tę buntowniczą interwencję członkowie delegacji nigdy nie zostali ukarani. Co więcej, z interwencją ich zsolidaryzował się otwarcie jeden z naj-

blźszych przyjaciół Sikorskiego, generał na wysokim stanowisku wojskowym.

Sikorski, jak i dziś, był wówczas i premierem i Naczelnym Wodzem. Morał z tego prosty : Gdy Naczelný Wódz politykuje, politykuje również podległe mu wojsko. Nie można się więc temu dziwić, co się obecnie w naszym wojsku dzieje.

3 kwietnia, sobota, 1 m. 40 w nocy.

Chwała Bogu, że po trzech miesiącach skończyliśmy wreszcie „Drugą Wyspę”. Ze sztuki wyszło — moim zdaniem — poprawne wypracowanie. Ale Marian jest wniebowzięty. Dobrze, że już koniec. Będzie więcej godzin do spania.

Zmęczony jestem piekielnie. Może dlatego wszystko mnie nudzi. Zwłaszcza przy słowach „rząd”, lub „Rada Narodowa” — chce mi się ziewać. Czasem z trudem zdobywam się na czytanie rzeczy, które powinny mnie interesować. Dopiero dziś na przykład przeczytałem w „Myśli Polskiej” z 1 kwietnia odpowiedź Sosnkowskiego Grabskiemu i piękną polemikę z tym antypatycznym ramolem — T. Mincera. Nie bawi mnie również, ani Cat-Mackiewicz swymi „thrillerami” na tematy polityczne, ani na pewno z lekka trzaśnięty Puacz. Nie chce mi się słuchać wiecznie tych samych gadań na temat „planów” Kota. Wciąż przecież powtarzają w kółko, że rozpocznie represje w wojsku, że usunął Smogorzewskiego, że chce spławić Zygmunta Nowakowskiego na Bliski Wschód, że grozi Kolinowi za wydawanie „Wiadomości Polskich” itd., itd.

Jestem zmęczony tym wszystkim. Nie tylko ja. Nie poznaję wielu ludzi.

Na Mill Hillu było przez cały dzień pięknie, słonecznie i ciepło, jak w lecie.

6 kwietnia, wtorek, 12 m. 30 w nocy.

Jestem stanowczo przemęczony. Wczoraj znowu dyżur od 3 m. 30 do 6-ej rano. Gdybym mógł wychrapać się przez 24 godziny, na pewno poczułbym się lepiej.

Widziałem wczoraj Puacza. Jak zawsze podniecony, niespokojny. Twierdzi, że Sikorski będzie szukał porozumienia z piłsudczykami, bo inaczej nie da sobie rady. Obawia się rosnącej w społeczeństwie opozycji. Może racja. Wystąpienie Doboszyńskiego, ujawniające treść not sowieckich i apelujące do Prezydenta, by powołał nowy rząd z Sosnkowskim, zrobiło swoje. Ataki na Sosnkowskiego miały wręcz odmienny skutek. Jego odpowiedzi, zwłaszcza świetna, rzeczowa odpowiedź Grabskiemu, pogłębiły autorytet generała. Opinia jest za nim, za tym, co głosi, za prawdziwą, a nie fikcyjną jednością narodową. Tyle redaktor Puacz.

Spotkałem się z przyjacielem i osobistym sekretarzem Prezydenta — inż. Piotrowskim. Widuję się z nim od czasu do czasu. Opowiedział mi o rozmowie, którą dwa tygodnie temu miał Sosnkowski z Prezydentem. Sosnkowski wysuwał wówczas różne koncepcje nowego rządu. Przede wszystkim proponował utworzenie zupełnie nowego gabinetu jedności narodowej, to znaczy rządu, w którym znaleźliby się przedstawiciele absolutnie wszystkich kierunków politycznych. Lecz proponował również rząd z Sikorskim na czele, pod warunkiem jedynie rozszerzenia jego podstawy. Tej drugiej koncepcji nie bardzo rozumiem. Zdaje się, że Prezydent jest za nią, no i Piotrowski również.

Bombardowali Sycylię i bazy lotnicze. Grzeją w Rommla. Komunikaty sowieckie znikły jakoś z pierwszych miejsc dzienników angielskich.

Niemcy jakby zmieniają kurs wobec Polaków. Już uważają nas łaskawie za naród. Piszą, że jesteśmy *Nebenlandem* Rzeszy, że jesteśmy *gleichberechtigt* z nimi, że jakaś polsko-niemiecka synteza polityczna jest *durchaus denkbar*, podczas gdy między Moskwą a Warszawą taka synteza jest — *ausgeschlossen*. Berlin szykuje statut nowej Europy. Jak tak dalej pójdzie, gotów w nim uprzejmie i dla na znaleźć miejsce. Wszystkie te swoiste *douceur*'y niemieckie świadczą tylko o jednym, że czują się niepewnie. Notoryczny zbrodniarz, który nagle troszczy się o zdrowie swojej ofiary, może czynić to tylko w poczuciu swej słabości. Bo przecież sprawa sumienia w tej niemieckiej przemianie nie odgrywa żadnej roli.

Muszę te *douceur'y* niemieckie oświetlić w swoich pogadankach radiowych do Kraju. Mówienie przez BBC do kraju — to jedna z największych moich przyjemności.

Dziś ukazała się w „Dzienniku” druga część mego artykułu o ex-kanclerzu niemieckim Brüningu. Kończę go takimi zdaniem :

„Ex-kanclerz Rzeszy milczy i unika publicznych wystąpień politycznych. Czy milczenie to jest równoznaczne z wycofaniem się z polityki i poświęceniem się cichej karierze profesorskiej, dziś w Stanach Zjednoczonych, jutro po rozgromie hitleryzmu, w jednym z uniwersytetów niemieckich ?

Pozycja polityczna, jaką miał zdobyć sobie Brüning w St. Zjednoczonych świadczy, że jest zupełnie inaczej. Brüning przygotowuje się wraz z katolikami niemieckimi do odegrania wybitnej roli natychmiast, gdy będzie mógł wrócić do Niemiec. Rozporządzając rozległymi kontaktami, zarówno w pewnych kołach świata anglo-saskiego, jak w Watykanie, wysuwany jest przez nie na niemieckiego męża przyszłości, w którego rękach, w zgodzie ze zwycięzcami, spocznie wielkie i ciężkie zadanie reedukacji schorzałego organizmu narodu niemieckiego.

Być może, że długi okres emigracyjnego życia, po ciągach, jakie spotkały Brüninga ze strony najbliższych mu kół nacjonalistycznych, zupełnie zmienił jego sylwetkę moralno-polityczną. Tego nie wiemy. Mając jednak w żywej pamięci jego bogatą, nie budzącą żadnych wątpliwości przeszłość, musimy traktować Brüninga, jako czystej krwi nacjonalistę, ustosunkowanego wroga do Polski, tym niebezpieczniejszego, że w szatach gorliwego katolika, może łatwiej grać rolę „dobrego Niemca”, łudząc dalej niepoprawnie naiwnych, od których — jak wiemy — roi się wciąż ten padół wojennego płaczu”.

Ciekawsze to w każdym razie od powtarzanych w kółko plotek, od chorobliwego dreptania w miejscu naszych polityków opozycyjnych, od tych „kotomontaży” i innych dowcipasów, krążących po Strattonie.

8 kwietnia, czwartek, o północy.

Rozmawialiśmy dziś o tezach, ogłoszonych przed kilku tygodniami w „Times” przez prof. Carra. Uważa on, że świat powojenny winny urządzać cztery mocarstwa. Granice Anglii w tym świecie są nad Renem, granice Rosji nad Odrą. Polskę i inne narody oddaje spokojnie Rosji. Kim jest Carr? Nasi angielscy twierdzą, że inspiruje go Eden.

Obrzydliwy jest paszkwil na Sosnkowskiego, wydany w formie plagiatu „Wiadomości Polskich”. Nie trudno zgadnąć czyja to robota.

Stroński musi być teraz dumny ze swego pupila Litauera. Pan Litauer postawił kandydaturę Rotsteina, sowieckiego dziennikarza, na prezesa syndykatu prasy zagranicznej w Londynie. Czy Stroński jeszcze ma złudzenia?

Niebo dziś nie dudni, lecz jęczy od szumu bezustannie lecących samolotów. Na pewno bombowce, same bombowce.

9 kwietnia, piątek, 12 w nocy.

Jak się okazuje jęczące wczoraj niebo oznaczało w języku komunikatu wojennego — „ciężki nalot na zagłębie Ruhry”. RAF stracił 21 samolotów. Za to dziś — spokój. Głucha wieś. Nawet pies nie zaszczeka. Angielskie psy zresztą nie szczekają.

Przyjechał pewien znajomy ze Szkocji. Młodzi wojskowi czytają „Mowy i Rozkazy” Piłsudskiego.

W Szkocji opowiadają sobie taki kawał. Nasz okręt „Orzeł” strzelił w jakiś inny okręt polski. W jaki? Rządowy. I cóż się z rządowym okrętem stało? Poszedł na dno. Kto ocalał? Polska.

Kawał naiwny, ale znamieny. Kochają ten rząd. Nie ma co.

14 kwietnia, środa, 1 m. 30 w nocy.

Planowałem sobie, że dziś pójdę wcześniej spać, tymczasem przed godziną zrobili alarm. Odkryło się bez puka-

niny, lecz musiałem zejść z rodziną z pięterka na parter i czekać aż się skończy.

Od wczoraj mam cykl wykładów na kursie przyszłych inspektorów szkolnych w Polsce. Ciekawy element. Inteligentni, myślący ludzie.

Miałem referat na komisji litewskiej. Przed referatem podniecałem się artykułem pana Kalinina, ogłoszonym niedawno w „Izwestiach”. Twierdzi w nim, że „wojna patriotyczna stała się obecnie głównym i jedynym celem sowieckiego narodu”. Zdaniem Kalinina imperializm Hitlera jest bardziej ambitny, niż Wilhelma, gdyż ma na celu nie tylko zdobycie terenów i rozszerzenie granic, lecz również i fizyczne wyniszczenie całego narodu wraz z jego formą rządów i kulturą.

Jak oni mydlą oczy Zachodowi !

Sikorski udzielił Sosnkowskiemu nagany za jego „list otwarty” do Bieleckiego. Kwalifikuje ten list, jako „wysiąknięcie sprzeczne z obowiązującymi żołnierza w służbie czynnej przepisami” i powiada, że jest to „zły przykład ze strony generała broni dla młodszych żołnierzy”.

Cóż za surowy sędzia ! A jakież to „przepisy” zastosował wobec swych przyjaciół, którzy grozili buntem woj-ska, jeśli ich najwyższy, konstytucyjny zwierzchnik — Prezydent Rzeczypospolitej nie cofnie nominacji Zaleskiego ? A któż to wtedy, jak nie Sosnkowski, uratował sytuację ? Ale Sikorski ma krótką pamięć. Demonstruje swą „władzę” i — lekceważący stosunek do opozycji. Czuć w tym niezawodnie rękę demona londyńskiej sceny — profesora Kota.

Poświęcił mu swój ostatni, miesięczny „thriller” polityczny Mackiewicz. Zatytułował broszurę efektownie : „Powrót Kota”. Mackiewicz twierdzi, że Kot — to „duża indywidualność”, lecz w ogóle — „postać fatalna”. Nie dopuści, aby Sikorski poszedł na jakiegokolwiek ustępstwa w sprawie gabinetu prawdziwej jedności narodowej i dlatego odda Sikorskiemu — „najgorszą usługę”. Charakterystyka Mackiewicza brzmi tak zachęcająco, że chciałbym wreszcie poznać tę fatalną postać.

Mackiewicz notuje w broszurze następujące zdanie, wypowiedziane na pewnym zebraniu angielskim przez reprezentanta mniejszości w dzisiejszych władzach centralnych londyńskiego PPS-u Adama Ciołkosza :

„Być może ktoś powie nam : Jesteście w trudnym położeniu, więc przyłączcie się do Związku Sowieckiego. Moja odpowiedź jest bardzo krótka : Po was, mój panie ! Lecz was chroni geografia, a geografia jest przeciw nam. Bardzo dobrze, będziemy więc walczyć przeciwko najeźdźcom niemieckim, przeciw faszyzmowi i przeciw geografii”.

Brawo Ciołkosz ! Co za szczęście, że obok „demonów” w stylu Kota i towarzyszy z PPS w rodzaju Grosfelda, Szczyrka, Stańczyka lub Belońskiego, mamy w Londynie pepesowców typu Ciołkosza, wiernych niepodległościowym tradycjom tego stronnictwa. Niestety, jest ich tutaj za mało.

VIII

KATYN

16 kwietnia, piątek 12 m. 40 w nocy.

Od dwudziestu minut trwa alarm. Już dziś drugi. Na razie jest cicho i strzałów nie słychać. Przez otwarte okno słyszę rozmowy dyżurnych, spacerujących po ulicy. Mój dyżur jutro.

Noc jest cudowna, letnia. Na niebie — baranki. Jedliczki, wychodząc od nas o północy, dostrzegłszy je, zawyrokował, że będzie alarm, no i alarm jest. W domu spokój, bo nocuje ppor. J. Głuski. Nie mogę spać.

Myślę o Katyniu.

12 kwietnia wybuchła ukrywana od dawna przez rząd Sikorskiego sprawa 10.000 oficerów polskich, pomordowanych przez sowieciarzy pod Smoleńskiem już wiosną 1940 r. Jak zareagujemy? Start jest emocjonalnie dobry, powiedziałbym, nieoczekiwanie dobry. Urzędowy „Dziennik Polski” z polecenia Kota wywała wszystko, choć rewelacje niemieckie traktuje ostrożnie. Niemcy szaleją, nadając sprawie niebywały rozgłos. Goebbels gra pierwszorzędnie. Anglicy reagują dla nas życzliwie, Amerykanie jeszcze śmieją. Sikorski miał parę dni temu jakieś poufne posiedzenie z członkami Izby Gmin. Czy mówił o tej zbrodni? Miał być też na śniadaniu u Churchilla. Wiem tyle, że na posiedzeniu z członkami parlamentu bronił naszych spraw dobrze, stawiając mocno zagadnienie granic wschodnich. Eden sekundował mu, zastrzegając się tylko, iż obecna chwila nie nadaje się do dyskusowania spraw granicznych. Czyżby zmiana nastrojów angielskich? Jeśli chodzi o Sikorskiego,

to może coś się w nim rzeczywiście zaczyna zmieniać. W sprawie Katynia działa szybko, bez wahań, nie pytając się nawet o zdanie rady ministrów. Tak przynajmniej twierdzi otoczenie Prezydenta, które go nie kocha.

We wtorek Hitler ma ogłosić w Reichstagu statut nowej Europy. Ciekaw jestem, czy przejdzie tej kanalii przez gardło słowo Polska ?

Przed chwilą skończył się alarm. Kiedyż ja się wyśpię !

17 kwietnia, sobota, 2 w nocy.

Obyż nie było dziś alarmu ! Na razie jest cicho. Mam dyżur. Noc ciepła, księżycowa, bez baranków. Dom pełen. Nocują Opieńscy i Głuski.

Wciąż myślę o Katyniu. Prasa angielska dalej raczej życzliwa. Przytacza oświadczenie rządu, skierowane przez gen. Kukiela, jako ministra Obrony Narodowej do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Rząd domaga się wysłania do Katynia komisji neutralnej, celem zbadania sprawy odnalezionych grobów pomordowanych. Jednocześnie zaś odmawia Niemcom prawa nadużycia tragedii polskiej do siania niesnasek między aliantami. Jak na to zareagują Sowiety ? Na pewno bezczelnie. Innej reakcji nie można się spodziewać po zbrodniarzu, który ma pewność, że go nie dosięgnie karząca ręka sprawiedliwości. Wyrok moralny ? ! Śmiechu warte. W dzisiejszym, rozkosznym świecie takie rzeczy nic nie znaczą.

Niemcy manewrują sprawą pierwszorzędnie. Gdyby sami nie byli zbrodniarzami, zdobyliby znakomity atut przeciw Sowiecom. Lecz atut ten w ich rękach nie zagra. Zwłaszcza teraz, gdy alianci widzą, że Niemcy są w matni, z której pragnęliby się wykręcić wszystkimi sposobami. Podobno Japonia robi w Moskwie jakieś zabiegi, by pomóc swemu sprzymierzeńcowi. Hiszpania, jak się zdaje, usiłuje również pośredniczyć na rzecz Niemców między W. Brytanią a Ameryką. Hitler konferuje zawzięcie z satelitami. Radio niemieckie odmienia teraz słowa : Polska lub Polacy i cytuje nazwiska oficerów pomordowanych w Katyniu.

Upał w pokoju. Nie chce mi się pisać.

18 kwietnia, niedziela, 2 po północy.

Skończył się dziesięciominutowy alarm. Alarmy dzienne nie robią na mnie w ogóle żadnego wrażenia. W nocy co innego. Trzeba wstawać.

Co za piękny dzień. Mam uczucie, że to nie kwiecień, lecz lipiec. Słońce pali. Cały Mill Hill tonie w zieleni. Kwitną jabłonie, bzy, drzewa migdałowe. Na tle zieleni przeważają dwa kolory — biały i jasno fioletowy. Dużo wspaniałych krzaków magnolii.

Taki 10-minutowy alarm po praniu, jakie teraz Niemcy systematycznie dostają, to naprawdę kompromitująco śmieszna manifestacja niemieckiej aktywności i siły. Co znaczy taki nalot w porównaniu z ostatnią wycieczką RAF'u na Mannheim lub Pilzno. 600 maszyn ! 55 nie powróciło. Na szczęście, spośród 100 maszyn polskich, które brały udział w tej wycieczce, wszystkie wróciły do baz.

I w nocy.

Przed chwilą skończył się 20-minutowy alarm. Kilka dalekich strzałów i — po wszystkim. Naturalnie dla świętego spokoju schodziliśmy na dół. Stanąwszy przy otwartym oknie, zagapiłem się na ulicę oblaną księżycową poświatą. Było jasno, jak w dzień. Na środku ulicy para kotów oddawała się beztrosko miłosnym zalotom.

Dobrze, że tak szybko skończył się ten alarm. Można się będzie przespać.

20 kwietnia, wtorek, I w nocy.

Alarm zaczął się o 10 m. 30 wieczorem. Przez pół godziny słychać było raz dalsze, raz bliższe walenia artylerii przeciwlotniczej. Potem nagle zapanowała cisza, ale odwołania dotąd nie ma. Czyżby zapomnieli odwołać ? A może mają wiadomość, że Luftwaffe zrobi Hitlerowi prezent na 54-lecie jego urodzin ?

Jakżeż załgane były ostatnie mowy Goeringa i Goebbelsa ! Jakżeż załgane są „wyjaśnienia” sowieckie w sprawie pomordowanych oficerów ! Jakżeż załgane jest milcze-

nie w tej sprawie prasy angielskiej ! I to drukowanie przez nią bez żadnych komentarzy kłamstw sowieckich, że rząd polski wszczął cały krzyk pod wpływem „prohitlerowskich” elementów w gabinecie Sikorskiego. Komunistyczny „Daily Worker”, oczywiście, przoduje w tej kampanii.

„Prohitlerowskie elementy” ? O jakie chodzi ? To niewątpliwie nowa próba nacisku sowieckiego w kierunku eliminowania z naszych władz państwowych ludzi, którzy dla sowieciarzy są niepożądani. Ktoś mi szepnął niedawno na ucho, że Moskwa podobno już wysuwa żądania zmian personalnych.

Nie wiem, co z tego wszystkiego wyjdzie. Faktem jest, że Sikorski, Kot i Kukiel wsiedli nagle na antysowieckiego ogiera. W wyłonionej dla sprawy katyńskiej komisji zasiada : Kot, Kukiel, Raczyński. Robi to wrażenie, że Sikorski wykorzystuje okazję, by zrobić zwrot o 180 stopni i by się odegrać. Nie ulega wątpliwości, że ma w sprawie Katyńia za sobą opinię całego społeczeństwa.

Bynajmniej mnie to nie cieszy. Przypomina mi ta sytuacja chwilę, gdy niepopularny w społeczeństwie Beck, po mowie wygłoszonej w maju 1939 roku, uzyskał poklask całego kraju. Obawiam się, czy rząd Sikorskiego nie działa na gorąco, upojony brawami, których dawno na widowni nie słyszał. Gdyby między rządem-reżyserem, a zespołem aktorów, grających sztukę, nie było żadnej różnicy, wszystko byłoby w porządku. Niestety, różnica jest. Aktor podniecony oklaskami gra lepiej, natomiast rząd podniecający się emocjonalnym aplauzem społeczeństwa i czerpiący z niego natchnienie do swych działań, robi zwykle głupstwa.

28 kwietnia, Wielki Czwartek, 12 w południe.

Wczoraj czytaliśmy „Drugą Wyspę”. Byli sąsiedzi pp. Szulcowie, Staś Westfal, Staś Głuski, Czerwińscy, no i oczywiście, właściwy bohater wieczoru, prof. M. Jedlicki. Ku memu zdumieniu podobają się ! Sztukę odważa się wystawić „Czołówka Lotnicza”. Role główne zagrają : Kraszewska, Zięciakiewicz, Pawlikowski i słynna kiedyś aktorka filmowa H. Makowska. Wyobrażam sobie, jak to wszystko wyjdzie na scenie. Ale bawię się tym doskonale.

Podobno na wieść o naszym wyczynie, znakomity autor „Gałązki Rozmarynu”, Zygmunt Nowakowski, spółdził, czy dopiero zamierza spółdzić sztukę aktualną.

Wiadomości o bombardowaniach już nie bawią. Spowszedniały. Ostatnio dla odmiany łupnęli w Rostok i Szczecin. Bardziej interesują nas teraz wiadomości o wielkich ilościach strąconych transportowców, którymi Niemcy przetrzucają swój korpus afrykański na Sycylię. Bo te wiadomości wiążą się ze sprawą, która nas rzeczywiście pasjonuje — inwazji na kontynent.

Rząd chodzi dumny jak paw, że wyciągnął (z konieczności) na forum publiczne sprawę katyńską. Przyznają się teraz, że już dawno o wszystkim wiedzieli. Dlaczego więc nie robili z tej sprawy zagadnienia pierwszej wagi w rozmowach z aliantami? Dlaczego ją przed społeczeństwem zatajali? Szczególnie ponoć dumny jest mój obecny minister — prof. Kot. Wciąż wokół jego osoby pełno szumu. Są tacy, którzy twierdzą, że kłóci się z Mikołajczykiem, że jest niepopularny wśród ludowców, że pcha się na wicepremiera, a nawet na premiera.

A opozycja? Zdaje się, że przejęta również sprawą katyńską, na razie zasnęła.

23 kwietnia, Wielki Piątek, 12 w nocy.

Mam dyżur dopiero od 1 do 2 m. 30. Już o jedenastej zaczął się pierwszy alarm. Zebrała się na ulicy grupa dyżurnych, do której należą: Mr. Vardy, Mrs. Blunt, Mrs. Cranton i prof. Robinson. Przechadzaliśmy się po naszej ulicy, paląc papierosy i gwarząc o drugim froncie. Korzystam zawsze z takich okazji, by przypiąć łatkę sowieciarzom. Anglunie słuchają i zazwyczaj nic nie mówią. Wydaje mi się, że moje kunsztownie, po angielsku, budowane zdania na temat Rosji podobne są do przysłowiowego grochu, rzucanego o ścianę zupełnej ignorancji czy zupełnej obojętności. Chcą jak najprędzej końca wojny i są wdzięczni Moskalom, że ten koniec przyspieszają. Reszta ich nic nie obchodzi.

Do 10-ej był Staś Kudlicki. Wspominaliśmy święta wielkanocne w Polsce. Jakież to odległe czasy.

24 kwietnia, Wielka Sobota, 2 w nocy.

Chciałem dużo zanotować, lecz już bardzo późno.

Allied Offensive on whole Tunis front. Tymi słowami witała dzisiejsza prasa poranna czytelników śpieszących leniwie do biur i urzędów.

Przed 12-tą przyjął mnie wreszcie Kot. Rozmawiałem z nim trzy kwadranse. Jestem zupełnie rozczarowany. Ani śladu demona! Mówi inteligentnie, ostrożnie, lecz — jak słusznie zauważył Sakowski — nic się na swym nowym resorcie nie rozumie. Pierwsze wrażenie: stanowczo nie nadaje się na ministra propagandy. Żadnego porównania ze Strońskim! Nie opuszczałem gabinetu demona z uczuciem, by miał mnie zamiar wylewać. Przynajmniej na razie.

Od Kota poszedłem wprost na próbę „Drugiej Wyspy”. Było daleko zabawniej.

Po południu zjechali goście świąteczni: Lawisia Dymszyna, Westfal, Kazik Czerwiński. Żona w świetnym humorze. Janeczka zachwycona, bo lubi ruch świąteczny. Pamięta dobre czasy w Polsce i na Litwie. Na zakończenie miłego dnia był krótki alarm.

Więcej już nie będę pisał. Może jutro znajdę chwilę czasu.

26 kwietnia, poniedziałek, drugie święto, około 1 w nocy.

Wczoraj dom był pełen, więc o pisaniu nie było mowy. Prócz nocujących przyjechały moje bratanice. Rano zjawił się Zygmunt Grażyński. Po południu wyruszyliśmy całą gromadą do braterstwa, gdzie była masówka. Nastrój prawdziwie świąteczny. Wśród gości żona odnalazła nieoczekiwanie w pułkownikowej Boguszowej bliską kuzynkę z Litwy. Nagle, około w pół do dziesiątej, ktoś ze znajomych zadzwonił do brata, że Rosja zerwała stosunki dyplomatyczne z Polską. Część towarzystwa rozradowana powtarzała w kółko: Sowieciarze stracili nerwy. Jedyny sposób dla Rosji wykręcenia się sianem z całej sprawy kadyńskiej — mówili drudzy...

Wiadomość popsła mi humor. Zerwanie stosunków z nami jest wyrazem sowieckiej pewności siebie. Gwiżdżą

na opinię, na świat, na nas. I nic ich również nie obchodzi, że taki gest daje Niemcom nowe atuty propagandowe w ręce. A któż teraz stanie po naszej stronie, kto będzie za nas kruszył kopie? Wielka Brytania — nie, Stany Zjednoczone — nie wiem, choć wątpię. Reszta się nie liczy.

Wracałem od Stefanów w ponurym nastroju. Nic sobie dobrego po zerwaniu nie wróżę. Mam najgorsze przeczucia. Dla zachwyconego sobą rządu na pewno krok Moskwy był zupełną niespodzianką.

27 kwietnia, wtorek, 12 m. 30 w nocy.

Eden to mediate in Polish crisis after Soviet break — pisze dzisiejszy ranny „Daily Mail”. Wiadomość jest częściowo ścisła. Dowiedziałem się, że w Wielką Sobotę Eden rozmawiał z Sikorskim, gdyż zamierzał interweniować w Moskwie (zdaje się po porozumieniu z Waszyngtonem) w różnych naszych sprawach. Chodziło m. in. o wydobycie rodzin polskich z Rosji. Ale wszystko to jest już nieaktualne. Rosjanie chcą mieć wolną rękę na wschodzie Europy i basta. Katyń — to dogodny pretekst.

Ochłonawszy z pierwszych wrażeń mam teraz wątpliwości, czy sprawa Katynia była przez rząd właściwie rozgrywana. Ale nawet o tym już nie myślę. Obawiam się, czy nie zlekną się teraz swej śmiałości i nie zrobią jeszcze jakichś nowych głupstw. Najlepszą odpowiedzią na politykę sowiecką i beczelne ataki Sowietów, skierowane pod adresem rządu Sikorskiego, byłoby zaprezentowanie Rosji i naszym sprzymierzeńcom silnego rządu szerokiej koalicji. Wątpię, niestety, czy to nastąpi.

Podobno Sikorski wybiera się na Wschód.

Rano radziła Rada Ministrów. Kot miał konferować z prasą angielską.

Z tego debiutu demona wyszła tylko kompromitacja. Przybyli po południu do Strattonu dziennikarze angielscy spodziewali się jakiegoś rządowego komunikatu, tymczasem dowiedzieli się, że komunikatu nie ma, bo nie został jeszcze... uzgodniony z Edenem. Wobec tego oczekiwali, że zjawi się przed nimi polski minister informacji, aby w tak ważnej chwili odpowiedzieć na zadawane pytania. Była to wyjątkowa okazja wyjaśnienia prasie angielskiej na-

szego punktu widzenia na całokształt stosunków polsko-sowieckich i powiedzenia raz wreszcie całej prawdy. Lecz demon w ogóle się nie pokazał, a dziennikarze angielscy, przeklinając zapewne w duchu „polskie maniere” opuścili Stratton. Ten debiut prof. Kota na pewno nie przyczyni się do podniesienia naszych akcji na londyńskiej giełdzie prasowej. Przeciwnie, jeszcze je obniży. I to w takiej chwili !

28 kwietnia, środa, 6 m. 35 po poł.

Wróciłem z ministerstwa. Dzień zimny, wietrzny, słowem — obrzydliwy. Czuję się fatalnie. Wszyscy w ministerstwie podnieceni, gadający, pełni obaw o to, że ustąpimy na całej linii pod presją jakichś bliżej nieznanym żądań sowieckich. Rzekomo sowieciarze żądają „głównie” Raczyńskiego, Kota, Kukiela, a nawet samego Sikorskiego. Ktoś inny dowodził, że tylko Kota. Brat zasłyszał gdzieś, że Stronnictwo Ludowe ma się domagać ustąpienia Sikorskiego i oddania premierostwa Kotowi. Ploty, ploty, ploty. Opozycja zaciera ręce i — dalej nic nie robi i niczego „nie zapina”. Co na to wszystko Prezydent ? Co Sosnkowski ?

30 kwietnia, piątek w nocy.

Prasa angielska w dalszym ciągu fatalna. Co się w tej sprawie robi w naszym ministerstwie i kto robi ? Pan Litauer ? A może od tych działań będzie hr. Jan Drohojowski, który przyjechał wczoraj do Londynu. Stary znajomek jeszcze z odległych czasów berlińskich. Ex-endeck, przedzierzgnięty podobno w siermiężnego ludowca. W każdym razie pupił Kota. Podobno Kot bardzo liczy na niego.

Miałem w biurze kilka politycznych telefonów, sugerujących konieczność jakiegoś zdecydowanego wystąpienia w sprawie rządu szerokiej koalicji. Gdzie się podziałła opozycja ? Zazdroszczę Gieratowi, który właśnie pisze, że czuje się znakomicie „na piaskach pustyni” i jest szczęśliwy, że go nie ma w Londynie. Kurierka z kraju, która tu stosunkowo niedawno przyjechała mówi, że nie wie co by

dała, aby mogła powrócić do Kraju. Tak ma dosyć Londynu. Każdy ma dosyć tego polskiego Londynu.

1 maja, sobota, 12 m. 30 w nocy.

Zdyscyplinowana prasa angielska musiała dostać jakiś nakaz z góry, gdyż drażliwego tematu polsko-sowieckiego w ogóle nie porusza.

Po pierwszym wstrząsie rodacy zaczynają się już uspakajać. Niewątpliwie przyczyniają się do tego deklaracje rządowe. Ostatnia z 27 kwietnia jest zgrabna. Stwierdza z jednej strony gotowość dalszej współpracy z ZSSR na zasadzie poszanowania integralności i suwerenności Polski, która nie pragnie ziem sowieckich, ale musi bronić swoich praw i swych obywateli.

Coś się dzieje za kulisami rządowymi, do których — rzecz prosta — nie mam dostępu. Mówił mi wczoraj Demidecki, że opukiwali Stronnictwo Narodowe, lecz oni nic nie chcą dawać obecnemu rządowi i z niczego Sikorskiego rozgrzeszać.

Nie poszedłem do ministerstwa. Czasami muszę odetchnąć od tego Strattonu. Za to urywały się telefony „polityczne”. Wszyscy to samo : trzeba coś wreszcie zrobić, aby skończyć z tym jednostronnym systemem rządów. Ludzie zaczynają na zimno analizować akcję rządu w sprawie Katynia i twierdzą (nie bez słuszności), że Sikorski pragnąc „odegrać się”, zagalopował się i popełnił szereg kardynalnych błędów. Na przykład : zwracając się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, rząd nie upewnił się najpierw, czy dbała o swą neutralność organizacja zgodzi się na wysłanie komisji badawczej. Jak się okazało, nie zgodziła się. Cały więc wysiłek polski, prócz tego, że został skwapliwie podchwycony przez Niemców, nie dał żadnego pozytywnego efektu. Błąd inny : Nota polska do Sowietów wysłana została dopiero po zwróceniu się z apelem do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Powinno być odwrotnie.

Wszyscy dzisiejsi rozmówcy jakby się umówili. Odmieniali nazwisko Kota, ja zaś im tłumaczyłem, że odkąd go poznałem, odnoszę wrażenie, że jest to po prostu starszy pan z głęboko zapieczonymi urazami, żądny władzy

i na pewno ambitny. Po rozmowach z Kotem mam pewność, że na polityce międzynarodowej się nie zna, a w sprawach wewnętrznych rządzi się rzeczywiście tylko urazami. I z takiego pana robić demona! Jeśli Kot jest doradcą Sikorskiego (a to nie ulega wątpliwości) doradca ten przyspieszy niewątpliwie koniec rządów Sikorskiego.

Ślamazarność opozycji jest irytująca. Inspiruję, rozmawiam. Nic więcej zrobić nie mogę.

3 maja, poniedziałek, II rano.

Nocowali Czerwińscy. Wczoraj byliśmy razem z nimi na uroczystej akademii 3-majowej w dużej sali Colliseum. Pierwszy raz oglądałem na emigracji taką uroczystość. Muszę przyznać, że wypadła bardzo dobrze. Teatr był wypełniony. Gdyby nie tak zwany popularnie „prezes wojska polskiego” czyli gen. Kukiel, który niebardzo nadaje się do takich wystąpień, wszystko robiłoby bardzo dobre wrażenie. Obok, na Trafalgar Square, pod kolumną Nelsona, komuniści angielscy odbywali swój wiec. Były, niestety, tłumy. Piąta kolumna sowiecka działa dobrze.

Churchill z okazji 3 maja użył znowu w swej depeszy gratulacyjnej frazesu o *great and independent Poland*. Może, mimo wszystko, nas nie zdradzi. A może zrobił nam przyjemność, wiedząc, że rząd zdecydował się wycofać swój wniosek w sprawie powołania komisji badawczej przez genewski Czerwony Krzyż? Czy to nam coś pomoże? Na pewno nie. Boję się, czy już się nie cofają na całej linii, przyjmując „przy okazji” wobec Anglików jakieś zobowiązania w stosunku do Rosji. W każdym razie ambasador Romer musiał dziś opuścić Moskwę. Na dworcu żegnał go, prócz ambasadora angielskiego, ambasador Turcji. Wzruszający są ci Turcy.

W sobotę odbywał się „Zespół Piłsudczyków”. Nie poszedłem. Jaś Starzewski miał na pewno inteligentny referat i było stare, akademickie gadanie.

Nie mam na to głowy. Stokroć ważniejsze od tych inteligentnych rozmówek jest pytanie, czy rząd Sikorskiego, zmuszony dopiero niemieckimi rewelacjami w sprawie Kattynia do zajęcia bardziej stanowczej postawy wobec Rosji,

wytrwa na swym stanowisku, czy też się z niego wycofa. Komunikat z 27 kwietnia był zwycięstwem opozycji nad rządem, gotowym już do dalszych ustępstw na rzecz Moskwy. Rząd przestraszył się. Czy teraz dla odmiany nie przestraszy się swej „odwagi” i nie zrobi nagle zwrotu w tył?

1 maja ukazał się w prasie angielskiej nieoczekiwany komunikat rządowy. Wyjaśnia on po prostu, że nie powiodła się akcja rządu, zmierzająca do zbadania sprawy katyńskiej przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Po co ten komunikat, skoro wszyscy już o tym wiedzą? Czytając go odnoszę wrażenie jakby jego autorom chodziło o osłabienie mocnego komunikatu z 27 kwietnia. Czyżby rząd Sikorskiego zdecydował się w taki oto sposób zamknąć jeden z rozdziałów naszych dziejów wojennych, którego tragicznej nazwy „Katyń” nie zapomni nigdy żadne z idących po sobie pokoleń narodu?

IX

W OCZEKIWANIU NIEMIECKIEJ KONTROFENSYWY NA ROSJĘ

5 maja, środa, 1 m. 30 w nocy.

Mieliśmy tak zwaną — ścisłą komisję niemiecką. Sensacji nie było. Wojskowi twierdzą dalej, że Rosjanie znajdują się w przede dniu piekielnego ataku niemieckiego. Mówiło się oczywiście i o sprawie katyńskiej. W odróżnieniu od urzędowego optymizmu, panującego w resortach państwowych, na tej komisji, składającej się z małego stosunkowo grona, panował pesymizm. Minister Frankowski z M.S.Z. uważał, że nigdzie nie zdołamy wywołać aktywnego współczucia dla sprawy Katynia. Powołał się na przykład antysowieckiej Portugalii, w której przeważa pogląd, że jesteśmy tragicznym narodem, który ani z Niemcami, ani z Rosją nie umie ułożyć sobie stosunków. Dlaczego? W to nikt nie wnika, zajęty własnymi troskami i kłopotami.

Nie podzielam tego pesymistycznego poglądu, lecz jest w nim dużo prawdy. W dzisiejszym, cynicznym, brutalnym, pozbawionym zasad świecie trzeba będzie zdobyć się na wielki i uparty wysiłek, by dla tak oczywistej i moralnie słusznej sprawy zdobyć sprzymierzeńców. Gdyby okazało się to niemożliwe — nie warto byłoby żyć w tym rzeczywistości „zgniłym świecie”.

Ożyło nagle pytanie, czy Japonia wystąpi i kiedy? Nie małe pytanie. Zsynchronizowana akcja japońsko-niemiecka przeciw Rosji może jeszcze bardzo zmienić sytuację wojskowo-polityczną. Zdaje się, że nasi wojskowi na

to liczą. Podobno zresztą, wzrasta, według nich, w Niemczech wpływ Reichswehry. Jeszcze mi jest trudno w to uwierzyć.

Prawda. Zapomniałem. Przyjął mnie dziś Drohojowski. Nie wiele się zmienił. Był bardzo uprzejmy.

7 maja, piątek, 1 m. 30 w nocy.

Kończą Tunis i Bizertę. To już nie ulega wątpliwości. Zbliża się prolog inwazji na kontynent. Wydarzeniu temu towarzyszą antypolskie napaści sowieckie. 4 maja Sikorski wygłosił dobre przemówienie do Kraju. Tegoż dnia Stalin udzielił „Times’owi” wywiadu, w którym oświadczał, że jest zwolennikiem... „silnej i niepodległej Polski”.

8 maja, sobota, 3 m. 30 po poł.

Od kilku dni wichura, zimno, deszcz. Ani śladu wiosny. Ale trochę cieplej zrobiło się na duszy, czytając odpowiedź „Times’a” na insynuację Wyszyńskiego o polskich szpiegach w Rosji, działających na rzecz jednego z aliantów.

Pełno jest insynuacji w oświadczeniu Wyszyńskiego. Ale ta o szpiegach jest szczytem bezczelności. Na czyją rzecz mieli Polacy w Rosji szpiegować? Na rzecz Anglików? Więc w nich chciał uderzyć? Po co? Czy chciał postraszyć „sprzymierzeńców”, aby przestali się zbytnio troszczyć sprawami polskimi?

Trochę lepiej zrobiło się również na duszy, czytając w prasie słowo *victory* z powodu zajęcia Tunisu i Bizerty, a potem zdanie: „Południe Europy stoi otworem dla inwazji aliantów, którzy kontrolują obecnie południowy rejon morza Śródziemnego”. *Towards Victory* — brzmi tytuł wstępnego artykułu w „Evening Standard”. Jakżeż sobie życzymy tej inwazji od południa na Europę, na całą Europę włącznie z Polską.

Rano o 7-ej mieliśmy alarm. Według obliczeń prasy był to 24-ty alarm w Londynie w tym roku, a pierwszy od dwóch tygodni. Odwiedziło Londyn tylko 15 samolotów

niemieckich. W ciągu ośmiu godzin brytyjczycy sprzątnęli z nich pięć. Dobry rezultat.

13 maja, czwartek, 4 po poł.

Jestem w domu. Po zimnach pierwszy słoneczny, nawet upalny dzień.

Należałoby się cieszyć, czytając takie słowa w prasie angielskiej: „Wczoraj Afryka, jutro Europa”. W Tunisie wzięli 150 tysięcy jeńców i kilku generałów z von Arnimem na czele. Zwycięstwo to chyba kończy jeden rozdział wojny i zaczyna drugi, decydujący dla Europy. Nie-spożyty Churchill rozmawia znów z Rooseveltem w Waszyngtonie. O czym mówią i radzą? Pewno temat Polski przejściowo odłożyli na bok. Sowiety nie chcą o nim słyszeć. Zerwali stosunki i koniec. Teraz chcieliby tylko dyktować nam warunki: Rząd pod egidą „Związku Patriotów”, Berling w roli wodza naczelnego armii polskiej, oddanie ziem wschodnich. Alianci wiedzą, że na takie dyktando nikt z Polaków nie pójdzie. I pewno dlatego nie mówią o nas w Waszyngtonie.

Tymczasem „Prawda” apeluje do wszystkich Słowian, pisząc że „decydujący moment walki o wolność narodów słowiańskich już nadszedł”. Co za perfidia! Komunizm w słowiańskiej szacie.

Inwazja aliantów zachodnich na Europę — to póki czas jeszcze — ostatnia nadzieja zajęcia Polski przez wojska alianckie i przez wojska polskie. Druga nadzieja — to kontrofensywa niemiecka przeciw Rosji.

Byłem dziś krótko, po raz trzeci, u Kota. Pytał się, co sądzę o powtarzających się pogłoskach na temat proklamowania przez Niemców niepodległego państwa polskiego. Odpowiedziałem, że uważam je na razie za balony próbne.

Rozmawiałem także z Drohojowskim. Wciąż uprzejmy. Łaskawie tytułuje nawet „panem senatorem”. Wiem jednak od Witka, że zarzuca mi, iż zbyt się afiszuję na Piccadilly z Sosnowskim. Skąd mu się wziął ten widok Sosnkowskiego spacerującego ze mną pod ramię na Piccadilly, kiedy to nigdy nie miało miejsca? Widocznie łapsy — gdy inaczej nie mogą — komponują.

Łapsy grasują wszędzie. Pełno ich w naszym ministerstwie. Chyba duża część interesantów, odwiedzających Kota — to łapsy.

Wczoraj poznałem jeszcze jednego zaufanego ministra Kota — p. Siudaka. Podobno — nawet bardzo zaufany.

Godz. 12 m. 15 w nocy.

Cudowna, ciepła noc. Siedzieliśmy do północy przy księżycowym oświetleniu na dole w saloniku. Okna były otwarte. Łagodny chłód i zapach świeżej trawy. Cisza wiejska. Niebo w gwiazdach, krajane bez przerwy białymi smugami reflektorów obrony przeciwlotniczej.

Znowu polecili na Niemcy. Wczorajszej nocy zrzucili na Duisburg 1.500 ton. Największy z dotychczasowych nalotów. Alianci stracili „tylko” 30 maszyn.

Jutro z Waszyngtonu przemawiać ma Churchill. Komunikaty mówią, że rozmowy odbywają się w ścisłym porozumieniu ze Stalinem. Coś za dużo, niestety, tych — ścisłości. Specjalny wysłannik Roosevelta, ambasador Davies, wyjechał do Moskwy. Równocześnie Kreml wezwał z Waszyngtonu swego ambasadora — Litwinowa.

Ofensywa niemiecka na froncie wschodnim jakoś nie nadchodzi. Stosunki japońsko-sowieckie wciąż normalne. Ponoć nawet dobre. Zaśmiałbym się ponuro, gdyby Niemcy z Sowietami raz jeszcze zrobili kawał aliantom. Jak w sierpniu 1939 r.

14 maja, piątek i w nocy.

Upał. Dusznno. Wróciliśmy z „Ogniska”. Z loterii na Polski Czerwony Krzyż. Było dużo osób. Wszyscy poruszeni Tunisem i Bizertą. Wszyscy toną w optymizmie. Wierzą, że jeszcze w tym roku może się wojna skończyć, że Włochy „muszą trzasnąć w najbliższych tygodniach”, że desant na Italię będzie głupstwem itd., itd.

Wczorajszej nocy znowu milion kilogramów bomb poleciało na Niemcy (Ruhra — Berlin) i na Czechosłowację. W ostatnią środę sowieciarze bombardowali Warszawę. Zaczyna się, niestety, i tam.

Modlimy się teraz, by lawina toczyła się w zawrotnym tempie ze względu na nich w Polsce, ze względu na nas, ze względu na przyszłość Polski. Prasa angielska pisze, że „forteca europejska” może lada chwila stać się obiektem generalnego ataku. Oby ! Oby !

15 maja sobota, 12 w nocy.

Dziś po południu, tuż przed wyjazdem do braterstwa na Golders Green, mieliśmy krótki alarm.

Co się dzieje za kulisami międzynarodowej sceny ? Krążą najprzedsławniejsze pogłoski. Podobno Sowiety próbowały dogadać się z Hitlerem, ale żądał uparcie całej Ukrainy. Podobno w Rzymie odchodzi w najlepsze flirt z aliantami. Wymieniają króla i Badoglio jako tych z którymi alianci pertraktują. W gruncie rzeczy mało wiemy. Nasza „góra” zajęta „wewnętrznymi problemami”...

Sikorski jeszcze w tym miesiącu wyjeżdża na Bliski Wschód.

16 maja, niedziela, po 12 w nocy.

W chwili gdy piszę syreny wyją na odwołanie. Alarm nie trwał dłużej, jak kwadrans. Gdy się zaczął myślałem, że będzie coś poważniejszego. Zdawało się, że właśnie dziś, gdy na brytyjskiej wyspie były dzwony z powodu zwycięstwa w Tunisie i w Bizercie, Niemcy zechcą pokazać swój pazur. A tymczasem — nic.

Przyjechał po południu Tadeusz Zieleniewski. Przyszedł również Rudolf Dreszer. Gawędziliśmy o wszystkim i o niczym. Ale było bardzo przyjemnie.

17 maja, poniedziałek wieczór.

Zaraz po południu wróciłem z Londynu do domu. Ucieszyłem się, bo sprawa Zieleniewskiego zaczyna lepiej wyglądać. Był u Sosnkowskiego.

Wczorajsza noc nie skończyła się na jednym, krótkim alarmie. Było ich aż trzy. „Najdłuższy, nocny alarm od

czasu *blitz'u* na Londyn'' — głoszą komunikaty. Było dużo huku. Na dach naszego domu coś stale padało. Janeczka nazajutrz daremnie poszukiwała „odłamków''. Była bardzo rozczarowana, że ich nie znalazła.

Wyobrażam sobie co się dzieje we Włoszech. Bombardowania zbliżają się do Rzymu. Wczoraj bombardowali Ostię. W prasie angielskiej czytam zjadliwą uwagę: „Po raz pierwszy lotnictwo alianckie zjawilo się nad Rzymem. Włoska obrona przeciwlotnicza Rzymu była czynna już przed pokazaniem się naszego lotnictwa. W początku wojny Włosi strzelali do własnych samolotów''...

Alianci zajęli wyspę Zembra. Kiedy zajmą Sycylię?

2 m. 20 w nocy.

Był znowu nalot. Zaczął się po 1-ej. Skończył się punktualnie o drugiej. Pięciu dyżurnych spędziło tę godzinę, spacerując i gwarząc po naszym Millway'u. Noc była piękna. Oglądaliśmy błyski wspaniałego barażu artyleryjskiego na południowej ścianie horyzontu, nad kanałem. Od czasu do czasu dochodziły huki artylerii przeciwlotniczej i oddalone wybuchy bomb. Zdaje się, że tym razem nalot był ciężki. Mam dyżur do 3 m. 30. Ciekaw jestem, czy jeszcze raz będę wychodził tej nocy na swój „posterunek''.

3 m. 15 w nocy.

Właśnie przed chwilą wróciłem z posterunku. Trwało to 3 kwadranse. Obserwowaliśmy na niebie pościg reflektorów za niemieckim samolotem. Bukiety pękających ognii w okół samolotu. Pasjonujący widok. A jednak — jak się zdaje — uciekł.

18 maja, wtorek, po 1-ej w nocy.

Przed dwunastą był już jeden alarm. Zieleniewski twierdzi, że zlikwidowanie przez lotnictwo alianckie trzech tam niemieckich jest jedną z największych bitew wygra-

nych w wojnie gorącej i w wojnie nerwów. 4 tysiące ludzi zatoneło, a 120 tysięcy Niemców zostało bez dachu nad głową.

19 maja, środa, 1 w nocy.

Punkt 12-ta był alarm. Czy jeszcze będzie tej nocy? Raczej tak. W ministerstwie dowiedziałem się, że wśród ofiar wczorajszego nalotu są również Polacy.

Na dzisiejszej komisji niemieckiej zdenerwowali mnie nasi wojskowi. Zbyt wiele przejawiają szacunku dla armii niemieckiej. Szkoda, że nie umieli oceniać właściwie jej siły przed wrześniem 1939 roku. Nic natomiast nie mówią teraz o niemieckiej kontrofensywie na wschodnim froncie.

20 maja, czwartek, 11 wieczór.

Pełnia księżyc. Znowu pewno będą alarmy. Wczoraj po pierwszym był, oczywiście, drugi, bardzo głośny. Trwał do 3-ej rano. Okazało się jednak, że nad Londynem zjawił się tylko jeden samolot niemiecki. Słowem wiele hałasu o nic. Wobec tego, że „Moskity” atakowały wczoraj Berlin, należy się spodziewać rewizyty. Spać mi się chce piekielnie.

Eden zapowiedział, że Niemcy będą teraz bombardowane w dzień i w nocy — aż do zwycięstwa. Brawo. Byle prędej.

12 w nocy.

Był alarm. Bez huków.

21 maja, piątek, 1 m. 30 w nocy.

Nie było dalszych alarmów. Wyspałem się. Jak dotąd — cisza. Idę spać. Nocują dziś, prócz Zieleniewskiego, Staś Westfal i Zygmunt Grażyński.

Wiadomości wciąż dobre. Na Sardynii niszczą lotnictwo niemiecko-włoskie.

Sikorski wylatuje lada dzień. Po co? Dlaczego właśnie teraz? Trzeba się będzie dowiedzieć, jaki jest właściwy cel tej podróży. W Londynie ma spokój, przynajmniej na pewien czas. Zerwanie przez Moskwę stosunków ostudziło zapąły opozycji do generalnej rozprawy z rządem. Nikt jej nie będzie podejmował w czasie nieobecności Sikorskiego. Dlatego nie rozmawiam teraz na te tematy, ani z Bieleckim, ani z Pragierem, ani z Kuncewiczem, czy z Góreckim. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze. Dalsze trwanie takiego rządu jest zupełnym nonsensem.

Na pewno dopilnują tego młode, dynamiczne junty wojskowe. Pokazano mi dziś sześciostronicową ulotkę odbitą na powielaczu, zatytułowaną: „W obronie kolegów”. Zawiera dokładny opis stanu faktycznego sprawy aresztowania czterech oficerów lotnictwa: Poziomka, Bujańskiego, Kurzemy i Sępa-Szarzyńskiego. Wszystko bojowi oficerowie. Jest w ulotce tekst listu do Prezydenta oraz arcyniepochlebna biografia gen. Stanisława Ujejskiego. Jest wzmianka o reakcjach społeczeństwa na te aresztowania. Gdy 25 kwietnia, w pierwszy dzień Wielkiej nocy, czterej oficerowie przejeżdżali przez Edynburg, żegnali ich tłumnie (mimo oficjalnego zakazu władz) koledzy-oficerowie i polska młodzież uniwersytecka. Major Poziomek w dniu swych imienin otrzymał kilkaset listów i depeesz. Wiem skądinąd, że Sosnkowski dał także jakiś wyraz swej sympatii dla zesłanych. Oficerowie marynarki i innych broni również.

Odbył się pogrzeb Żyda Zygelbojma, członka Rady Narodowej. Odebrał sobie życie. Dalej nadchodzą wiadomości o zaciętym oporze Żydów w warszawskim ghetcie.

Zdaje mi się, że pan redaktor Puacz ma świrka. A szkoda, bo wcale zdolny człowiek.

22 maja, sobota, po 1-ej w nocy.

Jednak był nalot. *Single raiders* piszą dzienniki. *12th London night alert this week*. Na szczęście koniunktura domowa była pomyślna, bo żona niczego nie słyszała. Leżałem w łóżku i nie trzeba było wstawać.

Włochy muszą być w strachu. Dzień w dzień słyszę zapowiedzi, że teraz kolej na nich.

Popołudniowa prasa przyniosła sensację. *Communist International to be dissolved* celem „skoncentrowania wszystkich sił przeciwko faszystowskiej koalicji”. Podejrzewam zwykłą maskaradę, obliczoną na efekt zewnętrzny czyli na ordynarne zbudowanie szanownych sprzymierzeńców. Są tak beznadziejni, że, niestety, długo ich jeszcze sowieciarze będą mogli bujać. A przecież dziecko wie, że etykietę rozwiązanego Kominternu zastąpi inna i nic a nic się nie zmieni. Zawartość komunistycznej butelki pozostanie ta sama. Trudno jest uwierzyć, by takich prostych rzeczy nie rozumieli Amerykanie lub Brytyjczycy. Dlaczego więc dają się bujać? Chyba tylko dlatego, że spojrzenie w oczy sowieckiej prawdzie zmuszałoby ich do wyciągnięcia konsekwencji, których nie chcą wyciągać. Najpierw Niemcy — mówią — a potem... Zobaczymy, jak będzie wyglądało to — potem.

Niebo od pół godziny dosłownie jęczy od szumu samolotów lecących na kontynent. *Pendent* do tego, co przed chwilą napisałem. Rzeczywiście, najpierw na planie są Niemcy.

25 maja, wtorek, I m. 15 w nocy.

Byliśmy całą rodziną z Jedlickim na „Wesołej Wdówce”. Doskonałe przedstawienie. Przypomniała się Warszawa, Kawecka, Messalka. Piękna muzyka. Janeczka szalenie lubi teatr. Była zachwycona.

Ani z soboty na niedzielę, ani z niedzieli na poniedziałek nie było alarmów. Skończyła się pełnia księżyca.

Czekamy z niecierpliwością na dalszy rozwój wypadków wojennych. Przede wszystkim na Włochy. Walą już w nich, jak w bęben. Na tapecie teraz Sardynia. Ale i o Niemczech nie zapominają. Wczoraj spuścili na Dortmund 2 tysiące ton.

Dwa dni temu dostałem jakimś tajemniczym kanałem stenogram przemówienia Goebbelsa, wygłoszonego na pofunnej konferencji dla prasy w Propagandaministerium, w Berlinie. Konferencja odbyła się 23 września 1942 r. Ton

i treść przemówienia minorowe. Goebbelsa bardzo niepokoją bombardowania miast niemieckich. Wyraźnie drży o postawę duchową Niemców, o ich wytrzymałość psychiczną. Nie szczędzi im gorzkich słów. Nazywa ich znowu narodem politycznie niedojrzałym. Stawia za przykład Brytyjczyków. Lecz, co najciekawsze, już osiem miesięcy temu mówi o przypadkach lub cudach, które mogą przesądzić los wojny na rzecz Niemiec. Dowodzi, że naród musi być przygotowany na nadejście takiego cudu. Powołuje się na wojnę siedmioletnią. Zupełnie rewelacyjny dokument. Posłałem go dziś Drohojowskiemu dla szanownego szefa. Czy szef przeczyta — wątpię. Drohojowski — może. Szefa nieuleczalnie pochłaniają sprawy wewnętrzne.

A w naszym świecie kotłuje się dalej. Stroński poszedł do fabryki. Robi manifestację. Chyba zrywa z rządem i Sikorskim, bo inaczej po co ta bluza robotnicza? Równocześnie Haller został delegatem na Bliski Wschód. Świat się kończy! Ludzie mówią złośliwie, że najmłodszy minister rządu przeczytany na odwrót ma 73 lata. Facet bliski wywiadu brytyjskiego ostrzega mnie wciąż przed łapsami. Wszędzie ich pełno, a na łapsowskiej piramidzie siedzi mój szef — Kot. Tymczasem, o nieba, ten sam Kot dał mi drugą kategorię, o której przy Strońskim nie mogłem marzyć. Stroński bał się walczyć o podwyżkę dla mnie, jako żem piłsudczyk. A wszechpotężny Kot zdecydował sam, jednym machnięciem pióra.

Cieszę się z tej kategorii. Oczywiście nie chodzi mi o żadne kategorie. Ważne jest to, że będę więcej zarabiał i trochę odsapnę finansowo, bo czasem było ciężko.

27 maja, czwartek, i w nocy.

Umarła stara Miss Oldham, moja nauczycielka angielskiego. Żywa, zacna, starsza pani. Szczерze lubiła Polaków. Z zawodu była nauczycielką muzyki i śpiewu. W czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia, gdyśmy siedzieli przy wigilijnym stole, nagle pod oknami rozległ się chóralny śpiew kolęd polskich. Śpiewały po polsku Angielki, uczennice Miss Oldham. Sama je przygotowała. I z całą tą gromadką obchodziła w wieczór wigilijny na Mill Hillu

domy, zamieszkałe przez polskie rodziny. Mimo, że już stosunkowo dawno nie widziałem starej pani, dziwnie z jej śmiercią opustoszał Mill Hill. Wszyscy Polacy, którzy ją znali, mówią to samo.

Lecz Miss Oldham — to raczej wyjątek. Na ogół Anglicy są tylko uprzejmie poprawni. Czasem tylko zdobywają się na serdeczne odruchy. Przykład. Nasza sąsiadka przed kilku dniami przyniosła pęk białoczerwonych goździków, życząc nam, z powodu zwycięstw nad Niemcami, szczęśliwego powrotu do wolnej Polski. Była zażenowana. Wzruszyliśmy się tą nieoczekiwaną manifestacją sympatii dla nas i dla Polski.

Na froncie wschodnim opukują się. Chyba wreszcie wezmą się za łby.

W ostatnim nalocie na Wilhelmshafen stosunek straconych myśliwców był jak 74:12 — na korzyść aliantów. Ładna proporcja. Niemcy w powietrzu leżą kompletnie.

Zdaje się, że leżą i w powietrzu i na ziemi, przynajmniej na zachodzie. Dowodzą tego łamańce niemieckiej propagandy, wyzyskującej zarysowującą się coraz bardziej przepaść między Polską a Sowietami.

Dzisiejszy mój artykuł: „Niemiecki bluff czy szukanie alibi”, poświęciłem omówieniu niemieckiej instrukcji prasowej, rozesłanej 31 marca (drogą radiową przez agencję N.P.D.) do prasy niemieckiej. Instrukcja ta, zrywając z dotychczasowym poglądem, że General Gouvernement, jako *Nebenland* (kraj uboczny) jest wyłącznie terenem wyzysku i kolonizacji niemieckiej, zajmuje się nieoczekiwane wykładnią słowa *neben*. Według instrukcji, w tym słówku *neben* (obok) mieścić się ma pojęcie równouprawnienia Polaków z Niemcami... *In dem Wörtchen neben liegt der Sinn von Gleichberechtigung*. „Jak uczy historia niemieckiego Wschodu — głosi instrukcja — synteza i owocne współżycie pomiędzy Niemcami i Polakami jest całkowicie do pomyślenia”. Instrukcja marcowa powtórzona została 28 kwietnia, traktując nas już łaskawie, jako naród — *Polen als Nation*.

W piętkę gonią, bo dostają lanie. Zakończyłem artykuł krótko: „Wszystkie te zabiegi, które należy traktować jako zwykły bluff, mają ponadto jeden cel na oku. Chodzi o stworzenie sobie wobec Polaków alibi na dzień sądu ostatecznego nad niemieckim najeźdźcą”.

28 maja, piątek, i w nocy.

Znowu kilka osób przyjechało z kraju. W Polsce ludzie trzymają się świetnie. Samopoczucie doskonałe. Nie można go nawet porównać z naszym.

Bombardowali Zeissa w Jenie i w Essen.

30 maja, niedziela, i w południe.

Złe spałem, bo o 1,30 w nocy był alarm. Dziś rano Zieleniewski wyjechał do Edynburga. Ciekawe, co stamtąd przywiezie.

31 maja, poniedziałek 2 m. 15 w nocy.

Przed chwilą skończył się alarm. Zaczął się około 2-ej, gdy kładłem się spać. Wysłuchałem z żoną i Janką zwykłej symfonii bliższych i dalszych syren. Jest wśród nich taki gatunek, który przypomina wycie psa. Strzałów nie było słychać.

1 czerwca, wtorek po północy.

Jednak wczorajszej nocy spadły bomby. Na południe Londynu. Wybuchy słychać było na Chalk Farm, a u nas, bardziej na północ, już nic. Stale zapominam, że od Mill Hillu do centrum Londynu będzie z kilkanaście kilometrów. Małe miasteczko ten Londyn.

Dziś ktoś znowu gadał z Raczyńskim w sprawie mego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Od dwóch lat ktoś z kimś gada na ten temat. Nic z tego nie wyjdzie. Prędzej się wojna skończy. Zresztą, czy jest sens myśleć o tym w chwili, gdy coraz wyraźniej świta koniec wojny. Świta? Czy nie zbytek optymizmu? Wprawdzie i ze Stanów można byłoby szybko wrócić do Kraju...

Biją dalej sympatycznych makaroniarzy. Na froncie niemiecko-sowieckim wciąż cisza. Co znaczy powiedzenie niemieckiego komentatora wojennego gen. Dittmara, że siła Niemiec jest w defensywie? Czy Niemcom nie chodzi

o wytworzenie impasu, w czasie którego mogliby zagrać na różnicach wśród aliantów i doprowadzić do oddzielnego pokoju z Rosją ? Zdaje się, że za daleko sięgam.

Mimo fantastycznej propagandy, jaką agenci sowieccy rozwijają w W. Brytanii, czuć pierwsze oznaki otrzeźwienia. Zwłaszcza tam, gdzie trzeba. Poważny osobnik z War Office powiedział przed kilku dniami do pewnego Polaka :

- 1) Stosunki sowiecko-japońskie są wcale dobre. Japonia dostarcza Sowietom kanonierek wojennych. Za co ? Nie jest wcale wykluczone, że za tanki angielskie, wysyłane Sowietom. Fakt ten wywołuje kwasy w Stanach Zjednoczonych.
- 2) Sowiety rozbudowują lotnictwo na granicy Afganistanu. Po co ? Odpowiedź nie jest trudna.
- 3) Sowiety zaaranżowały „plebiscyt” w poł. Persji. (Tawrizja). Też jasne po co.
- 4) Sowiety zastrzegły się kategorycznie przeciwko próbom inwazji alianckiej na Europę przez Bałkany. Anglicy mieli to zastrzeżenie sowieckie przekazać Waszyngtonowi. Waszyngton miał rzekomo oświadczyć, że nic ich ono nie obchodzi.

Poważny osobnik z War Office'u powiedział memu znajomemu na zakończenie : „Będziemy z Amerykanami okupowali całą Europę, a potem dopiero pogadamy z Sowietami. Jeśli będzie trzeba, pójdziemy przeciwko nim”.

Gdy notuję te słowa, błogo się robi na duszy. Wydaje mi się, że Churchill z Rooseveltem na pewno mówili o ewentualności wojny z Rosją, że w ogóle jesteśmy przeczuleni, rozhisteryzowani, wpadamy przedwcześnie w pesymizm i widzimy wszystko w czarnych kolorach.

Żebyż wreszcie Niemcy zaczęli pracować sowieciarzy na froncie wschodnim !

X

PRZED INWAZJĄ NA KONTYNENT

3 czerwca, czwartek o północy.

Wezwał mnie dziś Kot. Byłem u niego godzinę. Temat: Niemcy, wojna, perspektywy, przewidywania. W sumie — pogaduszka dwóch intelektualistów, którzy plus-minus rozporządzają takimi samymi elementami. Myślałem, że się czegoś ciekawego dowiem, a tu nic.

Czekając na Kota, przeczytałem, pozostawione na stole, dwa wazelinierskie listy do pana ministra. Jeden z 7 maja, ze Stambułu, pisany przez mecenasa Jerzego Kurcjusza, współpracownika warszawskiego ABC, dawniej oenerowca. Nie przejąłem się tym przypadkowym odkryciem. Natomiast inny list, pisany przez mego serdecznego znajomego, bodaj z południowej Ameryki (zdaje się, że z końca marca), napęlił mnie przez chwilę obrzydzeniem do ludzi.

Byliśmy u Krystynów Ostrowskich. Ktoś opowiedział kawał o trzech malarzach odpowiedzialnych za wojnę: Hitlerze, Śmigłym i Rubensie. Pewien niezbyt inteligentny pułkownik polski zaprotestował gorąco, mówiąc: „Hitler — tak, Śmigły — tak, ale Rubens? To przecież hotel!”

Wszyscy u Ostrowskich byli podnieceni wiadomościami, że 138 okrętów alianckich wyruszyło z Gibraltaru na Morze Śródziemne. Chyba początek inwazji na kontynent?

5 czerwca, sobota, 1 m. 30 w nocy.

Jestem znowu niewyspany. Wczorajszej nocy, około 2-ej, był alarm. Noc była ciepła. Mżył deszczyk. Skończyło się na gawędach dyżurnych. Anglicy byli także w złych humorach. Nie słyszeliśmy żadnych strzałów.

Po południu byliśmy u połągowskich Tyszkiewiczów, na południu Londynu. Wszędzie świeże ślady bombardowań. W porównaniu z nienaruszonym Mill Hill'em zgoła ponura okolica.

Włochów grzeją. Dziś rano Churchill z Rooseveltem wrócili z Tunisu. Fama niesie, że nie dogadali się z Sowietami. Nie wierzę jednak, aby tak szybko miało dojść do zasadniczych kontrowersji. Im dłużej, tym, niestety, coraz mniej wierzę, by Stalin mógł myśleć o porozumieniu z Hitlerem. Chyba upadłby na głowę. Z Hitlerem może wszystko stracić, z Aliantami jeśli nie wszystko wygrać, to na pewno bardzo, bardzo wiele. Przekonał się co znaczy ogrom zbrojeń amerykańsko-brytyjskich, co znaczy siła ich techniki wojennej. Sam funkcjonuje tylko dzięki ich pomocy. Nie! Byłby idiotą, a za takiego Stalina nie uważam. Gra, szachruje, denerwuje, szantażuje Aliantów i tą bronią stale od nich coś wyciąga.

Nocują Opieńscy.

6 czerwca, niedziela, 1-sza w nocy.

Czytając dzisiejszy „Sunday Express” odnosi się wrażenie, że z chwilą powrotu Churchilla zapadną jakieś decyzje militarno-polityczne o zupełnie przełomowym znaczeniu. *Secret not likely to be told* — pisze dziennik na marginesie spodziewanego w Izbie Gmin oświadczenia brytyjskiego premiera. A obok zaraz wymowny tytuł: *America predicts a landing imminent*. Zaś wojskowe autorytety państw alianckich wyjaśniają spokojnie państwom osi, że właściwa rozprawa dopiero się zacznie. Ton absolutnie pewnych siebie zwycięzców: *Bombing such as no area of the size ever had in world history*.

Jestem tymi wiadomościami podniecony. Wszyscy jesteśmy podnieceni. Zdaje się nam, że wielkie wypadki po

prostu fizycznie wiszą nad głowami i że lada chwila runą potężną lawiną.

Józio Opieński opowiadał nam szczegóły, zasłyszane od pewnego porucznika z „Batorego” o lądowaniu Aliantów w Afryce Północnej. Siła, dyscyplina i fantastyczna organizacja. Amerykanie zdystansowali pod każdym względem Niemców. Józio jest optymistą. Optymistą z natury. Ale na pewno tak jest, jak opowiadał ten porucznik.

Że tak powiem — z urzędu — nie wychodzę z prasy niemieckiej, broszur, książek. Mimo goebbelsowskiej kontroli, wyczuwa się w politycznej literaturze niemieckiej nastroj zmęczenia. Nie ma dynamizmu. Siłą się już tylko na dynamizm.

7 czerwca, poniedziałek, około 2-ej w nocy.

Niebo dudni metalicznie. Dokąd lecą ? Może już *zero hour here*. Tak się to tutaj nazywa. Inwazja wisi w powietrzu. A może ruszą przez Hiszpanię ?

Rano puścił ktoś w ministerstwie ploteczkę, że rząd polski ma się przenieść do Kairu. Kto wie. Osobiście, wołałbym, aby się przeniósł do Stanów Zjednoczonych. Stany grają i będą grały pierwsze skrzypce.

Sikorski jest wciąż na Wschodzie. Konferuje, odwiedza oddziały wojskowe. Nie zastał tam miłego nastroju dla siebie, więc usiłuje go rozładować.

Dziś ukazał się w „Dzienniku” mój artykuł pt. „Aktor główny schodzi”... Główny aktor — to Hitler. Nie wiem, oczywiście, czy nie mylę się w swojej ocenie. Zaczynam ją tak :

„Za kulisami niemieckiej sceny już od dłuższego czasu odbywa się tragedia z której zdają sobie sprawę tylko nieliczni, wtajemniczeni w najpoufniejsze arkana wszechpotężnej partii. Szerokie koła narodu niemieckiego nic o tej tragedii nie wiedzą, czują jednak na pewno jej obecność. Do krajów walczących z Niemcami dochodzą tylko słabe echa.

Pozornie nic się na ogół nie zmieniło. Na niemieckiej scenie ukazują się wciąż, do znudzenia, te same postacie głównych aktorów. Uderza jedynie fakt że pierwszy spośród nich unika raczej występów

publicznych, a jeśli się ukaże przelotnie — robi wrażenie, że stracił formę. Solidarny z nim *ensemble* stara się wypełnić tę lukę. Podciąga się, jak może, zapewniając publiczność, że wszystko jest w porządku, a niedyspozycje głównego aktora mają — charakter przejściowy.

Analiza, choć na odległość kulisów życia politycznego w Niemczech, dowodzi jednak, że jest zupełnie inaczej. Hitler po prostu zaczyna już schodzić ze sceny. Pierwszy tenor narodu niemieckiego nie cierpi na przelotną chrypkę, lecz na tak zwane chroniczne zgrubienie strun, która to choroba oznacza — dla śpiewaka — bezpowrotny koniec kariery. Toteż za kulisami niemieckiej sceny cisną się już kandydaci do objęcia po Hitlerze i po zgranym z nim zespole — dziedzictwa politycznego”.

9 czerwca, środa, 12 m. 30 w nocy.

„Ultimatum” — głoszą dzisiejsze komunikaty — „postawione Pantelarii upłynęło o godz. 6-ej”. Mówią one również o próbie alianckiego desantu na Lampeduzie. Niemcy nie są jakoś bombardowane. Nad londyńskim niebem również cisza. Wszyscy powtarzają w kółko : „Cisza przed burzą”.

Na dzisiejszej komisji niemieckiej zapanowała nagle zgoda. Niemcy znaleźli się w ciasnej uliczce z której nie mają wyjścia. Mówili to samo wojskowi oraz Lipski, Wieniewicz, Łychowski, no i ja.

Zygmunt Nowakowski doskonale zatytułował swój świetny felieton w „Wiadomościach” — „De revolutionibus orbium celestium”.

10 czerwca, czwartek, 1 w nocy.

Księżycowa, jasna, gorąca noc. Mam dyżur między 1 — 3, ale nie mam przecucia, by nas dzisiaj budzili. Wszystko teraz skoncentrowane na Pantelarii, Sycylii, Sardynii. Pantelaria ledwo zipie.

Przedwczoraj rozmawiałem z p. K., który w listopadzie wyjechał z Kraju. Jego opowiadania, uzupełniające krajową literaturę podziemną, dają obraz tragiczny. Od rana do nocy trzeba błagać Boga o pośpiech.

O ileż szczęśliwsi od młodych w Kraju są młodzi Polacy z armii Rommla, którzy w liczbie 5 tysięcy mają podobno przybyć na wyspę i być wcieleni do wojska polskiego.

Z radia dowiedzieliśmy się, że polska łódź podwodna zatopiła statek niemiecki pojemności 7 tys. ton.

11 czerwca, piątek, po 1-ej w nocy.

Przez cały dzień było upalnie i duszno. Pracowałem w domu. W czasie obiadu radio przerwało normalną audycję, komunikując o zajęciu przez wojska alianckie Pantelarii. Wypiliśmy „drinka” na pomyślność wojsk angielskich. Pierwszy z wielu przedpokoi, prowadzących do mieszkania, które Niemcy buńczucznie nazywają „Fortecą Europejską”, został zajęty. Jesteśmy szczęśliwi, choć zdobycie Pantelarii nie jest dla nikogo niespodzianką. Lecz może teraz już wszystko posuwać się będzie prędzej — ku Polsce.

13 czerwca, niedziela, Zielone Świątki, ok. 2-ej w nocy.

Wczorajszej nocy w odpowiedzi na Dortmund — przyłecieli. Był alarm. Strzały dochodziły z oddali. Dziś w nocy — było około 12-ej — przeraził mnie telefon żony pewnego kolegi z ministerstwa. Mieszkają na Mill Hill'u, spory kawałek drogi od nas. Wzywała nieprzytomnym ze strachu głosem, abym zaraz przyszedł. Pobiegłem. Okazało się, że mąż dostał ataku. Jak się zdaje — *delirium tremens*. Jest zupełnie sama w willi. Boi się. Nie wie co robić. Przyznała się, że mąż jej pije nałogowo. Do kolekcji licznych wariatów czy półwariatów, przybył jeszcze jeden. A jego właśnie nie podejrzewałem. Taki zawsze spokojny, zrównoważony, łagodny, grzeczny, uśmiechnięty.

Delikwent leżał w poprzek łóżka i nie poznając nikogo wydawał z siebie przeraźliwe ryki. Wezwałem jego

współpracownika, aby został w willi. Uspokoilem nie-szczęśliwą kobietę. O 1-ej wracałem do domu. Noc, jakby dla kontrastu z ponurą sceną, była cudowna. Słuchając szumu drzew, dosłownie skąpanych w jasnym blasku księżyca, powtarzałem sobie po niemiecku : *Die Welt ist schön*, „Piękny jest świat, tylko ludzie są źli...” W drodze złapał mnie alarm. Przyśpieszyłem kroku. Gdy stanąłem na naszej ulicy, skrzykiwali się właśnie moi koledzy-dyżurni.

Dom był tego wieczora pełen. Nocowali Boguszowie i Dymszyna. Wszyscy zaniepokojeni, czekali na mój powrót. Rezultat tych przeżyć — że znowu się nie wyśpię. Kiedy ja się w ogóle wyśpię ? *Die Welt ist schön, bloss...*

Lampeduza już zajęta. I jeszcze jakaś mała wysepka. Wszędzie powiewają białe flagi.

15 czerwca, wtorek, i w nocy.

Wczorajszej nocy były dwa alarmy. Pierwszy — krótki, nad ranem — dłuższy. Nie wstawałem. Żona szczęśliwie spała i żadnego alarmu nie słyszała. Ponieważ ostatniej nocy bombardowali mocno Oberhausen, mogą jeszcze dziś przylecieć.

Po co ja te alarmy tak skrupulatnie notuję ? Czy to ważne ? Przecież sam przesypiałbym je jak anioł. Ale żona ma uraz na punkcie nalotów. Musimy się zrywać, schodzić. Na szczęście Janka, tak jak ja, nie reaguje na naloty i wszelkie alarmy.

Może się to wszystko poprawi, gdy się przeniesiemy z Mill Hillu. Bogusz szuka dla nas dwóch pokoi, tak zwanego „flatu” w dużym budynku przy Chalk Farm, w którym mieszkają. Żona będzie się tam czuła spokojniej. Pełno wszędzie znajomych i bliskich. Pożytek dla mnie podwójny. Będę więcej spał, no i bliżej do ministerstwa. Za to trzeba będzie rozstać się ze wsią. Żal będzie Mill Hillu.

Po gwałnych Zielonych Świątkach — cisza w domu. Goście wrócili do Londynu. Dla mnie — raj, dla żony — powód do niepokoju. Trzeba się stąd, niestety, wynosić.

Zdaje się, że na froncie rosyjskim zaczyna się ruch. Prasa zamieszcza niemal jednobrzmiące artykuły, dowodząc, że „fortecę europejską” ogarnął już strach przed inwazją.

16 czerwca, czwartek, po 1-ej w nocy.

Załatwiałem sprawy związane z opuszczeniem Mill Hillu. Nie lubię tego. Drobiazgi i kłopoty, wobec których błędną nawet sprawy wojny i pokoju.

17 czerwca, czwartek, po 1-ej w nocy.

Przed chwilą skończył się alarm. Znowu księżycowa noc.

Sikorski w jakimś miejscu postoju naszych oddziałów wojskowych kazał grać „Pierwszą Brygadę”. Robi zgodę z piłsudczykami. Przemawia wszędzie bojowo, antysowiecko. Słowem wypełnia to, co przyrzekł Raczkiewiczowi, opuszczając Londyn.

Gdy mi o rozmowie Raczkiewicza z Sikorskim opowiadał inż. Piotrowski, nie uważałem za stosowne nawet paru słów zapisać na ten temat. A jednak, jak się okazuje, miała ona tym razem jakiś głębszy sens. Gra, czy nie gra, ale robi to, co przyrzekł. Może rzeczywiście chce zawrócić z tej przekłętej drogi, na którą wszedł niemal od pierwszych tygodni wojny, gdy otwarły się przed nim nieoczekiwane możliwości i perspektywy. Może...

Podobno ks. Kaczyńskiego spławili z redakcji „Dziennika”. Ciekaw jestem kto.

18 czerwca, piątek, 1 w nocy.

Cały dzień leje deszcz. Właściwie raz leje, raz przegradza się w kapuśniaczek. Wieczór przegadałem z L. Bogdanowiczem. Nasz Tatar z Grodna. Wielu rzeczy się nauczyłem.

Telefonował Ostrowski. Przyleciał — jak się wyraża — z raju. Był w Portugalii. Podobno płk. Kowalewski chciałby, abym tam przyjechał. Bardzo piękna idea, ale jak ją zrealizować. Ileż bym dał, aby się znaleźć w tym uroczym kraju, który z takim uporem opuszczałem, rwąc się zamiast jak inni do Stanów Zjednoczonych, do „wal-

czącej Anglii''. Tym bardziej teraz, gdy zbliża się chwila inwazji na Europę. Senne marzenie.

Obserwując Niemcy patrzą najuważniej na Goebbelsa. Jest to bezsprzecznie najinteligetniejszy i najbardziej utalentowany człowiek hitlerowskiej góry. Z okazji dziesięciolecia jego kariery ministerialnej w „Reichsministerium für Volksaufklärung und Propaganda” poświęciłem mu artykuł w dzisiejszym „Dzienniku”. Kończę go następującymi zdaniami : „Goebbels jest znakomitym znawcą duszy niemieckiej. Umie w niej czytać i wie, jak w chwili zwątpienia, potrafi się załamać. Elementy tego zwątpienia dostrzega już wszędzie. Widzi je wyraźnie od jesieni ubiegłego roku. Nie ulega żadnym złudzeniom. Spośród wodzów Trzeciej Rzeszy jest zapewne największym, najcyńniczniejszym realistą. Z jego to na pewno inicjatywy dziesięciolecie rządów partii, włącznie z 10-leciem jego własnego resortu przeszło tak niepostrzeżenie. Nie chciał prowokować.

Obserwując sylwetkę Goebbelsa można śmiało zaryzykować twierdzenie, że siedząc w pałacu na Wilhelmplatz cały swój przebiegły mózg wysila dziś tylko, by znaleźć odpowiedź na pytanie jak wybrnąć z tej beznadziejnej sytuacji ? Może już ją znalazł, a może dopiero znajdzie. W każdym razie on jeden będzie ją miał na pewno”.

19 czerwca, sobota, i m. 30 w nocy.

Przed kilku minutami skończył się nalot. Staliśmy z Boguszem na ganeczku naszej willi, obserwując znowu pościg reflektorów za niemieckim samolotem. Huku było pełno. Teraz niebo drży od bombowców ciągnących na Niemcy.

Prasa i radio mówią o koncentracji floty na Syrię, o odlocie Sikorskiego do Bejrutu. Z jednej strony nastroje wyraźnie inwazyjne, z drugiej jednak Elmer Davis, dyrektor U.S. Office of War Information, mówi swym rodakom : „Nie bądźcie niecierpliwi, jeśli inwazja nie przyjdzie ani dziś, ani jutro. Ona przyjdzie. Powietrze przesycone jest plotkami. Nie bierzcie ich za poważnie. Gdy akcja rzeczywiście się zacznie, naród amerykański dowie się o niej”

21 czerwca, poniedziałek, 12 m. 30 w nocy.

Czas znowu się dłuży. Bombardowanie Neapolu czy innego portu włoskiego już nie robią wrażenia.

Za mało wiemy. Same „podobno”. Podobno misja ambasadora Daviesa do Stalina skończyła się fiaskiem, podobno Churchill i Roosevelt nie osiągnęli porozumienia w sprawie dowództwa na kontynencie europejskim, podobno Turcja wkrótce ruszy, podobno, ostatecznie, będzie inwazja przez Bałkany, podobno wielka kontrofensywa niemiecka rozpocznie się lada dzień. Podobno...

Mam dość Mill Hill'u. Chciałbym, aby było po przeprowadce.

23 czerwca, środa, po północy.

O 4-ej nad ranem był alarm. Skończyło się wszystko znakomicie, gdyż żona przespała syreny.

28 czerwca, poniedziałek, po północy.

Już od soboty wieczorem mieszkamy w Eton Hall, przy Chalk Farm, minutę od kolejki podziemnej. W nowoczesnym, kilkupiętrowym budynku. Na czwartym piętrze. Dwa nieduże pokoje. Ciasno po Mill Hill'u.

Jakoś w czasie wojny wszystkie przeprowadzki odbywam w czerwcu. Po załamaniu się Francji w czerwcu 1940 roku „przeprowadziłem się” do Portugalii, w czerwcu 1942 r. przenieśliśmy się na Mill Hill'u z Parkside na Millway, w czerwcu z Mill Hill'u na Chalk Farm. Najpóźniej w czerwcu roku przyszłego „przeprowadziłbym się” z Anglii do Polski. Czasem wydaje mi się, że przeprowadzka w tym terminie jest możliwa, a czasem nie czuję jej wcale.

W Niemczech podobno 11 milionów ludzi przeprowadza się w popłochu i w nieładzie z Zachodnich Niemiec do Wschodnich. Skutek bombardowań alianckich. Dobrze im tak za wszystkie łajdactwa urządzone z naszą ludnością ziem zachodnich, za łapanki i masowe wysyłki na roboty do Niemiec.

Naszym emigracyjnym „wnętrzem” przestałem się

interesować. Dziś tylko nadstawiłem ucha, gdy usłyszałem pogłoski o rozdzwiękach między Sikorskim a Kotem. W świetle zachowania się Sikorskiego w czasie obecnego wypadu na Bliski Wschód, jest to zupełnie do pomyślenia. Kot nie może aprobować „nowej linii” Sikorskiego, jeśli Sikorski zamierza przy niej trwać. Kot miał na Radzie Narodowej exposé. Ciołkosz i Pragier zaatakowali go bardzo za Stefana Litauera. Mieli rację. Ten mój stary znajomy wygląda coraz bardziej podejrzanie. Już dziś nie dałbym trzech groszy, że kombinuje na całego z sowietami. Reszta wewnętrznych tematów — raczej nie ciekawa. Na przykład : czy „Dziennik Żołnierza” zostanie połączony z „Dziennikiem Polskim” i czy znakomita para — Pruszyński i Słonimski obejmie redakcję połączonych pism ? Albo inny temat. Marceli Karczewski przestał być redaktorem „Dziennika Polskiego”. Dlaczego ? Podobno nie mógł wytrzymać z Kotem, czy Kot z nim. Za pretekst posłużyć miało niefortunne tłumaczenie pewnego przemówienia Churchilla.

Para Pruszyński i Słonimski — to ulubieńcy Kota. Wszystko wobec tego jest możliwe.

Mam tak zwany urlop. Oczywiście nie wysuwam nosa poza Londyn. Trochę się nudzę i — myślę.

Nasz cały rachunek polityczny (jeśli słowo rachunek jest w ogóle na miejscu) sprowadza się do zgoła prostej formuły. Niemcy swoimi kontrofensywami powstrzymują napór sowiecki u granic Polski. W tym czasie armie alianckie wraz z naszą armią zajmują Europę, uwalniając Polskę od niemieckiego okupanta. Armie sowieckie zbliżając się ku zachodowi, spotykają na granicy polskiej sprzymierzone z sowiecką armie alianckie oraz wielotysięczną armię polską, wyposażoną w najnowocześniejszą broń przez Amerykanów i Brytyjczyków. W Polsce, oczywiście, znajduje się już Prezydent RP i rząd polski.

Niestety to nie rachunek, ale — jak mówią Anglicy — tylko *wishful thinking*, czyli pobożne życzenie. Pochód armii sowieckich nie wróży tym życzeniom szans realizacji. Nawet nasi wojskowi tracą wiarę w skuteczność niemieckiej kontrofensywy na froncie wschodnim. Stąd na prawdę nie ma nawet powodów do radości z tego, że inwazja aliancka na kontynent lada dzień czy lada tydzień, może się stać faktem dokonanym.

XI

ŚMIERĆ GENERAŁA SIKORSKIEGO

5 lipca, poniedziałek, 7 po południu.

Nie przypuszczałem, że zacznę robić swe notatki na nowym locum — od śmierci Sikorskiego.

Dowiedziałem się o niej dziś w Strattonie od T. Zabłockiego, zwanego pomidorem. Była 10-ta rano. Zabłocki był bardzo zaaferowany. Mniej śmiercią, a bardziej poszukiwaniem T. Bieleckiego. Na razie myślałem, że to jeszcze jedna więcej plotka. Wkrótce jednak przyszedł do Strattonu nowy redaktor „Dziennika”, chadek S. Sopicki i wiadomość potwierdził. Miał w ręku życiorys generała przygotowany dla „Dziennika”. W pół godziny potem już cały Londyn wiedział o wypadku.

Wrażenie było duże. Podpory Rządu snuły się po korytarzach Strattonu z głowami spuszczoneymi. Reszta interesowała się głównie jednym pytaniem: Tragiczny wypadek, czy zamach? Przy dalszym pytaniu — czyj zamach, ludzie spoglądali na siebie, uśmiechali się znacząco, lecz nie mówili nic.

W południe spotkałem się na korytarzu z ks. Kaczyńskim, który wracał od Prezydenta, gdzie odbywała się Rada Ministrów. Nie pytany przeze mnie o nic zaczął nieoczekiwanie dowodzić, że był zawsze i jest zwolennikiem rozdziału funkcji Naczelnego Wodza i Premiera, że podstawa rządu musi być natychmiast rozszerzona przez wprowadzenie do gabinetu „osobistości porządných”, a że Wodzem Naczelny powinien zostać nie kto inny tylko gen. Sosnkowski.

Rozmowa z tym arcytrzeźwym kapłanem spowodowała, że zamiast myśleć o tragicznym losie człowieka, w którego ręce zbieg okoliczności złożył przed kilku laty losy Polski, zacząłem sam zastanawiać się, co w wytworzonej sytuacji należy robić. Zobaczywszy socjalistę Tadeusza Tomaszewskiego, Prezesa Najwyższej Izby Kontroli, zacząłem mu wyklądać, że P.P.S. musi objąć premierostwo rządu przyszłej koalicji, złożonej ze Stronnictwa Narodowego, P.P.S., Stronnictwa Pracy i kogoś z przedstawicieli piłsudczyków. Naczelnym Wodzem — rzecz prosta — powinien zostać Sosnkowski. Ludowców należy przez dwa, trzy miesiące przetrzymać, aby się wewnątrz nich coś odmieniło. Może przyjdzie do głosu jakiś inny garnitur ludowy. Konieczność objęcia szefostwa rządu przez P.P.S. uzasadniałem m. in. przekonaniem, że wojna wchodzi w fazę końcową i że właśnie w tej końcowej fazie, tak istotnej dla sprawy polskiej, premierem powinien zostać przedstawiciel najsilniejszego w Polsce stronnictwa robotniczego, rozporządzającego koneksjami międzynarodowymi i mającego wielkie tradycje walki niepodległościowej. Pan Tadeusz zgodził się ze wszystkim i przyrzekł, że tak samo będzie stawiał sprawę Prezydentowi. Był podniecony i również całkowicie pochłonięty nie myślą o wypadku, lecz o jego konsekwencjach. „Brat” Tomaszewski (jak cała „łóża”) nie lubił Sikorskiego. Jak się zdaje Sikorski był bliski innej parafii masońskiej.

Ledwo po rozmowie z Tomaszewskim wszedłem na chwilę do swego pokoju, już jeden z moich współpracowników zdążył mi powiedzieć, że ludowcy lansują gen. Andersa na przyszłego Naczelnego Wodza. Zrozumiałem, że jest to manewr, zmierzający do utracenia Sosnkowskiego.

Po 1-ej poszedłem z Witkiem i d-rem Kiełpińskim, członkiem Rady Narodowej, chadekiem, na obiad do chińskiej restauracji na Piccadilly Circus. Kiełpiński, człowiek bardzo porządny, przyjaciel Sikorskiego, był zupełnie przybity. Miał towarzyszyć Sikorskiemu w jego podróży. Podróż był przeciwny Raczkiewicz. Tak samo Grabski. Tak samo Seyda. Wacław Komarnicki miał złe przeczucia. Kiełpiński powtarzał w kółko, że śmierć Sikorskiego jest tragedią narodową, gdyż zmarły cieszył się, zarówno zaufaniem Churchilla, jak Roosevelta i nikt go w tak decydujących dla Polski chwilach, nie będzie w stanie zastąpić.

Milczałem nie chcąc swymi uwagami robić przykrości człowiekowi przejętemu śmiercią przyjaciela. Zapytałem jakie ma wiadomości z posiedzenia rady ministrów u Raczkiewicza. Odpowiedział, że Prezydent jest bardzo przejęty wypadkiem, lecz spokojny. Postanowiono, że na razie funkcje wicepremiera obejmie S. Mikołajczyk, Kukiel — zastępcy Naczelnego Wodza, a T. Romer zostanie ministrem spraw zagranicznych. Zaniepokoiły mnie te relacje.

Po południu byłem na konferencji z prasą angielską. Minister Kot przemawiał po polsku. Drohojowski tłumaczył. Retinger siedział speszony a Romer wpatrzony w Kota.

W prasie i radio pełno o gen. Sikorskim. Delegacja polska, udająca się do Gibraltaru, ma się składać z gen. Ujejskiego, płk. Protasewicza, dra Retingera i inż. Ulmana. Dziwne, bardzo dziwne, że nie jedzie nikt z Rządu.

Co to za list Roosevelta, który miał ze sobą Sikorski ? Co w nim mogło być ?

Kończę. Pewno cały wieczór spędzę przy telefonach. Właśnie zaczynają się...

6 lipca, wtorek, 12 m. 30 w nocy.

W południe byłem przekonany, że Sosnkowski został już naczelnym wodzem. Zatelefonowałem do Libickiego. Zaprzeczył, mówiąc, że „podobno pan Kazimierz robi fochy”. Zadzwonił Tomaszewski. Na moje wątpliwości i obawy, zwłaszcza co do Prezydenta, odpowiadał : „Złociuścy, wszystko będzie dobrze”.

W Ministerstwie plotkowano na temat przyszłego gabinetu. Według jednych premierem zostać ma Kwapiński, wice-premierem (bez teki) — Mikołajczyk, Ministrem Spraw Wewnętrznych — Kot, a ministrem Opieki — Nagórski. W innej wersji Kot znowu występuje w roli premiera. Podobno puszcza te plotki otoczenie (!) Retingera. A wszystko to oznacza, że mobilizacja przeciwko Sosnkowskiemu już działa. Przecież jest nie do pomyślenia, by mógł współpracować z gabinetem w jednym lub w drugim wydaniu. Informatorzy Libickiego niesłusznie nazywają to „focha-mi”.

Okolo godziny 10 wieczorem zadzwonił Staś Paprocki, mówiąc o jakiejś nieprawdopodobnie ostrej uchwale ludowców przeciwko Sosnkowskiemu i zupełnie nieambicjonalnej uchwale P.P.S. Z tego, co opowiadał, wynikało, że Raczkiewicz idzie po tej samej linii, jaką sugerowałem. Może w tym samym duchu działają Łukasiewicz z Zaleskim? Lecz czy Raczkiewicz wytrzyma naciski zmobilizowanych podpór dawnych rządów Sikorskiego? Musi się ponadto liczyć z tak zwanymi sugestiami Anglików, którzy — rzecz oczywista — będą robili wszystko, by nie dopuścić do powstania gabinetu, w którym miałyby zasiąść prononsowane antysowieckie figury naszej uchodźczej sceny.

Libicki dowodzi, że Raczkiewicz na pewno powierzy misję tworzenia Rządu socjalistom, względnie ludowcom, lecz pod warunkiem rozszerzenia Rządu na inne stronnictwa, łącznie ze Stronnictwem Narodowym. Podobno uważa za rzecz najważniejszą radykalne uzdrowienie stosunków w wojsku. Znajac Raczkiewicza myślę, że robi rzeczywiście wszystko, aby Naczelne Dowództwo objął Sosnkowski, choć stosunki między obu panami nie są najróżowsze. Odnoszę zawsze wrażenie, że Raczkiewicz jest lekko zazdrosny o bezwzględną przewagę intelektualną Sosnkowskiego.

Jutro w południe delegacja PPS ma być u Prezydenta. Ta wizyta może mieć decydujące znaczenie, jeśli socjaliści nie dadzą się zgwałcić ludowcom z Mikołajczykiem na czele. Mikołajczyk grozi, że ludowcy w ogóle nie wejdą do Rządu, jeśli Sosnkowski zostanie Naczelnym Wodzem. Podobno zgłosił Prezydentowi uroczysty sprzeciw swego stronnictwa w sprawie ewentualnej nominacji Sosnkowskiego. Już intrygują przeciwko generałowi u Edena, u Biddle'a i licho wie gdzie.

Żebyż socjaliści zdecydowali się objąć kierownictwo przyszłego Rządu prawdziwej, a nie fikcyjnej jedności narodowej!

7 lipca, środa, 5 po południu.

Dziś na śniadaniu u Lyonsa spotkałem się z Paprockim. Opowiedział dużo szczegółów, związanych ze śmiercią Sikorskiego. Nigdy pewno nie dowiemy się prawdy.

Sosnkowskiego — mimo szalów Mikołajczyka — uważają powszechnie za murowanego. Już w poniedziałek sprawa byłaby załatwiona, gdyby nie sam Sosnkowski. Staął podobno na stanowisku, że najpierw powołanie gabinetu, potem dopiero rozwiązywanie sprawy Naczelnego Dowództwa. Staś mówił mi o tym z odcieniem żalu do Sosnkowskiego. Nie rozumiem tego. Sosnkowski ma rację. Zna siebie. Jest idealnym typem Naczelnego Wodza w ustroju rzeczywiście demokratycznym. Obce mu są dyktatorskie zamaszki. Na walkę czy „rozgrywki” z Rządem nie chce iść. Cóż więc w tym dziwnego, że chciałby za wczasu widzieć, z kim będzie współpracował na stanowisku Naczelnego Wodza. Na pewno nie pragnie być — i słusznie — Naczelnym Wodzem przy premierze Kocie lub Mikołajczyku. Raczkiewicz natomiast chce zaraz załatwić sprawę naczelnego dowództwa i, swoim zwyczajem mówi już, że zasadnicze zmiany gabinetowe muszą się powoli „wygotować”. Obiecuje, że je najdalej za trzy miesiące przeprowadzi. Bardzo się boję tej taktyki. Należałoby kuć żelazo póki gorące i załatwić obie sprawy równocześnie.

Akcja ludowców przeciw Sosnkowskiemu nie ustaje. Już szerzą pogląd, że w naszych warunkach stanowisko Naczelnego Wodza jest właściwie nie potrzebne i można byłoby zadowolić się — Szefem Sztabu. Ach, jacy kochani! Jak długo żył Sikorski, nie było tego zagadnienia; umarł — już jest, bo wyrósł przed nimi Sosnkowski. Czując, że ten numer nie przejdzie, kotowicze lansują na Naczelnego Wodza generała Hallera! Z Andersa po namyśle, zrezygnowali, a przecież jeszcze wczoraj zaufany Kota, Antoni Słonimski, wykrzykiwał histerycznie na korytarzach Strattonu: „Anders, tylko Anders!”

„News Chronicle” jest niewątpliwie pismem wyrażnie inspirowanym przez nasze „ludowe” Ministerstwo. Dziennik sugeruje mianowanie „tymczasowego” polskiego Wodza Naczelnego! Pismo bzdurzy coś o testamencie Sikorskiego i pisze w ciepłym tonie, oczywiście, o prof. Kocie.

Masonki, czy masonięta (masonami, tj. takimi, którzy mają poważne kontakty międzynarodowe trudno ich nazwać) z Łukasiewiczem na czele, wysuwają na premiera mecenasa Nagórskiego, a gen. R. Góreckiego na Ministra Obrony Narodowej. Hełczyński (zresztą nie mason) też

jest kandydatem do jakiejś teki. Różni pułkownicy (piłsudczycy), zdaje się powariowali. Już się im marzy łatwy powrót na dawne, przedwojenne stanowiska. Któż ma ich na nie wprowadzić? Oczywiście, Sosnkowski. Na plecach „szefa”, o którym tak często zapominali, chcieliby wyjechać teraz na wierzch.

Jeśli o rodzimych masonów chodzi, wysuwają oni także na premiera Augusta Zaleskiego. Ale, według powiedzenia mecenasa Nagórskiego (do Witka), Zaleski zapytany, ile jest w tym prawdy, miał odpowiedzieć wcale dowcipnie: „Po pierwsze — Polacy mnie nie chcą, po drugie — nie chcą mnie Anglicy, a po trzecie ja nie chcę”.

Przed 11-tą wieczór miałem serię telefonów. Sosnkowski pewny. Raczkiewicz nie puści sprawy Naczelnego Dowództwa. Zaniepokoił mnie tylko telefon pani Baranowskiej, która dowiedziała się (via Tadeusz Romer), że Sosnkowski zostanie jedynie wówczas Naczelnym Wodzem, gdy zgodzi się zrezygnować ze stanowiska następcy Prezydenta. Ludowcy mają forsować na to stanowisko Kota! Nie wierzę w ostatnią część wersji, lecz pierwsza... Jutro muszę ją sprawdzić.

Wyobrażam sobie jaki ruch musi panować w siedzibie Prezydenta. Jak słyszę nawet Prezydentowa (która nigdy nie wtrąca się do polityki) jest niezwykle aktywna. To ona odebrała telefon o śmierci Sikorskiego. Gdy powtórzyła choremu mężowi wiadomość, Raczkiewicz powiedział: „To nie może być”, po czym zamyślił się nie mówiąc długo słowa.

Pani Raczkiewiczowa jest przekonana, że nadeszła chwila w której Sosnkowski musi odegrać decydującą rolę. Przy każdej okazji prosi go, aby jak najszybciej obejmował Naczelne Dowództwo. Dbą, by Prezydent stale teraz przebywał razem z Sosnkowskim. Troskę o to posuwa tak daleko, że sama usługuje obu panom podczas posiłków nie chcąc, aby im ktokolwiek przeszkadzał w rozmowach. Uważa, że Ciołkosz powinien zostać premierem rządu. W tej sprawie pyta nieustannie bliższych znajomych, między innymi Z. Nagórskiego co należy robić, aby do tego doszło...

Z frontów raczej wiadomości przyjemne. W wieczornej prasie czytam: „Sowiety powstrzymują masowe ataki”. Czyżby wszystko miało się rozwinąć według polskich,

pobożnych życzeń ? Czytam dalej : „Świeże masy tanków niemieckich, piechoty i samolotów zostały dziś rzucone do walki na froncie Orzeł-Kursk-Biełgorod”... „Berlin zapowiada, że napięcie bitwy będzie się wzmagalo”. Według wiadomości radiowych Niemcy mieli zrobić postępy na froncie wschodnim.

Dzisiejszy „Daily Telegraph”, relacjonując pogłoski o nowym Naczelnym Wodzu armii polskiej, podkreśla nagle, że konstytucja polska daje mu „szczególne prawa”. Jest to wyraźny kamyczek w Sosnkowskiego. Oczywiście inspirowany przez rodaków spod znaku Kota.

8 lipca, czwartek, 11 w nocy.

Po południu spotkałem się z Demideckim. Powiedział mi, że do pierwszej nie było jeszcze nominacji Sosnkowskiego. Bardzo jest przejęty tą sprawą. Ma szczery sentyment do generała. Jeśli chodzi o reorganizację rządu, widzi ją w dwóch fazach. W pierwszej nie chce raczej angażować Stronnictwa Narodowego. Interesują go dwie teki : Ministerstwa Obrony i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wątpi czy Stronnictwo Narodowe doszłusowałoby w ogóle do istniejącej Rady Narodowej. Rada Narodowa musi być rozwiązana i przekształcona w Radę Obrony Narodowej w zupełnie innym składzie. Tę pierwszą fazę określa, jako przejściową. Potem przyjdzie druga. Wówczas Stronnictwo Narodowe zaangażuje się bardzo aktywnie. Demidecki, jak zresztą zawsze, podkreśla konieczność współdziałania z pilsudczykami.

Cały wywód sympatycznego rozmówcy nie przypadł mi do gustu. Nie rozumiem tej ostrożnej, dwufazowej filozofii. Po co, na co, to dawkowanie odpowiedzialności ! Zaraz po Demideckim spotkałem Karczewskiego, zdetronizowanego redaktora „Dziennika Polskiego”. Zrobił na mnie wrażenie mocno speszzonego całą sytuacją i szukającego — kontaktu. Mówił o opozycji w stosunku do Sosnkowskiego, uprawianej zajadle przez Kota, na którego (jak wszyscy obrońcy niewinności Sikorskiego) zwała teraz całą odpowiedzialność, nazywając go „złym duchem” zmarłego. Karczewski, zawsze spokojny, pienieł się na Kota,

mówiąc, że ile razy opuszczał jego gabinet, tyle razy miał uczucie, że wychodzi ze spelunki.

Niepokoї mnie wizyta Mikołajczyka u Churchilla. Czyżby w ostatniej chwili kontrakcja u obcych przeciwko Sosnkowskiemu? A tylu mnie „zapewniało”, że przynajmniej w tej sprawie (na podstawie zachowania się Edena) nie będzie angielskiej interwencji.

XII

NACZELNYM WODZEM — SOSNKOWSKI PREMIEREM — MIKOŁAJCZYK

9 lipca, piątek, 12 w nocy.

Odetchnąłem. Sosnkowski został Naczelnym Wodzem. Mikołajczyk podał się do dymisji ze stanowiska pełniącego obowiązki premiera. Brat był w jakiejś gospodarczej delegacji u Prezydenta. Raczkiewicz wygląda fatalnie, ale jest dobrej myśli. Brat przyniósł wiadomość, że Ciołkosz będzie na pewno próbował tworzyć gabinet. Brawo !

Spotkałem przelotnie ambasadora Tadeusza Romera, który niedawno przyjechał z Bliskiego Wschodu. Ex-współpracownik Dmowskiego, potem zapatrzony w Becka... A ma podobno szanse na M.S.Z., bo Eden w żadnym razie nie zgodzi się na Augusta Zaleskiego. Wesołe. Więc jednak gospodarze interweniują po staremu.

Niemcy chwalą się postępami na froncie wschodnim.
Dziś po południu był alarm.

10 lipca, sobota, 7 po południu.

Zaczęło się po południu ! Spodziewana od dawna inwazja stała się wreszcie faktem. Sycylia.

Okolo 2-ej w nocy.

Przed chwilą wyszła gromadka znajomych. Wszyscy podnieceni. Inwazja podniosła nas na duchu.

Radio angielskie podało wreszcie wiadomość o nominacji Sosnkowskiego i powierzeniu misji tworzenia rządu... Mikołajczykowi. Trzeba uczynić wszystko, aby się ta misja nie udała. Ktoś twierdził, że Mikołajczyk chciałby zrobić Kota ministrem wojny, a ktoś dodał dowcipnie — domowej.

Sosnkowski już urzęduje. Wszystko w „Rubensie” odbyło się krótko, bez pompy.

W czwartek pogrzeb Sikorskiego.

11 lipca, niedziela, 1 w nocy.

Landing successful — no ship lost. Niemcy liczą się z upadkiem Sycylii. Takie są dzisiejsze, ranne wiadomości.

Mielimy wszyscy językami o naszych domowych sprawach. Mikołajczyk przeprosił się, wycofał jakiś list do Prezydenta i, niestety, tworzy Rząd. Sosnkowski zaniepokojony „złą prasą” angielską. „Observer” rzeczywiście obrzydliwy.

Dzisiejsze niedzielne pisma, jak : „Sunday Express”, „Sunday Dispatch”, popularny „Poeple”, przypominają, że Sosnkowski ustąpił z rządu w czasie zawierania polsko-sowieckiego układu lipcowego. Robią z generała „wroga Rosji”, reakcjonistę, prawicowca i sugerują Polakom na uchodźstwie zmianę konstytucji w tym sensie, aby Naczelnego Wodza podporządkować Rządowi Polskiemu, a nie Prezydentowi Rzeczypospolitej. Takich rad sami Anglicy nie wymyślili. Rączka Litauera, Kota i Mikołajczyka jest aż nadto wyraźna.

12 lipca, poniedziałek, 1 w nocy.

Syrakuzy wzięte. Radujemy się. W ogóle pogodniej na duszy. Pierwszy rozkaz Sosnkowskiego świetny. Programowy. Kot wściekły. Mikołajczykowi wyraźnie nie idzie. PPS oświadczyła, że nie chce Kota w rządzie. Byleby PPS

nie zawiodła. Mikołajczyk proponuje podobno Ciołkoszowi Ministerstwo Informacji. Z drugiej strony słyszę, że ludowcy wysunęli propozycję, aby — jeśli chodzi o rząd — wszystko zostało po dawnemu z jedną zmianą — Mikołajczyk w roli premiera...

Boję się, czy im się to nie uda. Boję się, czy Prezydent Raczkiewicz, w zgodzie ze swą naturą, nie ustąpi, przyrzekając, że wszystko „potem” załatwi. Znam rodaków. Jak się coś od razu nie uda, zniechęcają się i gotowi zgodzić się na jakąś wygodną, choć bardzo niebezpieczną formułę. Na razie — zwykli mawiać — niech już tak będzie. Jakoś się to później załatwi.

Nie zazdroszczę Sosnkowskiemu urzędowania w towarzystwie takiego premiera i takiego rządu. A jednak miał rację, gdy mówił, że najpierw gabinet, a potem Naczelne Dowództwo. To nie były „fochy”.

Dlaczego Adam Ciołkosz nie przyjął premierostwa? Czy przeraził się odpowiedzialności w czasach, które na pewno nie wróżą nikomu łatwego życia na tym stanowisku? Wielu twierdzi, że się rozhisteryzował. Ale z jakiego powodu? Przecież gdyby przyjął premierostwo, współpracowałby w najlepszej harmonii z Sosnkowskim. Znają się i — o ile wiem — mają do siebie zaufanie. Współpraca obu przyczyniłaby się do likwidacji ośrodka intryg, powolnego obcym wpływom, którego duszą jest spółka: Kot i Mikołajczyk.

Znawcy stosunków w londyńskim PPS-ie zapewniają, że Ciołkosz natknął się na opory w samej partii. Może. Stańczyki, Szczyrki i Grosfeldy (także ponoć Kwapiński), mieli ze „świętym oburzeniem” odrzucić wszelką myśl współpracy emigracyjnego PPS-u z sanacją i endecją. Według tych panów Sosnkowski — to oczywiście, czystej wody sanator. Mało tego. Wymienione grono towarzyszy spowodowało, że od PPS-u z Kraju miały nadejść do Ciołkosza pouczenia, aby nie ośmielił się splamić współpracą z reakcją. Podobno pouczenia te formułował przebywający w Kraju Zygmunt Zaremba...

Jeśli znawcy się nie mylą, źle się dzieje w PPS-ie na emigracji. Dumne ze swej niepodległościowej tradycji stronnictwo, daje się wodzić za nos ludziom, podobnym do tych, którzy niestety, wysunęli się na czołowe miejsca również w emigracyjnym polskim ruchu ludowym.

13 lipca, wtorek, 6 m. 15 po poł.

Dziś rano pojechałem do Prezydium Rady Ministrów. Mieści się w pięknej willi Rotschildów, w tzw. Alei Milionerów, na przeciwko domu ambasady sowieckiej. Był piękny dzień lipcowy. Szedłem do Prezydium szeroką aleją. Chronią ją przed słońcem stare, wysokie drzewa. Myślałem o dziwnych kolejach życia ludzkiego. O Sikorskim.

W czasie tej wojny los był dla niego łaskaw. Miał wszystko w ręku. Mógł bez trudu stać się przywódcą narodu w wielkim stylu, a właściwie... właściwie może nieoczekiwana śmierć zaoszczędziła mu starcia o fatalnych dla niego skutkach. Starcia z organizacjami rozpowszechnionymi w wojsku, które tak pragnął pozyskać dla siebie. Może tego najbardziej pragnął.

Przedziwny był front jego przeciwników. Bardzo szeroki, a pod względem składu — różny. W organizacji wojskowej piłsudczyków znalazł się element najstarszy wiekiem. Wielu wyższych dowódców, przeważnie „zsyłanych” przez Sikorskiego. Zdecydowanie opozycyjne stanowisko tej organizacji tłumaczyły dawne porachunki i — ostatnie, wojenne. Ludzie skupieni w jej szeregach posiadali duże doświadczenie działań konspiracyjnych, ale nie byli w stanie pozyskać wybitniejszych jednostek spośród elementów młodych. Na przeszkodzie stanęły „szarże” i przedwojenne „autorytety”. Mimo dużej aktywności piłsudczyków, nie oni stanowią zasadniczy ośrodek tego przedziwnego, londyńskiego „podziemia”, wywierającego wpływ na postawę wojska i nie tylko wojska.

Znacznie dynamiczniejsza jest inna organizacja młodych oficerów sztabowych, na której czele stoi ambitny oficer, kapitan Utnik. Nie znam go, lecz tak go charakteryzują osoby, do których mam zaufanie. Jest to organizacja nieliczna, elitarna, działająca sprawnie. Zdaje się, że dominuje w niej także wpływ Doboszyńskiego.

Najliczniejsza chyba jest organizacja młodych oficerów lotnictwa, od poruczników do majorów. Ma ona swe komórki również w innych formacjach wojskowych, m. in. w marynarce. Wywodzi się z „Łańcucha Dobrych Przyjaciół”, stowarzyszenia tajnego założonego jeszcze w Rumunii przez niejakiego kapitana Niewiarowskiego. Dziś ulega ona także wpływom Doboszyńskiego, choć kierują nią

młodzi oficerowie o raczej odmiennej fizjonomii politycznej. Kpt. Bujalski i por. Sęp-Szarzyński mają przeszłość falangistowską czy oenerowską. Felek Lechnicki z tradycji i przekonań jest oczywiście, piłsudczykiem.

Ale to nie wszystko. Podobne organizacje istnieją na Bliskim Wschodzie. Ponadto działają wszędzie w wojsku, w różnych broniach rozmaite koła, często bardzo sprawne, o charakterze partyjnym, związane z całym ruchem politycznej opozycji w stosunku do rządów Sikorskiego.

Musiało być chyba coś naprawdę odpychającego w postawie psychologiczno-politycznej Sikorskiego, że zdołał zjednoczyć przeciwko sobie cały ten poważny front, którego najistotniejszą część stanowią młodzi oficerowie, wyrośli w odmiennych środowiskach politycznych. I jest również znamienne, że front ten tak samo zwarcie, spontanicznie skupił się wokół Sosnkowskiego, otoczonego aureolą prawości, gdy chodzi o sprawy narodu i państwa. Niewątpliwie młode podziemie z jednej strony, a Sosnkowski z drugiej, to na uchodźctwie realna siła, z którą musiał się liczyć Sikorski znacznie bardziej, niż z głosem i postawą stronnictw opozycyjnych.

Sikorski długo unikał rozprawy z tą siłą. Wahał się wyrażnie, a gdy wiosną tego roku zdecydował się na „zesłanie” czterech lotników, uczynił to dopiero wówczas, gdy zawiodły go próby porozumienia z młodymi. Podsyłał do nich podobno swego męża zaufania — Adama Romera.

Czego w gruncie rzeczy chcieli ci młodzi? Zmiany polityki zagranicznej, przede wszystkim w stosunku do Rosji i usunięcia z rządu różnych postaci politycznie skompromitowanych. Są twardzi. „Zesłania” wzmocniły ich pozycję moralno-polityczną. Wiedział o tym Sikorski przed swą ostatnią, tragiczną podróżą. Czy gotów był wtedy zaakceptować cenę porozumienia, które wiosną proponowało mu młode pokolenie? Gdyby dać wiarę temu, co się dziś słyszy, był do tego skłonny. Był może nawet skłonny do podjęcia jakiegoś poważnego manewru politycznego wobec aliantów zachodnich, którego celem miałoby być wymuszenie w sprawie Polski dodatkowych gwarancji w obliczu niebezpieczeństw, grożących nam od Rosji. Jakiego manewru? Nie chcę dalej snuć swych przypuszczeń. Czy tylko przypuszczeń? Czasem wydaje mi się, że gadatliwy

Sikorski zdążył już za wiele powiedzieć w sprawie swych planów. Ale za mało mam elementów, by to określać konkretniej.

Gdyby żył i zdobył się na ów manewr, może doprowadziłby do odprężenia z londyńskim „podziemiem”. Ale, czy był w ogóle do tego zdolny?

Umarł nie zdoławszy, ani przełamać zwanego frontu opozycji, ani się z nim pogodzić.

Na parterze wystawiono trumnę ze zwłokami generała. Postąłem chwilę przy trumnie tragicznie zmarłego Premiera Rzeczypospolitej. Prawie nikogo nie było w apartamencie. Zobaczyłem tylko gen. Januszajtisa i zmienionego bardzo Retingera.

W drodze powrotnej, idąc zacienioną aleją, nie wiem sam dlaczego, zamyśliłem się nad tym Związkiem Polskich Patriotów w Moskwie. Drobner z dawnej lewicy PPS, wileński komunista Jędrychowski, brat Wincentego Witosa — Andrzej... Strach mnie obleciał na myśl, co ci sowieciarze knują. A tu — gabinet Mikołajczyka (bo tak, niestety, skończy się ta pierwsza faza), zupełnego analfabety politycznego. Takiego właśnie potrzebują Brytyjczycy! Przecież ledwo Sosnkowski kilka dni zagrzał w „Rubensie”, już puszcza się plotki o jego ustąpieniu. I może dojdzie do tego z pomocą angielskich gospodarzy, choć Pragier zapewnia, że Prezydent w sprawie Sosnkowskiego będzie twardy. Może. Prasa angielska zdobywa się ostatnio na łaskawsze akcenty o Sosnkowskim.

Po północy.

Przed godziną zaszedł Witek Czerwiński. Przyniósł wiadomości o nowym Rządzie. Zamiast gen. Hallera — ks. Kaczyński, zamiast Strasburgera — pan mecenas Grosfeld z PPS. Wprowadzenie do gabinetu właśnie tego towarzysza ma swą wymowę. Znam go z posiedzeń Komisji Niemieckiej. Gładki, inteligentny adwokat. Bez żadnego kośca. Do typu twardych, niepodległościowych so-

cialistów nie należy. Kukiel — minister Obrony Narodowej. W każdym razie pierwsza runda, czy, jak chce Demidecki, pierwsza faza została rozegrana najfatalniej. Kot został na swym stanowisku. Dawna klika Sikorskiego ocalała właściwie wszystkie pozycje rządowe, prócz wojska, gdzie znowu tzw. „Czworobok” stronnictw politycznych będzie dążył do uszczuplenia kompetencji Wodza Naczelnego i zacznie podgryzać Sosnkowskiego. Do czego to doprowadzi? Czy do pogłębienia podziału — mówiąc językiem sanacyjnym — między wojskiem, a cywilbandą? Czy o to chodzi? Na pewno nie. Współczuję Sosnkowskiemu. Należy mu w każdym razie pomagać. Nic innego nie wymyślę. Na razie cieszę się, że jest na czele wojska, że — jak to mówią — Bóg strzegł, iż go Sikorski nie wysłał do Waszyngtonu, Rio de Janeiro, czy innego Czung-Kingu. Wszystko to mu przecież proponował, byleby się go stąd pozbyć. I żądał jeszcze za te propozycje ceny, którą Sosnkowski odrzucił. Chciał aby zmienił swój pogląd na lipcową umowę polsko-sowiecką.

15 lipca, czwartek, 1 w nocy.

Dziś o 11 m. 30 odbyła się *Solemn Requiem Mass at Westminster Cathedral*, a potem wyprowadzenie zwłok Sikorskiego. Wdowę prowadził Sosnkowski. Pani Sikorska manifestuje niedwuznacznie swą — lekko mówiąc — antypatię do Kota i całej tej „ferajny”. Równocześnie podkreśla osobiste zaufanie do Sosnkowskiego. Zwraca to powszechną uwagę.

Może od jutra zaczniemy wreszcie pracować w naszym Ministerstwie Informacji. Od śmierci Sikorskiego właściwie nic nie robimy, tylko gadamy.

8 armia dzielnie sobie poczyna we Włoszech, natomiast smuci nas, że uderzenie niemieckiej ofensywy na froncie wschodnim wyraźnie utknęło. Zły znak.

17 lipca, sobota, północ.

Mniejsza o to w jakich okolicznościach zrobiłem odpis listu Felka Lechnickiego do rodziny w Kraju. List nosi

datę 30 czerwca br. (*). Piękny list. Jest w nim cały Lechnicki. Najlepsze wydanie młodego Polaka urodzonego w atmosferze dworu, umiejącego łączyć kult tradycji ze zrozumieniem nowych czasów, nowych prądów i idei. Taka była Święcica Zdzisława Lechnickiego, takie Serebryszcze — ojca Felka.

Ten list — to dokument. Niezwykły, bo nie do obcych pisany, lecz do swoich, do najbliższych, do rodzinnego „teamu”, który Felek bezgranicznie kocha i przed którym się odkrywa.

Dlaczego — choć w cudzysłowie — nazywa go swoim — listem ostatnim ?

30. VI. 43.

Moi Kochani !

Zaczynam ten list do Was z dosyć śmiesznym uczuciem. Czuję bowiem każdym fibrem duszy i każdą cząsteczką ciała, że mi się absolutnie nic nie stanie, że skończę te loty, które nb. nie zaczną się prędzej jak za 3 miesiące i że zobaczymy się jeszcze, jeżeli Bóg pozwoli Wam przeżyć.

Ale — jak to mówią strzeżonego Pan Bóg strzeże, *a à la guerre comme à la guerre*. Ostatecznie lotnictwo w czasie wojny nie jest najbezpieczniejszą rozrywką. Tak więc — jak z powyższych wywodów jasno wynika — mogę — pisząc popularnie — odważyć kłotę w czasie najbliższym lub trochę dalszym. „Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica, ani dla lutni mojej, ani dla imienia” nie piszę więc tego listu dla mojego syna. Ot trochę dla Mamusi, trochę dla Tatusia, trochę dla siostr, dla Ani, dla dalszej Rodziny. Chcę, abyście mieli pamiątkę na wypadek mojej gwałtownej śmierci, chcę abyście wiedzieli, że w obliczu tej śmierci dosyć — ostatecznie — prawdopodobnej myślę o Was. Synowskimi i braterskimi wiedzionymi uczuciami, powodowany miłością i przywiązaniem oraz kierowany całym szeregiem innych

*) List śp. F. Lechnickiego drukuję za zgodą jego siostry, p. T. Affeltowiczowej.

równie wzniosłych uczuć wykorzystuję te wolne chwile, aby do Was napisać „mój ostatni list”. Wyrażenie ostatni jest zresztą metaforą, na którą pozwala mi *licentia poetica* — albowiem nie ulega wątpliwości, że jeszcze niejeden list zdąży przed śmiercią napisać. Amen.

Wybaczenie mi Kochani ten niepoważny ton, ale sami zdajecie sobie chyba sprawę z tego, jak trudno i głupio jest pisać taki list. Zresztą nie ulega dla mnie wątpliwości fakt, że sam go będę kiedyś czytać Wam głośno. A obrazek — o Boże ! — oby wyglądał tak : Pokój stołowy, jak zwykle chłodno. Lampa naftowa przeżywa chwilami intensywny proces kopcenia, na skutek groźnych zabiegów Tatusia. Wszyscy siedzą przy stole. Ja na miejscu Tereni (ustąpisz mi chyba Tereniu na ten wieczór krzesła, dobrze ?), Mamusia wzruszona, a reszta rodziny pokrywa wzruszenie mniej lub więcej złośliwymi uwagami pod adresem moim i tego listu. Tatuś przy lepszych dowcipach Zosi i Tereni śmieje się głośno. (W tajemnicy Wam wyznam, iż podejrzewam czasami, że Tatuś będzie się śmiał pół tonu głośniejsz, niż zwykle, by zamaskować w ten sposób zgola niesenatorskie wzruszenie). Och, Boże, Boże kochany. Jak my się wszyscy nawzajem znamy. W pewnym sensie stanowimy świetną rodzinę. Każdy wie — że tak powiem — z kim ma przyjemność siedzenia przy stole. Właściwie niespodzianek być nie może, bo każda tzw. „niespodzianka”, każde nowe powiedzonko, nowy dowcip, nowy grymas twarzy są z dawna znane, można powiedzieć oczekiwane — jedynie w podświadomości każdego z nas z góry już wiadomo co każdy powie, ba ! pomyśli. A przecież kochać kogoś naprawdę, to znaczy znać go do szpiku kości, do ostatniego włókienka. W tym sensie jakże mądrym jest powiedzonko stare, że aby być z kimś w przyjaźni, trzeba z nim najprzód zjeść beczkę soli.

Nie jedną taką zjedliśmy beczkę. Znamy się już.

I mogę Wam chyba zaręczyć, że ten jedynak — gdy siądzie pomiędzy Wami — to również okaże się tylko częścią i również okaże się znany i choć przez

parę lat nieobecności zmieni się trochę — to jednak będzie ten sam.

I wierzę, że Wasze zmiany również w tym samym pójdą kierunku.

I jeśli Bóg pozwoli doczekać wszystkim tej chwili, to znów chyba będziemy stanowili ten sam jeden team.

Jednej tylko rzeczy nie mogę przewidzieć — jak się zachowa Anusia ? W tej chwili ma ona już pięć lat. A ile lat będzie miała, gdy razem siądziemy przy stole w stołowym pokoju w Serebryszczach.

Nad światem gna burza niesłychana i rozwała spoidła wszystkiego. Świat trzęsie się, leci i rozpada. Ale jeżeli wszyscy przeżyjemy wojnę, to Serebryszcze ostaną się jako całość bez względu na to, czy stare lipy będą jak dawniej rozpuszczać gałęzie na wiatr czerwcowy, bez względu na to, czy klony klonom przekazywać będą jak dawniej szum chrabąszczany, bez względu na to czy w jaśminach i sumakach zadzwoni znów śpiew słowika. Ba ! Jak świętokradztwo rzucam nawet wróżbę, na myśl o której włosy mi stają dęba. Niech obce i własne wojska spalą folwark, niech bomba z mojego choćby Wellingtona rozwali Dom, niech gąsiennice czołgów zaorzą ogród i pola, a tchnienie gazów trujących wypali zboża, i las — niech z rzeczy martwych a żywych żadna na świecie nie stanie — niech skończą się i rozpadną pokoje, schody, ganki. Treść, którąśmy tam nabrali przetrwa, przeżyje, zostanie. Nie zginie z wojną ta siła, którą nam ziemia dała. Zostanie zespół Serebryszcz i nadal będzie całością. Lecz jeden musi się spełnić, jeden jedyny warunek :

Przy stole, przy wspólnym stole, gdzieby ten stół nie postawić, przy wspólnym stole rodzinnym nie może zabraknąć nikogo.

Ja wierzę, ja jestem pewien, że mnie tam braknąć nie będzie. Ale czy siądzie do stołu Mamusia, czy siądzie Tatusz ? Gdzie będziesz Jadziu kochana, co będzie z Zosią i Anią. Gdzie będzie wówczas Marynia, czy będzie żyła Teresa ? Czy ich nieznani mężowie, którzy się do nas przysiądą, będą tak dobrze pasować, jak chciał pasować nasz Antek ?

I jedną tylko mam prośbę, jedną modlitwę — marzenie. — Jeżeli wszyscy dożyją — to nie rozpadnie się zespół.

18 lipca, niedziela, 2 po południu.

Wczoraj po raz drugi byłem na posiedzeniu „Zespołu Piłsudczyków”. Przyglądam się raczej. Obserwuję. Sam mówię mało. Nie wierzę w przyszłość stronnictwa piłsudczyków, a wiem, że o nim marzą różne strącone z piedestału wielkości. Jan Starzewski ułożył deklarację. Dobra, pięknie napisana. Ukaże się we wtorek. Bądź co bądź świadectwo, że piłsudczycy żyją i — co najważniejsze — myślą.

Gdy wychodziłem z zebrania opowiedział mi ktoś dowcip, krążący w wojsku.

Mikołajczyk *et consortes* ma wielką pretensję do Raczkiewicza. Jaką? Że w czasie żałoby po Sikorskim mianował Naczelnym Wodzem Sosnkowskiego, wiedząc, że ta nominacja wywoła radość.

Dziś rano zaszedłem do Strońskiego. Byłem pół godziny. Sam zaczął mówić, że jedyne wyjście obecnie — to powołanie Rządu Jedności Narodowej. Szkoda, że nie był tego zdania za życia Sikorskiego. Mówił, że powołanie Grosfelda do gabinetu wywołało niezadowolenie w wojsku. Wyobrażam sobie.

Zdaje się, że to Hemar skomponował taki wierszyk o nowym Rządzie: „Rząd pokazał wielką klasę. Książd ma szkoły, Żyd wziął kasę”.

19 lipca, poniedziałek, 2 po południu.

Duszne, parne popołudnie. Jestem od kilku dni przejęty wyłącznie wypadkami wojenno-politycznymi. Zdaje mi się czasem, że przeżywam je intensywniej od innych rodaków, zajętych głównie sprawami domowymi.

Rzym był bombardowany. Na Sycylii idą naprzód. Włochy na pewno trzaska. Gdyby nie ta sowiecka zmora, byłoby w porządku. Staram się ją odsuwać od siebie, mó-

więc : Wszystko musi mieć swoją kolej. Trzeba, aby się najprzód jedni dranie rozłożyli, potem będziemy się martwili drugimi. Ale, niestety, to mało uspakajająca filozofia.

22 lipca, czwartek, 6 m. 30 po południu.

Znowu diabelnie duszny dzień. W dodatku chmury. Reumatycy odczuwają łamanie w kościach.

W Ministerstwie zaczęła się praca. Widujemy nawet Pana Ministra. Wynałazłem sobie dodatkowe zajęcie. Postanowiłem ruszać się, gadać, słowem — słuchać, jak trawa rośnie. Będę swoje spostrzeżenia przekazywał systematycznie kpt. Witoldowi Babińskiemu, a ten dalej Sosnkowskiemu. Sam nie będę chodził do generała. I tak go pewnie obskakują i zawałają pracę. Wystarczy, jeśli Babiński przekaze, co powiem. Jest inteligentny, zdolny i oddany generałowi.

Widziałem się z nim dziś po południu. Scharakteryzowałem dokładnie paniczne nastroje panujące wśród ludowców spod znaku Kota i Mikołajczyka. Dawałem przykłady. Przekonywałem, że dalej boją się Sosnkowskiego i nie wiedzą, kiedy i z jakiej strony w nich uderzy. Niech się boją. Strach ma wielkie oczy. Babiński w odpowiedzi wykladał mi długo, że generał nie może wszystkiego od razu zrobić, że na razie zajęty jest wyłącznie wojskiem, że musi wiele spraw uporządkować, np. skasować wspólny gabinet Ministra Obrony Narodowej i Naczelnego Wodza, przygotować konieczne awanse, przede wszystkim młodych itd. Szefem Sztabu został gen. Kopański. Wrócili do czynnej służby pułkownicy : Smoleński i Demel. Jeszcze kompletuje współpracowników, a równocześnie jeździ i składa wizyty oficjalne, głównie Anglikom. Słowem — pozwólcie mu żyć!

Kiedy wyszedłem z „Rubensa” po rozmowie z Babińskim, Anglicy rozchwytywali gazety. Koło Chalk Farm stał długi ogon przy sprzedawcach. Katania wzięta. Rzym się pali. Tłumy Włochów wołają : Pokój ! Inaczej na froncie wschodnim. Orzeł ostrzeliwują Rosjanie. Sowiecka flota inwazyjna w drodze do Norwegii...

Nie wolno się jednak martwić. Stale powtarzam to sobie. I na nich przyjdzie kolej.

24 lipca, sobota, około 1-ej w nocy.

Wróciliśmy niedawno od Ireny Baranowskiej. Noce są teraz spokojne. Zapominamy o bombardowaniu.

Noc jest piękna, nawet nie duszna. Londyn śpi. Wciąż myślę o Sikorskim. Czy gdyby żył, zmieniłby swą politykę? Raczkiewicz skłonny jest w to wierzyć. Zdaje mi się, że nieszczęściem tego zdolnego człowieka była ambicja, próżność, no i przyjaciele — doradcy. Ostatnie w połączeniu z dwiema niebezpiecznymi cechami (jeśli idą ze sobą w parze), przesądzało jego niepowodzenie. Sikorska musiała chyba znać intymne sądy Sikorskiego o tych przyjaciółach, skoro bezpośrednio po śmierci męża w zgoła szekspirowsko-dramatycznej scenie wypaliła im wszystko, co o nich myśli. Tak czy owak, blisko 4-letni system rządów Sikorskiego skończył się chyba bezpowrotnie.

Czy wrócimy do Kraju? Czy warto się łudzić, że ofensywa na froncie wschodnim może odepchnąć Moskali od naszych granic? Czy żołnierz niemiecki, wiedząc o bombardowaniach jego miast i wsi, o klęskach w Afryce, a teraz na Sycylii, nie załamie się? Moskale zachowują się w każdym razie tak jakby zwycięstwo mieli w kieszeni. Nie można im odmówić, że myślą długofalowo. Już wzięli na warsztat przyszłe Niemcy. Dowód, że utworzyli w Moskwie „Komitet Wolnych Niemiec”. Czy Zachód tego nie widzi?

25 lipca, niedziela, 12 m. 30 w nocy.

Przesiedział u nas całe popołudnie jeden z naszych młodych przyjaciół por. Zbyszek Cisek. Płynęliśmy z nim w czerwcu 1940 roku z Lizbony do Gibraltaru na zatopionej potem „Avosecie”. Wyrwał wtedy ze Szwajcarii, gdzie po klęsce Francji został internowany wraz z Drugą Dywizją. Opowiadał nam o swych perypetiach i przeżyciach. Nie ma zresztą końca takim opowiadaniom. Po wojnie niemal każdy Polak będzie miał w repertuarze jakieś niezwykle przeżycia.

Wieczorem Janka usłyszała w radio czeskim z Londynu wiadomość, że Mussolini ustąpił. Czyż tak „pokojo-wo” miałby zakończyć życie polityczne, po 20 latach swej „epoki faszystowskiej”?

Wokół dzieją się wielkie rzeczy, a czym my się zajmujemy?

O 11-ej wieczorem rozmawiałem z Babińskim. Powiedziałem mu sporo nowości z naszego świata. Od niego nie dowiedziałem się nic. Jedno mnie niepokoi. Babiński lekceważy intryżki Mikołajczyka.

Tymczasem od chwili nominacji Sosnkowskiego kampania komunistyczna przeciwko generałowi nie słabnie. Atakuje go otwarcie w Anglii komunistyczny „Daily Worker”, w Moskwie — radiostacja im. Kościuszki. Generalny kierunek — przeciwstawiać Sosnkowskiemu „demokratycznych polityków” polskich. Ataki te skwapliwie żyruje organ ludowców p. Mikołajczyka — „Zielony Sztandar”. Pisemko to powtórzyło ostatnio insynuacje o zasadniczej wrogości Sosnkowskiego wobec Rosji oraz o jego rzekomych powiązaniach z polskimi „faszystami”.

Stan rzeczy, że Sosnkowski jest Naczelnym Wodzem, a Mikołajczyk — premierem, nie da się utrzymać na dłuższą metę. Nic obu tych ludzi nie łączy, wszystko dzieli.

Może wreszcie Prezydent Raczkiewicz spełni swe zapowiedzi.

XIII

NIE KIJEM GO TO PAŁKĄ

26 lipca, poniedziałek, o północy.

Odwiedziliśmy wieczorem pp. W. na Belsize Park, niedaleko nas. Było duszno i bezszelestnie gdyśmy z Belsize Park schodzili w dół ku Chalk Farm szeroką, pięknie zadrzewioną, niemal zupełnie wiejską ulicą. Londyn jest pełen takich nieoczekiwanych kontrastów. Obok ulicy pełnej zieloności, obrzydliwa, brudna dzielnica. Obok zacisznych uliczek, na których ciągną się urocze wille, pełne kwiatów — ruchliwe, ohydne dzielnice handlowe. Mackiewicz nie lubi Londynu.

Ja również. Sąsiaduję teraz z Mackiewiczem. Spotkałem go koło stacji kolejki podziemnej przy Chalk Farm. Pieni się, mówiąc o naszej sytuacji wewnętrznej.

Lubię sobie z nim od czasu do czasu pogwarzyć. Mackiewicz jest dobrym fotografem-amatorem. Słusznie ktoś powiedział, że jako dziennikarz jest także dobrym, byстрыm fotografem chwili. Kiedy natomiast rozwija swe koncepcje przyszłości, można go nie słuchać. Ale teraz mówiliśmy tylko o ostatnich wydarzeniach.

Sapał, gdy mówił o Prezydencie Raczkiewicz, którego nie lubi (zresztą wzajemnie). Powracał wciąż do przemówienia Raczkiewicza z 14 lipca, w którym Prezydent deklarował się jako zwolennik „szerszej koalicji”. Cóż z tego — sapał Mackiewicz — że Raczkiewicz nazywa machinacje spółki Mikołajczyk — Kot „niedopuszczalnymi metodami”, gdyż wynoszą nasze sprawy wewnętrzne — „poza grunt polski”! Cóż z tego, że Raczkiewicz nawet zdobył się na powiedzenie, że intencje tych intrygantów są wręcz „niskie”! Sosnkowski nie da sobie rady z tą spółką. Prze-

cież, panie — wywodził Mackiewicz — Kot to specjalista od „kartotek personalnych” i akcji podjazdowych. Jeśli Raczkiewicz nie skończy z tym stanem rzeczy, będzie odpowiedzialny za tolerowanie systemu nieżyjącego Sikorskiego, opartego na bezsensownej fikcji czterech stronnictw, z których każde jest wewnętrznie rozbite. A ten Mikołajczyk! 8 lipca poleciał do Churchilla, prosząc go, by interweniował w nasze sprawy wewnętrzne, ratując „system” Sikorskiego. Już ten jeden fakt dyskwalifikuje go zupełnie. Ocaleniem był Ciołkosz, ale zazdrośni towarzysze nie dopuścili do tego, by został premierem. A kto pierwszy kreował Mikołajczyka na premiera? 6 lipca, proszę pana, tak 6 lipca — pieniał się Mackiewicz — to komunistyczny „Daily Worker” nazwał go na zlecenie dobrze w tej postaci zorientowanej Moskwy jedynym prawdziwym „demokratą” w rządzie! Mamy więc od 14 lipca rząd wsparty o teatrzyk kukiełek partyjnych, którego premier otrzymał błogosławieństwo Moskwy.

Pożegnałem się z Mackiewiczem i zeszedłem do kolejki podziemnej. Nic nie mam do zarzucenia fotografii Mackiewicza. Cóż za tragiczna sytuacja, że w chwili, gdy na czele rządu winny stać rzeczywiście indywidualności, firmują go rzekomi przywódcy ludowi w stylu pp. Mikołajczyka i Kota, o których lud w Polsce nie wiele przed wojną wiedział i dziś na pewno nie wiele wie.

Współczuję Sosnkowskiemu i obawiam się. Obawiam się, czy pochłonięty wojskiem, zdoła się oprzeć machinacjom Kota i Mikołajczyka. Nie można przecież zapominać, że Sosnkowski, mimo bezsprzecznego autorytetu jaki posiada w wojsku i w społeczeństwie, nie zdobędzie się na żaden akt buntu w stosunku do rządu. To legalista. Raczej zde gustowany (zwłaszcza, że na miękkiego Raczkiewicza nie może także liczyć) — pewnego dnia ustąpi. Wielu mówi o Sosnkowskim, jako o politycznym Hamlecie. Tego hamletyzmu obawiam się najbardziej.

Przed chwilą zaczął się alarm. Trwa. Jak dotąd — strzałów nie słyhać. Należało się go spodziewać po ostatnich, ciężkich bombardowaniach Hamburga i Kolonii. Muszą manifestować swą aktywność. Bluffują — naród. Trzeba przecie wydać komunikat, że bombardowali Londyn. A w jakiej proporcji do bombardowań alianckich — o to mniejsza. I tak nikt nie sprawdzi. Muszą osłabić wrażenie

„dymisji” Mussoliniego. Wszystko to razem dowodzi niemieckiej bezsily.

We Włoszech armia przejmuje władzę. Mussolini w areszcie domowym. Anglicy szaleją z radości. Oczywiście, szaleją w ich stylu. King Hall w czasie dzisiejszej prelekcji wypowiedział pogląd, że gdyby jutro to samo stało się z Hitlerem, gabinet angielski nie wiedziałby, co ma robić. Przypuszczam, że obawy angielskie o to, aby wypadki nie rozwijały się zbyt szybko łączą się z tajonym strachem przed niebezpieczeństwami, grożącymi ze strony sowieckiego sojusznika...

W tej chwili słysząc pierwsze, bardzo oddalone strzały artylerii przeciwlotniczej. Na ulicy — charakterystyczne, przyspieszone kroki zapóźnionych przechodniów. Teraz znowu cisza. Idę spać. Zdaje się, że już po lotniczej manifestacji niemieckiej.

27 lipca, wtorek, 6 po południu.

Czekamy niecierpliwie na „dalszy ciąg” włoski. W południe rozeszły się wieści, że Włochy proszą o pokój. Podobno rząd angielski urzęduje i czeka permanencji. Ciekaw jestem, czy nasz rząd zastanawia się nad tym „drobnym”, włoskim wypadkiem? Cała nadzieja w Sosnkowskim, gdy mocno usiądzie w siodle. Jeszcze teraz nie siedzi, a mikołajczykowskie krety wciąż pod nim ryją.

Mój pomocnik w ministerstwie, wybitny prawnik, matołpolanin, dr B. Ziffer, nastrojony jest pesymistycznie. Dowodzi stale (po upadku Włoch z jeszcze większym uporem), że Hitler na pewno porozumie się ze Stalinem. Nie wierzę w to, lecz ta ewentualność wcale mnie nie przeraża. Przeciwnie, pragnąłbym, by do tego doszło. W jednej chwili sytuacja stałaby się przynajmniej jasna. Zresztą nie dziwię się Zifferowi. Podobno sam Churchill nie jest wcale tak pewien, że porozumienie Hitler-Stalin jest raz na zawsze wykluczone.

Churchill wygłosił mowę, w której znalazł się cały ustęp poświęcony charakterystyce totalnego systemu włoskiego. Jakżeż ten ustęp idealnie, idealniej, niż do faszystowskich Włoch, pasuje do sowieckiego sprzymierzeńca. A może tak został przez Churchilla pomyślany?

Wciąż upalne, duszne dnie z domieszką — po londyńsku — męczącej wilgoci. Wieczorem czasem mgiełka. Na naszym, czwartym piętrze, pod dachem, nie ma czym oddychać. Dosłownie — roztapiamy się.

Hamburg płonie. Mój dobry znajomy rozmawiał z „wysoką osobistością” z lotnictwa brytyjskiego. Osobistość miała powiedzieć: „Gdyby Niemcy ścignęli dziś całe swoje lotnictwo bombowe ze wszystkich frontów, nie osiągnęliby tego, co my potrafimy zrobić w ciągu jednego, 50-minutowego nalotu na Hamburg”. Wierzę — osobistości.

Podobno Mikołajczyk złożył Sowietom jakąś ofertę.

29 lipca, czwartek, 8 wieczorem.

Diabelnie nam duszno na tym Chalk Farm po wsi millhillskiej. Co dzień po południu chmurzy się. My, ludzie kontynentu, zapominając gdzie mieszkamy, powiadamy zaraz: Będzie deszcz, albo burza. A tymczasem po godzinie jest znowu słonecznie, jasno i — duszno. Wszystko tu jest na opak. Nawet duchota i chmury mają inną wymowę, niż u nas.

Polykamy zimną wodę i gazety. Piszą już o rozruchach we Włoszech. Eisenhower ofiaruje im „pokój honorowy”. Niemcy ciągną z odsieczą na północ Włoch.

Dziś znowu wezwał mnie do siebie demon londyńskiej sceny — Kot. Ledwo zaczęliśmy gadać o sprawach niemieckich — odezwał się telefon. Dzwonił generał Kukiel. Kot zrobił jakąś nieswoją minę. Myślałem, że krępuje się moją obecnością, więc chciałem wyjść. Zatrzymał mnie jednak i mówił do Kukiela zirytowanym tonem: „Ależ kochany Marianie, musisz przyjść koniecznie na Radę Ministrów. Będą przecież omawiane sprawy wojskowe”... Marian, czyli Kukiel najwidoczniej wykręcał się. Kot irytował się coraz bardziej, powtarzając swoje. Wreszcie skończył, mówiąc, że jednak liczy, iż Kukiel przyjdzie na posiedzenie.

Musiałem uśmiechnąć się mimowoli słuchając tego dialogu, gdyż Kot, odłożywszy słuchawkę, zapytał mnie, zresztą — jak zawsze — uprzejmie: „Pana widzę ubawiła ta rozmowa”. „Nie przeczę” — odpowiedziałem. — „Rozmowa, jak między przyjaciółmi”. Mówiąc to myśla-

łem, że po śmierci Sikorskiego już z tej „wielkiej trójki” przyjaciół tylko dwóch zostało. Tym bardziej muszą się trzymać.

W 15 minut zreferowałem pogląd na sytuację niemiecką i opuściłem gabinet demona.

1 sierpnia, niedziela, 1 po południu.

Mamy *Bankholiday*, czyli dwa dni świąt. W Anglii to chyba największe święto narodowe. Niemal religijne. Czy kto na kontynencie słyszał o takim święcie? Stanowczo źle nas uczyli Anglii. Gdy wrócę do Polski, moje uświadamiające wywody na temat Anglii będę rozpoczynał od tego święta. Święto banku! Ileż zagadek obcej nam duszy angielskiej kult tego święta tłumaczy. Osobiście jestem wdzięczny Anglikom za ten wynalazek. Siedzę dwa dni w domu, zamiast w ministerstwie.

Wczoraj byliśmy z żoną na *party* u Stasia Głuskiego. Dowiedziałem się od Starzewskiego, co było przedmiotem 3 godzinnej rozmowy Raczkiewicza z Churchillem. Inicjatywa wyszła od Churchilla. Podobno był zaniepokojony niektórymi ustępami przemówienia Prezydenta z 14 lipca. Raczkiewicz miał Churchillowi wszystko szczerze wyjaśnić, powołując się na naszą konstytucję. Przy okazji zapewnił premiera brytyjskiego, że będzie z nim jak najściślej współpracował.

Raczkiewicz gada z naszymi ministrami tylko przez Mikołajczyka. Zamierza podobno chłopaka w ten sposób „zasymilować” z sobą. Nie rozumiem powodów tego trudu, skoro dalej zapewnia poufnie swoich przyjaciół, że rząd obecny potrwa najwyżej 2 lub 3 miesiące. Prezydent ma być bardzo niezadowolony z pewnej kategorii „niecierpliwych” piłsudczyków. Wymienia Libickiego i paru innych.

W wojsku zaczynają się zmiany. Okrzyczany przez Sikorskiego za zdrajcę płk. Tadeusz Zieleniewski został dowódcą pierwszej dywizji grenadierów. Wyobrażam sobie, jak się cieszy. Czuję, że napijemy się ze starym parą głębszych „wiskaczy”.

Lecz, poza wojskiem, nie zmienia się nic. Przeciwnie, rządzą nadal: Mikołajczyk i Kot.

2 sierpnia, poniedziałek, 4 po południu.

Zegnaliśmy Janka Wagnera z M.S.Z. Stary znajomy z czasów berlińskich. Jedzie do Kanady „pachnącej żywicą”, do Międzynarodowego Biura Pracy. Gruźlik. Oby tam wydobrzeał. Gadaliśmy o końcu wojny i o naszym przyszłym spotkaniu w Polsce. Zdawałoby się, że właściwie to takie bliskie...

Wiadomości z Berlina, nadeszłe via Sztokholm, głoszą, że Berlin będzie natychmiast ewakuowany. Przywódcy nacjonal-socjalistyczni obawiają się, że czeka go los Hamburga. A dalej: „Prasa niemiecka przynosi wciąż sadytyczne opisy straszliwych bombardowań. Szwedzcy obserwatorzy dziwią się Goebbelsowi. Czyż sądzi, że jest to jedyny środek uodpornienia ludności na czekające ją jeszcze cierpienia?”

I ja się dziwię. Lecz przede wszystkim cieszę się, cieszę się za Warszawę.

Byłem dziś na śniadaniu z Hansem Jaegerem, niemieckim emigrantem politycznym, ex-komunistą. Zna swoje Niemcy doskonale. Konfrontuję z nim często własne obserwacje i poglądy. Bardzo inteligentny człowiek.

Wygłosiłem pogadankę radiową przez BBC do kraju, którą zatytułowałem: „Nie kijem go, to pałką”. Zdaje się, że właściwie oceniam te rzekome propolskie zaloty Niemiec.

„Za kilka tygodni — mówiłem — przypada już czwarta rocznica najazdu niemieckiego na Polskę i rządów niemieckich krajem, rozczłonkowanym przez okupanta na kilka odrębnych jednostek administracyjnych. Największą z tych jednostek, gdyż o ludności 17 milionów mieszkańców, tzw. Gubernatorstwo, wyznaczyli Niemcy na „siedzibę Polaków”, czyli jak gdyby na rezerwat terytorialny, do którego spędza się Polaków z innych dzielnic i z którego masami wywozi się ludzi na roboty do Rzeszy.

Mało kto wie, że z tym Gubernatorstwem mają Niemcy od samego początku pewien kłopot. Kłopot ten jest o tyle interesujący, że potwierdza raz jeszcze prawdę, iż Niemcy zdolni są tylko do realizacji prostych celów grabieży cudzej własności i mordu, natomiast zawodzą na całej linii, gdy stawiają sobie przed oczami jakieś bardziej złożone zadanie.

Otóż, gdy napadli Polskę, nazwali tę część przeznaczoną na „siedzibę Polaków” — „Gubernatorstwem dla okupowanych obszarów Polski”. Już jednak w sierpniu 1940 roku, po klęsce Francji, skrócili całą nazwę do określenia „General Gouvernement”. Pewni zwycięstwa, zaczęli traktować tę część okupowanej Polski, jako kraj rządzony wszechwładnie przez wielkorządcę Berlina — Franka. Nie mogąc znaleźć właściwego określenia dla tej przemiany wynajdywali w pocie czoła dla swego tworu okupacyjnego coraz to nowe nazwy. Raz nazywali Gubernatorstwo „krajem buforowym”, raz „pomostem”, „trampoliną” czy „służą”, raz „obszarem nadwiślańskim” czy „krajem ubocznym Rzeszy”, „własnym krajem Rzeszy” itd. itd. Można byłoby doliczyć się dwóch tuzinów różnych, najnieprawdopodobniejszych nazw, które przyklejali do tworu okupacyjnego, zwanego oficjalnie Gubernatorstwem.

Atoli pewnego dnia — było to we wrześniu 1941 roku — znane pismo berlińskie „Berliner Börsen Zeitung” wygadało się bez obłonek, jakim zadaniom ma właściwie służyć Gubernatorstwo. Organ berliński wywodził, że chodzi o to, aby zbliżyć Gubernatorstwo jak najszybciej „do poziomu Rzeszy” i by na tej „kolonialnej ziemi” uwydatnić coraz wyraźniej piętno pracy niemieckiej i jej niemiecki charakter. Szydło wylazło z worka. Ot po prostu „siedziba Polaków” miała się stać pierwszą europejską kolonią Rzeszy, rządzoną przez kacyka-gubernatora z bezpośredniego upoważnienia wszechpotężnego Führera.

Przez dłuższy czas Niemcy nie ukrywali tego planu, wyszukując tylko dalej najdziwniejsze szyldy, pod którymi chcieli niezgrabnie ukryć brutalnie kolonizatorską treść. Dopiero, gdy klęska militarna zaczęła zaglądać im coraz wyraźniej w oczy, zmienili nagle znowu swój język. Zaczęli więc dowodzić, że Gubernatorstwo stanowi dla Polaków najlepszą formę egzystencji, ba, że w ogóle uznają nawet istnienie narodu polskiego, który ma równe prawa do życia z Niemcami i że w ogóle nawet współpraca polsko-niemiecka jest całkowicie do pomyślenia. Nie tak dawno temu, bo 27 czerwca, w organie Franka „Krakauer Zeitung” ukazał się artykuł pt. „Kolonia, czy kraj uboczny”. Autor odpowiada bez wahania, że Gubernatorstwo nie jest żadną kolonią, lecz tylko krajem ubocznym Rzeszy.

Cały ten kłopot z wynalezieniem nazwy, pokrywającej właściwe zadanie Gubernatorstwa, obchodzi nas tylko z tego względu, że odsłania perfidne oblicze bandyty, który usiłuje kryć się pod różnymi maskami. Tymczasem dla nas wszystkie te niezdarne maski kryją zawsze tę samą, zdecydowanie antypolską treść.

„Kraj uboczny Rzeszy, czy kolonia” brzmi tytuł artykułu organu Franka. My dalibyśmy artykulowi inny tytuł : Nie kijem go, to pałką.

XIV

WŁOCHY SKAPITUŁOWAŁY

6 sierpnia, piątek, 6 po południu.

Spotkałem się u p. S. z b. premierem M. Kościalkowskim. Nic szczególnie ciekawego. Gadało się — bo temat aktualny — o odwołaniu sowieckiego ambasadora Majskiego z Londynu do Moskwy i równoczesnym odwołaniu Litwinowa z Waszyngtonu. Kiedy w państwie sowieckim ludzie tego typu, to znaczy strawni dla Zachodu odchodzą ze swych stanowisk, oznacza to zawsze wzmacnianie kursu. Wobec kogo? Wobec sprzymierzeńców zachodnich? Chyba te zmiany nie stoją w związku z sojuszem trzech dyktatur: Rosji, Niemiec i Japonii, przepowiadany wciąż przez polskich proroków.

7 sierpnia, sobota, 2 m. 30 w nocy.

Byliśmy w „Ognisku”, a potem w greckim klubie. W „Ognisku” poznaliśmy młodzieńca atletycznej budowy i bardzo wysokiego wzrostu. Gdy się śmieje, robi wrażenie dobrego, uroczego chłopca. Marynarz. Sierota. Przeszedł piekło Rosji. Syn kapitana W.P. Nazywa się Stanisław Fuhrman. Trzeba będzie się nim zająć. Tęskni do domu rodzinnego.

Dzisiejsze dzienniki roją się od sensacji. Powtarzają przede wszystkim ataki prasy sowieckiej na Stany Zjednoczone i W. Brytanię — za brak „drugiego frontu”. *Russia still awaits the second front. Nine months since Casablanca.*

Bezczelni ! Zwyciężają tylko dzięki pomocy angielsko-amerykańskiej i jeszcze im mało. A może, istotnie, coś się psuje między zachodnimi aliantami a Sowietami ? Moskwa zaczyna „ważniczat”. Wymyśla również Czang-Kai-Czekowi. A Niemcy zapowiadają bliskie spotkanie Churchilla ze... Stalinem. To, oczywiście, największa sensacja.

W Niemczech musi być naprawdę „gorąco”. Już oficjalnie ewakuują Berlin. Sam Goebbels nie ukrywa, że najbliższym obiektem RAF’u będzie stolica Rzeszy. Ribbentrop jest w Rzymie. Hitler zwołuje wielką naradę do swej kwatery głównej. Prasa angielska twierdzi, że tacy generałowie, jak Mannestein, Rundstedt, Rommel, Blaskowitz czy Witzleben mogą już narzucać Hitlerowi swe zdanie. To oni mieli zdecydować o opuszczeniu Orla.

Wchodzimy w decydującą fazę wojny. Gdybyż nie ta zmora sowiecka ! Pocieszam się, że chyba gnębi ona również naszych gospodarzy. No i Stany Zjednoczone.

8 sierpnia, poniedziałek, 6 po południu.

Wczoraj po 9-ej zaszedł Babiński. Gadaliśmy bite dwie godziny. Sosnkowski trzyma się doskonale. Chce jak najprędzej ustalić stosunek Naczelnego Wodza do Ministra Obrony Narodowej. Jeśli nie da się załatwić sprawy pokojowo, będzie walka — mówił Babiński. Żywot gabinetu oblicza Babiński na 2 do 3 miesięcy. Ugotują się we własnym sosie — powiada. Kot się kończy. Rozwodził się o zmianach w wojsku, o rehabilitacji Zieleniewskiego, o przyjeździe gen. Paszkiewicza, o reorganizacji „dwójki” i roboty na Kraj, o zamiarach Sosnkowskiego oparcia się na elemencie młodym. Generał chciałby inaczej obsadzić gabinet wojskowy Prezydenta, lecz Prezydentowi to nie bardzo dogadza. Straszak sowiecko-niemieckiego porozumienia, zdaniem Sosnkowskiego, jest nierealny. Wielkie znaczenie natomiast przywiązuje do zbliżającego się spotkania Churchill-Roosevelt.

Wszystkie oceny Babińskiego utrzymane były w tonie wyraźnie optymistycznym. Ponieważ uważam je za wyraz poglądów generała, więc rozmowa z miłym, inteligentnym p. Witoldem podniosła mnie na duchu.

O 5-ej rozmawiałem z panem — powiedzmy — X. Uważam go za agenta sowieckiego, z czym nawet nie bardzo się kryje. X wyklucza porozumienie sowiecko-niemieckie. Sowiety „cziestno” domagają się „drugiego frontu”. Sowiety — dowodził X — straciły łącznie 20 milionów ludzi, z czego w zabitych 6 milionów, w rannych — 14-ście. Chodzi razem o armię i ludność cywilną. Rosja jest zupełnie wycieńczona. Obawia się zimy. Tereny odbierane Niemcom — to pustynia. Trzeba ludzi nakarmić, odziać, dać mieszkanie. Dlatego jeszcze przed zimą Rosjanie chcą zmusić aliantów do akcji na kontynent. Na zakończenie pan X szepnęła tajemniczo: „Najpóźniej w przyszłym tygodniu zacznie się drugi front aliancki”.

11 sierpnia, środa, około północy.

Niebo drży od huku motorów. Wczoraj byli nad Norymbergą, przedwczoraj nad Mannheim i Ludwigshafen. Dokąd teraz lecą?

Nie chce mi się dziś robić żadnych notatek. Rano otrzymałem list z 6 czerwca, z Warszawy, od Wandzi. Umarła mi Matka.

Churchill w Kanadzie. Agonia Sycylii. Bolszewicy już pod Charkowem. Włochy Badoglio biją się. Hitler narażać się...

13 sierpnia, piątek, 7 wieczorem.

Na razie cisza wokół podróży Churchilla. Tylko Moskwa komunikuje, że nie została zaproszona na spotkanie Churchilla z Rooseveltem. Czy to coś znaczy? Pewnie nic, ale my czepiamy się każdej myśli, łudząc się, że sojusz anglosasów z Rosją ogranicza się tylko do jednej sprawy — ostatecznego wykończenia Niemiec. Zupełnie jak z tym porozumieniem niemiecko-sowieckim, o którym nikt już nawet nie wspomina. Owszem, prorocy twierdzą czasem jeszcze, że Hitler i Himmler są stanowczo za tym porozumieniem, lecz armia niemiecka opowiada się za demokracjami. Tymczasem sowieciarze robią swoje.

8 sierpnia sowiecka „Prawda” ogłosiła wywiad z prezesem komitetu „Wolnych Niemców” w Moskwie. Komitet reprezentuje Niemców znajdujących się w Rosji, niezależnie od różnic społecznych i ideologicznych. Cele Komitetu streszczają się w 4-ch punktach : 1) natychmiastowe zakończenie wojny, 2) stworzenie wolnych, niezależnych Niemiec, 3) stworzenie silnego demokratycznego rządu narodowego, 4) nawiązanie przyjaznych stosunków z Rosją.

Wygląda to wszystko na przygotowywanie przez Moskwę przyszłego Rapalla.

Spotkałem b. konsula generalnego w Królewcu — Warchałowskiego. Dopiero w styczniu 1942 r. opuścił Warszawę. Przesiedział 2 lata u Niemców. Dwa miesiące temu wyjechał z Rzymu. Dlaczego ustąpił Mussolini ? — zapytałem. Oceniał położenie Niemiec jako katastrofalne — brzmiała odpowiedź. Obawiał się, że całe Niemcy zależą wojska sowieckie. Chciał ratować Włochy, oddając je zawczasu okupantom anglo-amerykańskim. Pragnął uniknąć wojny domowej.

Jeśli tak jest, jak mówi Warchałowski, świadczyłoby to bardzo dobrze o ex-dyktatorze słonecznej Italii.

Bombardowali znowu Rzym. I, oczywiście, Berlin.

14 sierpnia, poniedziałek, około 1-ej w nocy.

O 9-ej wieczorem posłyszeliśmy metaliczne szумы, przypominające chwilami potężne, odległe uderzenia dzwonu. Ciągnęły bombowce. Na czystym niebie, zaledwie pokrywającym się pierwszymi cieniami nadchodzącej nocy, widać było wyraźnie ciągnące kolumny bombowców. Po 10 minutach zapanowała cisza. I znowu po chwili ten sam potężny szum. Lecz bombowców już nie było widać. Czasem tylko jakiś punkcik świetlny zdradzał ich obecność i kierunek lotu. Znowu zapadła cisza, a na niebie ukazał się wielki, czerwony księżyc.

Gdy stojąc przy oknie obserwowałem ten pochód śmiertelnych kolosów, radio transmitowało z jednej z najelegantszych restauracji londyńskich jakieś skoczne melodie. Co za kontrast !

Nie wiem dlaczego mnie to dziwi. Przecież w czasie wojny takie kontrasty to rzecz zwykła.

19 sierpnia, czwartek, 12 m. 30 w nocy.

Po upadku Sycylii dobierają się na dobre do Włoch. Konferencja w Quebec zbliża się ku końcowi. Według powszechnej opinii, zapadną na niej ważne decyzje wojenne. Przygrywką są tytuły prasy: *Major event in Italy, Axis fear double second front, Who leads invasion army*. Eisenhower zapowiada, że inwazja może się zacząć „w każdej minucie”. Kadzą dalej sprzymierzeńcom sowieckim. Eden ma jechać do Moskwy. Będzie naciskał na Sowiety, aby zerwały stosunki z Japonią. Ulegając powszechnym nastrojom z minuty na minutę czekamy doniosłych nowin.

Pan X, który stara się teraz o częstszy kontakt ze mną, interesuje się bardzo pytaniem, co jest w tym prawdy, że obecny rząd Mikołajczyka ma skończyć swój żywot za dwa lub trzy miesiące. Już i on zna te terminy. Odpowiedziałem, że nie jest to wcale pewne, ale możliwe. Wówczas pan X zaczął nagle mówić o Sosnkowskim i — ku memu zdziwieniu — w samych superlatywach. Twierdził, że również Anglicy cenią wysoko Sosnkowskiego i że — o ile wie — w wojsku polskim, po śmierci Sikorskiego, zapanowały zupełnie inne stosunki. A na zakończenie powiedział, że jego „prywatnym zdaniem” Sowiety bardzo chętnie rozmawiałyby o całokształcie spraw polsko-sowieckich właśnie z Sosnkowskim. Pan X jest tylko echem jakichś inspiracji sowieckich. W każdym razie ciekawe. Powiem o tym Babińskiemu.

24 sierpnia, wtorek, 5 m. 30 po południu.

Wczorajszej księżycowej nocy spadło na Berlin tylko 1.800 ton.

Czekamy niecierpliwie na rezultaty konferencji w Quebec. Powódź domysłów. Na razie nic na to nie wskazuje, aby istniały jakieś nieporozumienia ze sprzymierzeńcem sowieckim. Przeciwnie. Nawet na ulicach Londynu idylla. Sprzedawano „kwiatek” na *Mrs Churchill's — Aid to Russia*. Zdaje się, że w Quebec'u powiedzieli tylko Rosji: Drugi front? — Dobrze, lecz wtedy, gdy zerwiecie stosunki z Japonią.

Artykuł Scrutatora w „Sunday Times” jest bardzo wymowny. Warto sobie zapisać parę zdań.

„Niech Rosjanie nie zapominają” — pisze Scrutor — „że znaczenie zwycięstwa nie zawsze mierzy się liczbą wojsk zaangażowanych w walce. Co więcej, niech nie zapominają, że niemal wszystkie dywizje niemieckie na nieczynnych frontach w Norwegii, Danii, Holandii, Belgii, Francji, Jugosławii i Grecji, trzymane są tam ze względu na nas. Podobnie zresztą jak to się dzieje z tyloma spośród dwustu dywizji rosyjskich. Dywizje nasze mogłyby znajdować się w Rosji, przyczyniając się do pomyślnej zmiany sytuacji”.

Podobnym językiem przemawia dzisiejszy „Evening Standard”. W przedziwnej demokracji angielskiej, gdzie prasa jest bardzo, bardzo nawet kierowana, taki uprzejmy, lecz szorstki i stanowczy akompaniament ma swą wymowę.

27 sierpnia, piątek, 6 po południu.

Zmęczyłem się wywiadem gen. Sosnkowskiego dla „Daily Telegraph’u”. Chcę, aby go umieszczono. Zbiegł się w czasie z wywiadem, czy artykułem gen. Kukiela dla tegoż pisma. Przypadek, czy świadoma akcja? Pomaga mi dziennikarz St. Arnold, który ma chody w tym piśmie. Właściwie sprawa jest załatwiona. Biedactwo ten Litauer! Jest podobno wściekły z tego powodu, ale nawet się nie domyśla, kto mu spłatał figla.

Dzisiejszy „Evening Standard” pisze: „Sycylia była dla nas szkołą walki, mikrokosmosem potężnej inwazji na którą czeka świat”... „Nasze główne dowództwo zdobyło doświadczenie, które przyspieszy widowisko o celach ważniejszych, jakie dopiero stają przed nami”.

Delektuję się lekturą o zniszczeniach Berlina. Nawet „moja” dzielnica Kaiserallee, leży podobno w gruzach. Bardzo to miłe.

Przed paroma dniami Rada Narodowa rozpatrywała budżet. Różni mówcy biorąc w obronę Mikołajczyka atakowali Sosnkowskiego. Prym dzierżył beznadziejnie pry-

mitywny M. Kwiatkowski, przed wojną wydawca „Narodowca” we Francji. Delikatniej czynił to samo — Józwiak. Zaczyna Kiełpiński apelował do Sosnkowskiego, by się „jednym słowem, jedną deklaracją” odciął od sanacji i niesanacji. Panowie Szydłowski i Beloński rozdzielali szaty z powodu siły elementu sanacyjnego w armii dowodzonej przez gen. Andersa.

Znamienna przygrywka do tego, co jeszcze będzie. Stanowczo nie podzielam optymizmu Babińskiego.

28 sierpnia, sobota, po 1-ej w nocy.

Wróciliśmy późno z „Ogniska”. Wieczór popularnych melodii polskich, zwłaszcza tang. Grali dobrze. Towarzystwo tańczyło. Zdawało się, że człęk jest w Warszawie.

Poszedłem do „Ogniska” wprost z zebrania „Zespołu Piłsudczyków”. Sytuację polityczną referował J. Łukasiewicz. Dowodził, że w Quebec dominowały sprawy azjatyckie. Sytuacja o tyle się zmieniła, że to teraz Sowiety są naciśkane przez Stany i W. Brytanię. Jak się Łukasiewicz wyraził „przekrój” obecnej chwili wygląda dla nas raczej pomyślnie. Właściwie jednak... wie niewiele. Konferencję w Quebec otacza taka tajemnica, że brak jest wszelkich elementów rozpoznawczych. Nie wiele więc się dowiedziałem, a do abstrakcyjnych dedukcji Łukasiewicza nigdy zbyt wielkiego zaufania nie miałem.

Brendan Bracken wydobył nagle na światło dzienne „tajemnicę Hessa”. Miał tu przylecieć, by mówić w Londynie z ludźmi, *who could produce the people to establish a Quisling government*. Dlaczego właśnie dziś ujawniają Brytyjczycy tę tajemnicę? Zdaje się, że wszystko obliczone jest na sowieckiego sprzymierzeńca. Patrzcie — zdaje się mówić szef brytyjskiej służby informacyjnej — mogliśmy was zdradzić, lecz szlachetnie nie uczyniliśmy tego.

I zaraz potem jednym tchem dodaje: „Rosja nigdy nie łamała swych przyrzeczeń. Najgorszą usługę Narodom Zjednoczonym wyrządza ten, kto czyni choćby najmniejszą sugestię na temat odrębnego pokoju. Jest to obraza Rosji”.

Anglicy również bujają Moskali. Lecz Moskale, niestety, nie dadzą się zbujać „zgniłemu Zachodowi”.

Mówi się, że Stalin ma się spotkać z przywódcami alianckimi, gdzieś, bodaj na Bliskim Wschodzie. Majski przybędzie na ważne narady do Londynu. Prasa angielska wyraża nadzieję, że mężowie stanu : Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego zbiorą się jeszcze przed zimą...

Wczorajsze, długotrwałe, nocne szумы na niebie, oznaczały nalot na piękną Norymbergę.

Sosnkowski oddał wreszcie wywiad dla „Daily Telegraph”. Sądzę, że go przyjmą. Trzeba robić co się da, aby kontrparować szerzoną o Sosnkowskim opinię w prasie angielskiej. Panowie : Mikołajczyk i Kot dalej nie próżnują. Dziś dowiedziałem się, że po nominacji Sosnkowskiego Mikołajczyk wysłał do kraju depeszę, w której beczelnie stwierdzał, że Prezydent Raczkiewicz dokonał tej nominacji „wbrew stanowisku Rządu i wbrew stanowisku Rady Narodowej”. Manewry obu panów obliczone na zdeorientowanie Kraju dają już skutki. Rada Jedności Narodowej w Kraju miała uchwalić, że stanowiska następcy Prezydenta i Naczelnego Wodza, nie mogą być zajmowane przez tę samą osobę. Ta uchwała mierzy — rzecz prosta — w Sosnkowskiego. Chcą go pozbawić następstwa, a jak to załatwić, pozbawią go Dowództwa. Motywy obu panów są proste. Chcą się pozbyć człowieka, który nie pójdzie na żadne kompromisy, sprzeczne z interesami narodu i państwa. A przecież, mimo buńczucznej postawy w sprawie Katynia, gotowi są do kapitulacyjnych kompromisów. Jeśli jednym z sowieckich warunków kapitulacyjnych będzie całkowite usunięcie Sosnkowskiego — warunek ten ochoczo zaakceptują. Takie jest oblicze tej dobranej spółki, uważającej się za politycznych spadkobierców Sikorskiego w prostej linii.

30 sierpnia, poniedziałek, około 1-ej w nocy.

Wszystko wokół Niemiec trzeszczy. Od Bułgarii do Danii. Majski już w Londynie. „Times” przypomina Sowietom ich grzechy. Dziennik pisze : „Cofnięcie wiosną uznania rządowi polskiemu przez Rosję, dokonane bez porozumienia z W. Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, było cięż-

kim niepowodzeniem wysiłków, zmierzających do ożywienia ducha współpracy między sprzymierzeńcami”.

Nasłuchałem się różnych ploteczek z kół oddanych Sosnkowskiemu. I w tym środowisku nie wszystko wygląda najróżniej. Podobno Łukasiewicz i Doboszyński domagali się od Sosnkowskiego przekazania kołom reprezentowanym przez obu tak zwanej — „roboty na kraj”. Dużo kwasów narobiło „głosowanie”, zarządzane w lotnictwie przez Sosnkowskiego, którego rezultatem było powołanie gen. Iżyckiego na dowódcę lotnictwa. Nic się na tym nie znam, lecz owym „głosowaniem” nie byłem zbudowany. I osobą Iżyckiego, o którym mówią że był kandydatem... Rettingera. Junty lotnicze nie są podobno również z Sosnkowskiego „zadowolone”, ponieważ otrzymały w lotnictwie tylko stanowiska — zastępcze. Czas byłby, aby przynajmniej po tej stronie barykady skończyły się te niepotrzebne kwasy.

3 września, piątek, 6 m. 30 po poł.

Już jesień. Czuje się ją zwłaszcza w londyńskich parkach. Coraz więcej bezlistnych drzew. Mgielki. Nie lubię Londynu jesienią i zimą, gdy pozbywa się bujnej zieleni. Szarzeje. Staje się brudny, beznadziejnie smutny, ponury. Chesterton jest innego zdania. Wszystko sprawa gustu.

Dziś w czwartą rocznicę wypowiedzenia wojny przez Anglię, rozpoczęła się wielka operacja inwazyjna na ląd włoski. Na wznowionej po lecie komisji spraw niemieckich zastanawialiśmy się, jak długo jeszcze Niemcy wytrzymają i czy może im coś pomóc nominacja Himmlera na faktycznego wielkorządcę Rzeszy. Według mnie i ta „Trzecia Rzesza Himmlera” też już niczego nie jest w stanie wytrzymać. Nasi wojskowi są wciąż innego zdania. Przyłączył się do nich Łychowski. Mój pogląd podziela cywilna większość komisji, m. in. Lipski i Winiewicz.

W numerze „Frankfurter Zeitung” z końca sierpnia czytam w artykule „Ins fünfte Kriegsjahr” :

„U progu piątego roku wojny Niemcy nie mierzą swych szans na podstawie oceny bilansu płatniczego, dochodu narodowego lub też obrotów handlu

zagranicznego w nadchodzącym roku. Sprawa rozstrzygnie się ostatecznie na płaszczyźnie tej wielkiej różnicy, jaka dzieli przyszłe zwycięstwo od — klęski”.

Już są bądź co bądź dwie ewentualności : zwycięstwo lub klęska. Nie tak dawno o klęsce nie było w prasie niemieckiej mowy.

Ukazał się skurtyzowany wywiad Sosnkowskiego w „Daily Telegraph”. Nie jako wywiad, lecz jako artykuł — *by Sosnkowski*.

Zapomniałbym. Będąc rano w „Rubensie”, spotkałem gen. Rayskiego. Kogo się tam zresztą dziś nie spotyka ! Coraz pełniej w londyńskiej siedzibie naszych władz wojskowych. Oczywiście Rayski — to oddzielny paragraf. Czas, by go również zrehabilitował Sosnkowski po tym czego doznał od Sikorskiego i spółki. Lecz reszta ? Reszta pewno zawraca głowę Sosnkowskiemu sprawami personalnymi. Martwi mnie to. Przepędziłbym większość z nich. Niech czekają. Na wszystko przyjdzie kolej. Zapytałem Rayskiego o „głosowanie” w lotnictwie. Obiecał, że mi to kiedyś wyjaśni.

8 września, środa, 11 m. 45 w nocy.

Jeszcze dziś rano narzekaliśmy w ministerstwie na posuchę, na brak ciekawszych wiadomości. Po południu byłem z żoną i z córką w kinie. Na Camden Town. Po 6-ej zakomunikowano publiczności nowinę, że Włochy skapitulowały, przyjmując aliancki warunek „bezwartunkowego poddania się”. Zaraz potem w tak zwanych *News*’ach przypomniano 4-tą rocznicę najazdu na Polskę. Zobaczyliśmy płonąca we wrześniu Warszawę i odradzające się w Anglii wojsko polskie. Wracaliśmy do domu podekscytowani wiadomością i wzruszeni — *news*’ami. Nawet w „March of Time” zobaczyłem wojewodę Grażyńskiego, który jest teraz na jakimś specjalnym kursie w Stanach Zjednoczonych.

Po powrocie z kina rzuciłem się do radia. Wielki dzień. Grali hymny angielski i amerykański, a potem, niestety, również sowiecki. Włosi wzywają naród do walki

z Niemcami. W tych warunkach na pewno i sam Himmler szwabom nie pomoże.

Nie pomogą im przymusowe podróże z miejsc wystawionych na ustawiczne bombardowania alianckie do miejsc na razie spokojniejszych. Reklamują je jakby chodziło tylko o zaciszne uzdrowiska. Pełno jest w prasie niemieckiej m. in. reklamy naszego Truskawca. Poświęciłem niedawno tej sprawie następującą, krótką pogadankę radiową do kraju.

„Truskawiec jest jednym z najpiękniejszych uzdrowisk położonych w pobliżu Karpat. Znajduje się w tym uzdrowisku wiele pięknych, małych domków wielorodzinnych, są idyllicznie położone pensjonaty i hotele, tonące w morzu różnolistnego lasu”.

Czy słowa te nie brzmią, kochany słuchaczu, jak przedwojenna reklama Truskawca? Czy słuchając tych zachęcających zwrotów nie widzisz wypisanych ich na barwnym plakacie, zdobiącym przed wojną poczekalnie polskich dworców kolejowych?

Nie, drogi słuchaczu, ta reklama jest bardzo świeżej daty. Umieszczona została 19 lipca br., zgadnij gdzie? — w „Hamburger Fremdenblatt”. A kogóż ma ona zachęcić? Czy może cierpiących na artretyzm lub złą przemianę materii zażywnych hamburczyków? Nie, ta zachęcająca reklama skierowana jest do wystraszonych bombardowaniem, szalejących z niepokoju matek niemieckich, których dzieci transportuje się teraz na gwałt do odległej, nieznanej Polski. W tytule reklamy uspakaja się je dodatkowo, że w tym odległym, polskim Truskawcu, nie ma ani niedźwiedzi ani wilków, że żyje się tam „beztrosko i bezpiecznie”, co mogą zaświadczyć małe niemiaszki ze zbombardowanego Wilhelmshafen, które już od wielu miesięcy mieszkają w Truskawcu.

Osobliwej, zaiste, sławy doczekał się w 1943 roku nasz Truskawiec”.

Po dokonaniu obrzędu wklejania pogadanki o Truskawcu, zadumałem się smętnie. Najwyraźniej tracę poczucie proporcji. Gdzie Truskawiec, a gdzie Rzym! Prze-

cież kapitulacja Włoch zbliża dzień zwycięstwa i pokoju. Nakłada obowiązek zdwojenia czujności, aby oczekiwana przez cały świat chwila nie stała się chwilą naszej politycznej klęski.

Proste i zarazem wielkie słowa. Czy sens ich rozumie rząd Mikołajczyka ? Na pewno nie jest on w stanie sprostać zadaniom, jakie stają przed nami. Nic dziwnego więc, że słowo „kapitulacja” w odniesieniu do Włoch, budzi niejako automatycznie obawę, czy rząd nasz nie skapituluje przed Moskwą. I jak tu nie tracić poczucia porcji !

XV

O PRZYSZŁOŚĆ STOSUNKÓW POLSKO-NIEMIECKICH

II września, sobota, 1 m. 30 w nocy.

Całe nasze zainteresowanie skupia się od wczoraj na „przedpolu Rzeszy” tj. na froncie włoskim. Mowa Hitlera była znamienna z dwóch względów : 1) nie zawierała żadnych tak ulubionych teraz przez niego wymysłów antysowieckich, 2) zawierała natomiast silne akcenty społeczne. Króla włoskiego i marszałka Badoglio potraktował jako przedstawicieli ginącego świata demokratycznej plutokracji.

Wczoraj widziałem znowu pana X. Obwąchiwaliśmy się wzajemnie i dlatego rozmowa wypadła arcynieciekawie. Jest bardzo triumfujący i tajemniczy. Już o Sosnkowskiego nie pytał.

Po południu u pp. Żółtowskich spotkałem senatora Jana Rembielińskiego. Uderzyła mnie powściągliwość Jan-ka w ocenie niebezpieczeństwa sowieckiego. Czyżby w tym ex-endecku odżyły jakieś dawne echa ? Czyżby nosił się z jakimiś prorosyjskimi koncepcjami ? Wiem, że nienawidzi Anglików, ale to jeszcze nie powód... Muszę z nim pomówić w cztery oczy. Nasz krytycyzm wobec Zachodu jest zrozumiały. Czyż sam inaczej oceniam naszych „alian-tów ?”

Nie poszedłem na zebranie „Zespołu Piłsudczyków”. Miał przemawiać gen. Karasiewicz-Tokarzewski, najznakomitszy ponoć teozof i nudysta wśród generałów. Nie lubię teozofów-polityków, a w dodatku jeszcze generałów ! Podobno był bardzo „mocny”. ..Kłamstwa Kotów i Popie-

łów'', „rząd szkody narodowej'' i tym podobne banały. I wszystko to na zebraniu zespołu, którego przecież nie trzeba agitować. Zarzucał miękkość, zarówno Raczkiewiczowi, jak Sosnkowskiemu. Psu na budę takie teozoficzno-generalskie gadanie.

16 września, czwartek, 12 w nocy.

Wczoraj był alarm ze strzelaniną. Pierwszy alarm tego rodzaju na nowym mieszkaniu.

Mieliśmy komisję niemiecką. Płk. Kijak uspakajał, że na froncie wschodnim Niemcy trzymają się dzielnie. Wciąż jeszcze ma zaufanie do ich geniuszu wojskowego.

Dziś odwiedził mnie Zieleniewski. Wpadł tylko do Londynu. Gadał długo z Sosnkowskim. Twierdzi, że „szef'' jest w doskonałej formie. Daj mu Panie Boże zdrowie.

19 września, niedziela, 2 po poł.

W sobotę byłem na śniadaniu z p. E. S. Może błądzi, może przesadza, może jest w tym co mówi wiele urażonej ambicji osobistej, lecz nie mogę opędzić się wrażeniu, że facet ma rację. Przeraża go stara, legionowa siuchta, która na plecach Sosnkowskiego chce się znowu „odkuć'' lub inaczej — wdrapać się na stanowiska. Twierdzi, że Sosnkowski nawet się nie spostrzegł jak się wszędzie wcisnęli. I Zieleniewski, choć zachwycał się „formą'' generała, narzekał, że jest przepracowany, że siedzi w „Rubensie'' do późna w nocy, że go zarzucają papierzyskami, że jest w tym — metoda. Jeśli tak jest, może, istotnie, wielu rzeczy nawet nie dostrzega. Obie rozmowy traktuję w każdym razie, jako znaki ostrzegawcze. Tym bardziej, że Mikołajczyk robi swoje i robi „po dawnemu'', jak za najlepszych czasów Sikorskiego. Dziesięć dni temu był na rozmowie u Edena. Towarzyszył mu ambasador Raczyński i oczywiście — zawsze ten sam Retinger.

Diabli biorą na to wszystko. A cóż znaczy redaktor Zbigniew Grabowski, podobno w roli doradcy politycznego Sosnkowskiego? Nieprawdopodobne.

We Włoszech wszystko rozwija się dobrze. Sardynia zajęta. Chcą chwycić Niemców za gardło od południa. Nie pomoże im zorganizowanie ucieczki Mussoliniego. Trafnie pisze o Mussolinim dzisiejszy „Observer” : *Mussolini began as the model of Hitler, he ends as a copy of Quisling*. Doskonałe.

Za to z frontu wschodniego wieści fatalne. Tak, fatalne, drogi pułkownik Kijaku ! Moskale prą naprzód. Znowu aż 700 miejsc zajęli. Co za inwencja w tworzeniu tych miast i miasteczek sowieckich. Mistrze bluffu.

Z tym większą pasją czepiamy się frontu włoskiego. Myślimy bowiem o innym. O Bałkanach. Ten front, powiedzmy sobie szczerze, to nasza ostatnia nadzieja.

Trzy lata temu doszło do pamiętnej „bitwy o Anglię” w której lotnicy polscy stracili 1/8 samolotów niemieckich. Ileż wówczas mieliśmy nadziei ! A teraz ? Na co możemy liczyć ? Czasem zdaje mi się, że tylko na imponderabilia.

22 września, środa, 10 wieczór.

Nie chce mi się pisać. Zamiast pisać, wklejam streszczenie mego referatu, wygłoszonego dziś na konferencji międzyresortowej, odbytej w naszym ministerstwie.

„Zagadnienie niemieckie weszło w stadium, które wymaga od nas nie tylko wyjątkowej czujności, lecz odpowiedzi na szereg podstawowych pytań. Referat niemiecki Ministerstwa Informacji i Dokumentacji stanowi jeden spośród kilku ośrodków w Londynie, zajmujących się systematycznie badaniem zagadnienia niemieckiego.

Polska myśl polityczna na emigracji, nauczona doświadczeniem minionego, przedwojennego dwudziestolecia, zdążyła od początku do utrwalenia w krajach alianckich przekonania, że cały naród niemiecki ponosi odpowiedzialność za wybuch obecnej wojny oraz za zbrodnie popełnione w Polsce i innych krajach okupowanych i że dlatego musi spotkać go zasłużona i tym razem bezwzględna kara. Wychodząc z tego założenia Polacy poparli ruch zainicjowany przez lorda Vansittarta. Ruch ten, prócz haseł negatywnych, nie wysuwał na ogół żadnych realnych postulatów w stosunku do sprawy przyszłości narodu nie-

mieckiego, który mimo, iż w końcowym zwłaszcza stadium wojny, poniesie olbrzymie straty biologiczne, nie przestanie istnieć. Przez sam fakt istnienia, liczbę oraz położenie geograficzne, stanowić będzie jeden z najistotniejszych elementów politycznych w przyszłym układzie sił na kontynencie europejskim.

Z chwilą gdy wojna weszła w stadium końcowe, zagadnienie przyszłości narodu niemieckiego zaczęło przybierać na sile. W krajach sprzymierzonych zaczął się odwrót od prądów negatywnych w rodzaju „Vansittartyzmu”, potrzebnych do czasu, jako balans przeciwko zakorzenionym w krajach anglosaskich sentymentom pro-niemieckim i akcji uprawianej przez samych Niemców. Śmiało rzec można, że zaczął się ich zmierzch, za to wzrosło natężenie poszukiwań, zmierzających do znalezienia w sprawie niemieckiej rozwiązań pozytywnych. Prócz zrozumienia, że zbliża się koniec wojny, wpłynął na tę ewolucję fakt potęgujących się rozbieżności poglądów na przyszłość stosunków powojennych między z jednej strony Moskwą, z drugiej — krajami anglosaskimi. Rozbieżności te spowodowały, że papiery zwyciężanego narodu niemieckiego jeszcze przed ostatecznym zwycięstwem alianckim, zaczęły bardzo silnie zwyżkować we wszystkich krajach sprzymierzonych. Zwyżkę tę spowodowało stanowisko Moskwy.

Przez powołanie do życia Komitetu Wolnych Niemców, Moskwa zdeklarowała, że w sprawie zagadnienia niemieckiego pragnie uprawiać własną politykę, niezależną od polityki innych narodów sprzymierzonych i że jeszcze przed zakończeniem wojny w polityce tej zamierza stwarzać fakty dokonane. Po Komitecie Wolnych Niemców powołano do życia Związek Oficerów. Fakty te muszą wywołać wrażenie, że Moskwa ocenia wewnętrzną sytuację Niemiec w ten sposób, że po klęsce reżymu hitlerowskiego, jedynym elementem w Niemczech, z którym trzeba będzie się liczyć realnie — będzie armia niemiecka.

Samodzielna akcja Moskwy w sprawie niemieckiej, stanowiąca po powołaniu „Związku Patriotów Polskich” już drugi, niedwuznaczny przejaw aspiracji moskiewskich do samodzielnego regulowania spraw europejskich, wywołała żywą reakcję w Stanach Zjednoczonych. Typowym

przykładem tej reakcji, spowodowanej polityką moskiewską, był artykuł Dorothy Thompson w „The American Mercury” pt. „Germany must be salvaged”. Autorka, należąca do tzw. otoczenia prezydenta Roosevelta, znana z poglądów antyhitlerowskich, wystąpiła w tym artykule w obronie narodu niemieckiego, oświadczając się bardzo zdecydowanie przeciwko narzucaniu po wojnie narodowi niemieckiemu form alianckiej administracji okupacyjnej. Zdaniem jej mogłyby one wywołać wśród Niemców reakcję opóźniającą proces reedukacji narodu niemieckiego oraz chwilę w której Niemcy mogłyby kolaborować w charakterze pełnoprawnego członka rodziny narodów europejskich w budowie Europy.

W Anglii reakcje na postępowanie Moskwy w sprawie niemieckiej nie zarysowały się tak wyraźnie, jak w Stanach Zjednoczonych. Anglicy, jak to czyni broszura „The problem of Germany”, nie chcąc wciąż wychodzić z roli analityków wszystkich pro i contra, jakie wywołują różne projekty powojennego rozwiązania sprawy niemieckiej. Ostatnia mowa Churchilla była o tyle charakterystyczna, że premier Wielkiej Brytanii uważał za wskazane stwierdzić, że prócz zniszczenia nazizmu, chodzi również o zniszczenie w Niemczech prusactwa. Jest to ciągle jeszcze negatywny ogólnik, nie zaś wskazane programowe. Nastroje mas angielskich w sprawie niemieckiej charakteryzują znane rezolucje T.U.C.

Zaktualizowanie się sprawy przyszłości Niemiec pobudziło akcję emigracji niemieckiej z którą praktycznie współdziałają najwartościowsze elementy emigracji austriackiej po faktycznym rozbiciu prób zunifikowania rozbieżnych grup austriackich. Tak zwany emigracyjny ruch austriacki jest dziś pozbawiony jakiegokolwiek, realnego znaczenia.

Co się tyczy emigracji niemieckiej to jej pierwszoplanowy garnitur znajduje się w Stanach Zjednoczonych. Wystarczy wymienić tu nazwiska: Brüninga, Grzesińskiego, Stampfera, Segera i wielu innych. W Anglii zarówno grupa socjalistyczna (Vogel), jak i inne grupy, nie rozporządzają wybitnymi postaciami, słuchając instrukcji przychodzących ze Stanów. Ruchliwsze jednostki spośród niemieckiej emigracji w Anglii grupują się w organi-

zacji „Free German Movement”, będącej ekspozyturą ambasady sowieckiej.

Wynika z tego, że aktywną politykę niemiecką w oparciu o ludzi reprezentujących realnie duży kapitał polityczny, mogą dziś uprawiać tylko Stany Zjednoczone. O ile też wiadomo kontakty wybitnych niemieckich polityków emigracyjnych z Departamentem Stanu są bardzo bliskie. W drugorzędnym lub wyrażnie komunistycznym garniturze niemieckim, przebywającym w Anglii, nie należy szukać właściwych partnerów rozmowy.

Wspólną cechą wszystkich niemieckich grup emigracyjnych jest ich raczej antypolski charakter, czasem pokrywany frazesami o konieczności w przyszłości współpracy polsko-niemieckiej (Vogel).

Fakt ten narzuca stronie polskiej konieczność wyteżonej, stale aktywnej czujności, to znaczy takiej, która nie tylko sygnalizuje niebezpieczeństwo, lecz przygotowana jest na natychmiastową odpowiedź.

Czas już rozstać się z postawą wybitnie negatywną w sprawach niemieckich i w chwili gdy miarodajne dla nas mocarstwa szukają pozytywnych rozstrzygnięć sprawy niemieckiej, odpowiedzieć sobie na pytanie, co my myślimy o rozwiązaniu tego zagadnienia i jak wyobrażamy sobie w przyszłości stosunki niemiecko-polskie. Bez posiadania odpowiedzi na to pytanie możemy być kiedyś zaskoczeni decyzjami, które powstaną bez naszego współudziału i mogą godzić w nasze najżywotniejsze interesy. Tak zwane maksymalne i minimalne postulaty nasze w sprawie przyszłej granicy zachodniej lub postulat zniszczenia Prus — nie wyczerpują zagadnienia. Są to wciąż tylko żądania jednostronnie negatywne, a choć uzasadnione, nie mogą zadowolić nikogo, kto szuka po wojnie nie tylko sposobu zadośćuczynienia przez Niemców krzywd wyrządzonych innym narodom, lecz chce znaleźć rozwiązanie, gwarantujące trwałą stabilizację stosunków politycznych w Europie powojennej. A takie rozwiązanie jest tylko wówczas do pomyślenia, gdy jednym z jego elementów będzie wprowadzenie uszczuplony terytorialnie, ukarany, reedukowany itp., lecz żyjący w bezpośrednim sąsiedztwie z Polską kilkudziesięciomilionowy naród niemiecki”.

Dostałem długi list od znajomego z korpusu gen. Andersa. Píše, że między pierwszym pobytom Sikorskiego w korpusie, a drugim, była bijąca w oczy różnica. Wspomina Pierwszą Brygadę graną na rozkaz Sikorskiego i cytuje odezwanie się Sikorskiego do gen. Wiatra: „Z takimi legionistami, jak pan, można współpracować”. Rozpisuje się również o sprawie rotmistrza Klimkowskiego, dawniej oficera do specjalnych zleceń przy gen. Andersie, Klimkowskiego aresztowano i siedzi. Ów Klimkowski rozdmuchiwał znaczenie „junty” oficerskiej, której przewodził w 12 pułku ułanów, powołując się stale na swe powiązania ze Stronnictwem Narodowym. Zaopiekował się rzekomo Klimkowskim — Kot w czasie swego pobytu na Bliskim Wschodzie. Kupił go obietnicą „ministra bez teki”, a na razie ofiarował mu konsulat generalny, gdzieś w Południowej Ameryce. Po śmierci Sikorskiego przyszedł rozkaz cofnięcia wyjazdu Klimkowskiego — gotowego już do drogi. Zamiast na piękne stanowisko — powędrował za kraty, podejrzany o konszachty z sowietami. Cały romans. Po co on mi o tym wszystkim pisze?

Osoby, które brały udział w międzyresortowej konferencji na temat Niemiec, obdarzyły mnie komplementami za referat i — odwagę. Myślałem na razie, że moja odwaga polegała na tym, że treści referatu nie ustalałem z moim demonicznym szefem. Byłem w błędzie. Gratulowano mi że ośmieliłem się przypomnieć rodakom, iż prócz negatywnej strony medalu zagadnienia niemieckiego, istnieje jeszcze inna. Ta która jest skutkiem prostego faktu, że byliśmy i pozostaniemy sąsiadami Niemców.

Mimo komplementów jestem przekonany, że wielu zawodowych Rejtanów załamię z oburzenia ręce na wieść o moim wyczynie. Powiedzą, że gadanie dziś gdy jeszcze walczyliśmy ze zbrodniarzami niemieckimi o jakichś pozytywnych koncepcjach współżycia obu narodów, jest wręcz amoralne. Lubię tych zagorzałych obrońców moralności w polityce. Przypominają mi ludzi protestujących na przykład przeciwko... bólowi głowy.

XVI

„BÓG JEST Z NAMI. PRZED NAMI WARSZAWA”...

27 września, poniedziałek, 12 w nocy.

Smoleńsk wzięty bez walk. Dziś sami Niemcy przyznają, że wojska sowieckie przekroczyły Dniepr. Jestem tak przybity tymi wiadomościami, że nie chce mi się nawet zastanawiać nad sukcesami wojsk alianckich we Włoszech. Nie mogę oderwać oczu od map frontu wschodniego, reprodukowanych w prasie angielskiej, na których zjawia się już granica polsko-sowiecka i słowo : Poland. Zimno mi się robi na myśl, że wojska sowieckie mogą wkrótce wejść na nasze ziemie. Co mnie obchodzi „przedpole” włoskie, gdy za dwa lub trzy tygodnie Niemcy zrobią z Polski swoje przedpole.

Na świecie zimno i, po londyńsku, beznadziejnie. W dodatku ten nasz front wewnętrzny ! Mikołajczyk kręci, intryguje i wcale nie robi wrażenia, aby miał wkrótce ustąpić. A jak działa opozycja : Stronnictwo Narodowe, socjaliści typu Ciołkosza i Pragiera, piłsudczycy, różni oenerowcy, czy garstka anty-mikołajczykowskich ludowców ? Na co czeka Prezydent Raczkiewicz, który zapewniał uroczyście Sosnkowskiego, że udzieli Mikołajczykowi dymisji ? Czy się w ogóle na to zdobędzie ? Nie rozumiem po co ten człowiek o słabym zdrowiu domęcza się „współpracą” z Mikołajczykiem. A przecież wiem, bo mi to kiedyś mówił, że go właściwie organicznie nie trawi, że odpycha go od Mikołajczyka jego „koźli upór” i prostacka bezwzględność.

A co po kątach wygadują różni pułsudczycy, pułkownicy i nie-pułkownicy, którym się zdawało, że Sosnkowski tacznie tylko nimi obsadzać kluczowe stanowiska w wojsku? Wszystko to razem niczego dobrego nie wróży.

28 września, wtorek, 12 m. 30 w nocy.

Jestem wciąż przybity, choć staram się tego nie pokazywać. Zwłaszcza w domu. Przeraża mnie Rosja, zbliżająca się do naszych granic. W czwartą rocznicę tragicznej kapitulacji Warszawy najgorsze przeczucia chodzą po głowie. Staram się je odsunąć, szukam jakiejś pociechy i nigdzie nie znajduję. Przeciwnie, co wiadomośc, to gorsza.

Niedawno pisma sowieckie doniosły o utworzeniu w Moskwie „Związku Niemieckich Oficerów” złożonego z jeńców wojennych przebywających w Rosji. Związek wydał już apel do niemieckich dowódców, wzywając ich do obalenia Hitlera i poddawania się, ponieważ dalszy opór jest bezcelowy.

Czyżby Moskale szykowali sobie „własną” armię niemiecką, którą zdążą jeszcze pchnąć do walki?

Niewesołe rzeczy opowiada również Ciołkosz. Rozmawiał z Attlee. Jeśli sowieciarze przekroczą Dniepr — mówił Ciołkosz — może być bardzo źle, gdyż Alianci nie są w obecnej chwili przygotowani do działań ofensywnych na kontynent. Bałkany szykują dopiero na wiosnę 1944. Jeśli zostaną zaskoczeni Dnieprem, proporcja żywych sił będzie taka: Rosja — 12 milionów żołnierzy, Alianci w basenie śródziemnomorskim wszystkiego 2 miliony. Bładania sowieckie są — rzecz prosta — zwykłym szantażem, zmierzającym do wyciągnięcia od aliantów maksymalnej ilości potrzebnego wciąż Sowietom sprzętu.

Dobrze przynajmniej, że Anglicy zdają sobie z tego sprawę, iż mają do czynienia z zawodowymi szantażystami.

Odezwał się nagle E. Puacz. Przysłał mi swą najświeższą broszurę pt. „Stosunki Polsko-Sowieckie”. Jak się okazuje ze wstępu, zawiera ona myśli, które propagował w odczytach, wygłaszanych w Towarzystwie Polskim w Londynie, organizacji starej emigracji. Opowiadano mi

dużo o tych odczytach. Po przeczytaniu broszury, nie mam już najmniejszych wątpliwości, jakiego dosiadł rumaka. „Kompromis między komunizmem, a demokracjami parlamentarnymi leży w sferze możliwości”... „Na dobrej współpracy angielsko-sowieckiej stracą tylko ci politycy, którzy wzorem aktywistów i beckowców — orientują się na przyszłą współpracę polsko-niemiecką lub też tacy, którym dogadza Polska, włączona do Związku Republik Sowieckich”... „Gdyby ustrój komunistyczny był rzeczywiście najgorszym ustrojem, to my, garstka Polaków, na pewno nie zdołamy obronić świata przed tym nieszczęściem”. A wreszcie, po tych przejrzystych łamańcach, zasadnicza teza polskiej polityki zagranicznej w ujęciu p. Puacza : „Pierwszym zadaniem polskiej myśli politycznej jest uchronienie narodu polskiego przed niebezpieczeństwem dwustronnego ataku. Dlatego uznajemy za pożyteczne umowy polsko-sowieckie z 30. 7. 41, 14. 8. 41 i 4. 12. 41”.

Jakież to jasne ! Puacz propaguje otwarcie myśli prosowieckiej orientacji. Może robi to dla kariery lub — co gorsza — dla pieniędzy ? Dla pieniędzy — chyba nie. Ma w Stanach Zjednoczonych siostrę — milionerkę. A może po prostu z powodu urażonej, a wybujałej ambicji ?

Ten niepokojąco ruchliwy młody człowiek walczył ambitnie z Sikorskim. Niewątpliwie został zdraśnięty w swych ambicjach. Chce się teraz odegrać za wszystkie czasy. Postawił na Sowiety i — zdaje się — brnie dalej.

A szkoda, że takich pozyskują. Zdolny i jak się zdaje ideowy. Wydawszy w czerwcu 1940 roku ostatni numer „Głosu”, dosłownie w ostatniej chwili opuszczał Paryż zajmowany przez Niemców. Kolega redakcyjny miał go czekać z autem w umówionym miejscu. Nie stawił się. Puacz złapał szczęśliwie jakieś auto, zapakował do niego dwie koleżanki z administracji pisma i przyjechał do Angers. Jadąc postanowił przy pierwszej okazji zbić na kwaśne jabłko kolegę, który zawiódł w takiej chwili.

W dwa dni po przybyciu do Angers spotkał mnie na ulicy i zapraszał, bym koniecznie przyszedł o 4-ej po południu do prowizorycznego lokalu Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, bowiem o tej godzinie spierze publicznie owego kolegę. Na razie myślałem, że żartuje. Wkrótce

przekonałem się, że mówi poważnie. Zacząłem go więc przekonywać, by tego nie robił, bo nie miejsce i czas. Wreszcie przyrzekłem, że przyjdę. Coś mnie zatrzymało i spóźniłem się dosłownie o 10 minut. Gdy przyszedłem do Ministerstwa było już po wszystkim. Puacz zjawił się punktualnie o 4-ej i na oczach wszystkich kolegów wyróżnił redaktora w twarz, mówiąc za co go bije. Doszło między nimi potem do krótkiej bójki, którą zlikwidowali koledzy.

Bardzo to typowe dla Puacza. Co sobie wbił w głowę, realizuje przy pierwszej okazji, nie oglądając się na nic. Na pewno postanowił odkuć się za wszystkie czasy i sądzi, że zdoła tego dokonać dosiadając sowieckiego rumaka.

Na pewno się zawiedzie. Ale o to mniejsza. Pytanie : ilu pociągnie, względnie ilu się podobnych znajdzie. A że się znajdują, to nie ulega wątpliwości.

I października, piątek, II w nocy.

Znowu lecą. Znowu całe niebo szumi. Nie chce się pisać. A właściwie, kiedy się chce pisać? Tylko wtedy, gdy przychodzi fala uzasadnionego lub nieuzasadnionego optymizmu. Gdy fala nadziei opada, odchodzi ochota do robienia zapissek. A już od dłuższego czasu nie ma żadnych powodów do optymizmu. Z zupełną obojętnością czytam wiadomości o zajęciu Neapolu. Cóż po Neapolu, kiedy inwazja na Bałkany daleko, a wojska sowieckie blisko Polski. Nie podzielam absolutnie nadziei sympatycznego płk. Kijaka w sprawie frontu wschodniego. Pobożne, polskie życzenia. A żyć wiecznie samymi pobożnymi życzeniami nie można.

3 października, niedziela, 2 po południu.

Wczoraj ukazał się w „The Economist” interesujący artykuł pt. „A time for decision”. Wywołał wśród nas duże poruszenie. Zapiszę go sobie. Gdy „The Economist” przemawia — podobno ma to swą głęboką wymowę.

Artykuł porusza sprawę tzw. Komitetu Śródziemnomorskiego. Sowiety chciałyby rozszerzyć kompetencje tego komitetu i wpakować do niego Wyszyńskiego. Na marginesie tej sprawy pismo zamieszcza ciekawy komentarz, zaczynający się od tego, że nominacja Wyszyńskiego miałyby donieść konsekwencje. Potwierdzałyby fakt, że rozwiązania w rejonie południa Europy i w ogóle terenów okupowanych przez wojska brytyjskie i amerykańskie, dotyczą „żywotnych interesów” Rosji.

Po tej wstępnej uwadze „The Economist” przechodzi do zagadnienia polskiego. Czasopismo przypomina, że w Polsce istnieje „wojskowa organizacja podziemna kierowana przez Naczelnego Wodza armii polskiej na wygnaniu”. Równocześnie jednak działa w Polsce także partyzantka sowiecka. Cóż w tej sytuacji należy zrobić? „Pierwszy krok — pisze „The Economist” — powinien uczynić generał Sosnkowski. Wojskowe podziemie podlega bezpośrednio jego rozkazom. Jest zatem jego oczywistym obowiązkiem wydanie rozkazu natychmiastowego zaniechania wzajemnych walk... Rosjanie, rozporządzając pod każdym względem przewagą siły, ponoszą jeszcze większą odpowiedzialność. Cóż się jednak stanie, jeśli użyją swej przytłaczającej potęgi wojskowej, aby zmusić Polaków do przyjęcia w sporze granicznym faktu dokonanego (*fait accompli*), jeśli słowem wkroczą do Polski w nastroju wrogości i odwetu, aby — podobnie jak w latach 1939 i 1940 — rozpocząć prześladowania polityczne i masowe deportacje? Istnieje słaba nadzieja, aby Polacy, których zdeterminowana odwaga nigdy nie ulega nawet największym przeciwnościom, nie odpowiedzieli na takie postępowanie z bronią w ręku”.

Zdaniem pisma chodzi ostatecznie o to, aby Rosjanie dali Polakom kontrgwarancję, że wchodzą do Polski — *as friends and liberators* i że zgadzają się na — „zasadę negocjacji”.

Pismo wypowiada pogląd, że właściwym terenem negocjacji sowiecko-polskich mógłby się stać zaraz poszerzony Komitet Śródziemnomorski, względnie powołana natychmiast do życia komisja pod nazwą *Centre and Eastern European Commission*. Komisja ta musiałaby posiadać autorytet ciała bezstronnego. Zajęłaby się rozwiązaniem

całokształtu zagadnienia rosyjsko-polskiego, włącznie ze zmianą terytorium (*territorial modification*) oraz plebiscytami dotyczącymi ewentualnych przesiedleń ludności. „W tym wypadku — pisze dalej „The Economist” — przez analogię z przyjęciem do Komisji Śródziemnomorskiej delegata Francji, delegat polski winien być wyznaczony do Komisji Wschodniej”. Na zakończenie tygodnik brytyjski radzi Rosji nawiązanie stosunków dyplomatycznych z rządem polskim i oświadcza, iż przemawia — „jako przyjaciel obu stron”.

Bardzo, bardzo ciekawe. W sugestjach „The Economist” jest wszystko, nie wyłączając skrzętnie kamuflowanych własnych obaw. W każdym razie artykuł usiłuje stworzyć jakąś konkretną płaszczyznę. Czy Rosja z niej skorzysta? Czy jest jej w ogóle potrzebna? A jeśli nie skorzysta?

Neapol już wzięty. Zbliżają się do bram wiecznego miasta.

4 października, poniedziałek, 12 w nocy.

Wczorajszej i przedwczorajszej nocy były krótkie alarmy. Żona wymęczona niespaniem. Niebo znów szumi. Przyszła teraz moda na Monachium i Wiedeń.

Dziś zebraliśmy się na wspólną kolację w Automobilkubie. Koledzy, działacze z dawnych „Bratniaków” akademickich. Byli m. in. Czerwiński, Zagórowski, Zamoy-ski, Martin, Bruner, Paprocki i jeszcze kilku. Przyjemne spotkania. Przypominają dobre, młode lata.

7 października, czwartek, 12 m. 30 w nocy.

Trzecia noc pod rząd z alarmami. Wczoraj złapał nas alarm w kinie, dziś na wieczornej wizycie u Opieńskich — na południu Londynu. Jedliśmy kolację. Była 9-ta wieczór. Zaczęła się strzelanina artylerii przeciwlotniczej. Dawno już tak głośno nie było. Trwało to do 11-ej. Staliśmy z Janeczką w zaciemnionym pokoju i przez otwarte okna usiłowaliśmy zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Wi-

dzieliśmy tylko samoloty niemieckie, łapane w światła reflektorów i rozpryskujące się w okół nich ognie pocisków artylerii przeciwlotniczej. Pięknie wyglądały deszcze rakiet gwiaździstych w różnych punktach ciemnej płamy nieba. Raz usłyszeliśmy wyraźnie świst spadającej bomby, a zaraz potem sygnały pędzących straży pożarnych.

Goebbels zapowiedział, że po ostatnich bombardowaniach Monachium i Frankfurtu Niemcy się zrewanżują. Tym razem, jak się zdaje, dotrzyмали jako tako słowa.

9 października, sobota, około północy.

Przed chwilą wróciliśmy z „Ogniska”. Po południu byłem w „Zespole” na referacie B. Helczyńskiego o sytuacji zagranicznej. Podobno rząd stara się o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Sowietami. Szkoda, że czyni to dopiero w chwili, gdy Sowiety zbliżają się do granic Polski. Najpierw „bohaterskie” tony w sprawie Katynia, a potem, gdy sytuacja Rosji poprawia się, gdy im gęba z pychy puchnie — oferta nawiązania stosunków. Lepiej było nie zaczynać całej awantury. Lepiej było się przyznać, wziąć wodę w usta, względnie wszystko inaczej rozgrywać. A teraz podobno naciskają Anglicy. Że naciskają, jestem tego pewien.

Newel. Już tylko 150 kilometrów od granicy polskiej. Od Wilna 340 ! Jeśli będą tak szli, jak idą...

Amerykanie bombardowali Gdynię, Gdańsk, Kwidzyń.

13 października, środa, 12 w nocy.

Zamknąłem przed chwilą radio. *Excellent news...* z frontu rosyjskiego. Coraz bardziej osamotniony płk. Kijak twierdzi swoje. Inni twierdzą, że Moskale najdalej za dwa tygodnie będą w Polsce. Ja, niestety, też tak sądzę.

Kilka sensacji, w tym jedna bardzo smutna. Portugalczycy zajęli Azory. Włochy Badoglio wypowiedziały Niemcom wojnę. Zginął „Orkan”. Drżymy o Stasia Fuhrmana. Niedawno jeszcze pisał, prosząc Janeczkę o nuty dla organizującej się na „Orkanie” orkiestry...

14 października, czwartek, 1 w nocy.

Szary, smutny, mglisty dzień. „Dziennik” potwierdza wiadomość o „Orkanie”. Sprawdziłem listę 32 uratowanych. Nie ma na niej nazwiska Stasia.

Po południu byliśmy u Marchlewskich. Miecio postarzał się. Zresztą zawsze ten sam : inteligentny, czytany, bardzo kulturalny.

Wieczorem jedna z pań powtórzyła mi rozmowę Retingera z Harrimanem. Przed wyjazdem Harrimana do Stanów. Doradca Roosevelta zajmuje rzekomo w sprawie naszych granic wschodnich „mocne stanowisko”. Dziwi mnie, że mówiąc o tych granicach, Harriman wspomina tylko Lwów. O Wilnie — milczy (*).

Cóż zresztą może nam pomóc to „mocne stanowisko”, gdy — jak to się mówi — oni sami w strachu. Mały kwiatek : Bogomołow z polecenia Moskwy pchał się do Algeru. Eisenhower nie chciał go tam wpuścić. Rezultat : ostatecznie wjechał tam na czele całego sztabu szpicli sowieckich, złożonego z 53 osób. Jeżeli we wszystkich będą tacy „mocni”, to winszuję im, no i, niestety, nam.

17 października, niedziela, 3 rano.

Przed chwilą skończył się alarm. Spać się chce.

*) Według A. Bregmana po zerwaniu stosunków polsko-sowieckich w kwietniu 1943 r. ambasador brytyjski w Waszyngtonie Halifax złożył w Departamencie Stanu memoriał, zwracający uwagę na niebezpieczeństwo zmiany nastrojów wśród wojska polskiego. Celem tego memoriału miało być spowodowanie wspólnej interwencji anglo-amerykańskiej u Stalina. Brytyjczykom zależało bardzo na wojsku polskim. Interwencja ta nastąpiła w formie depechy Roosevelta do Stalina, w której solidaryzował się on m. in. z oświadczeniem Churchill, że rząd brytyjski nie uzna innego rządu polskiego, powstałego w Sowietach lub gdzie indziej. Już w kilka miesięcy potem Roosevelt zmienił swą kategoryczną postawę wobec Rosji w sprawach polsko-sowieckich. M. in. wyrażał pogląd, że nowa granica polsko-sowiecka powinna biec trochę na wschód od linii Curzona, pozostawiając Lwów po stronie polskiej. Odbiciem tych poglądów były opinie, wypowiedane przez Harrimana Retingerowi. Poglądy Roosevelta nie były jeszcze wówczas znane.

18 października, poniedziałek, 2-a w nocy.

Około 11-ej był nalot. Bardzo głośny. Strzelała „nasza armata” przeciwlotnicza, znajdująca się w parku, odległym o dwieście metrów od Eton Hall’u.

Pożegnaliśmy Zbyszka Ciska. „Skacze” do Polski.

Nowy powód do niepokoju. Konferencja w Moskwie. Lecz nie dla wszystkich. Nie dla rządu. Rząd zaniepokojony jest najbardziej zjazdem... Związku Ziem Południowo-Wschodnich, jaki odbył się w zeszłą niedzielę w Edynburgu. Zjazd uchwalił przeszło 400 głosami przeciwko 13 (obecny „z urzędu” na zjeździe) mocną rezolucję w obronie wschodnich granic Polski. Rezolucja wypowiadała votum nieufności obecnemu rządowi. „Jedynie rząd, wywodzący się z woli całego narodu, może pewnie i bez wahania prowadzić polską nawę państwową, oraz zapewnić Polsce należne jej miejsce w polityce międzynarodowej”. Ofiary poniesione i ponoszone dalej przez naród polski powinny być — jak głosi rezolucja — „wielkim memento, które nakłada na społeczeństwo polskie obowiązek kategorycznego domagania się powołania rządu woli całego narodu, aby życia setek tysięcy złożonych ojczyźnie w ofierze nie poszły na marne, a dały obfity plon dla przyszłych pokoleń”.

Będzie takich wystąpień więcej. Rezolucja uchwalona w Edynburgu nie jest zresztą pierwszą. W początkach kwietnia nadzwyczajny walny zjazd dziennikarzy powziął również uchwałę opozycyjną. Dawał w niej wyraz „głębokiego zaniepokojenia społeczeństwa wynikami oficjalnej polityki polskiej”.

Czy wszystkie te wystąpienia mogą dać jakiś realny skutek? W sytuacji emigracyjnej tylko Prezydent może o tym zadecydować.

20 października, środa, 9 m. 30 wieczorem.

Przedwczoraj był nalot o 11-ej. Wczoraj już czwarty z rzędu o 10-ej. Stevensowi, Anglikowi, pracującemu w naszym ministerstwie, wyleciały w domu szyby. W Pinner padła bomba w pobliżu Grodzickich. Niedaleko mieszkania Wacia Zbyszewskiego.

Polityczną bombą jest mowa premiera Smutsa. Twierdzą, że — gdy trzeba — ten sędziwy przedstawiciel wspólnoty brytyjskiej wyręcza Churchilla. Z wyjątkiem komunistycznego „Daily Worker”, cała prasa angielska ocenia mowę pozytywnie. W ujęciu Smutsa polityka brytyjska wygląda mniej więcej tak : właściwy drugi front powstanie wtedy, gdy to będzie potrzebne Brytyjczykom i Amerykanom. Pewno wiosną 1944 r. O podziale świata na sfery wpływów nie ma mowy. W czasie toczącej się wojny Anglosasi będą unikali wszelkich decyzji politycznych.

Ledwo się pocieszyłem tą mową, a już musiałem się zasępić. Dzisiejsze dzienniki przyniosły nieoczekiwaną wiadomość : *Poles cross the Dnieper*. Jacy to Polacy przekroczyli Dniepr i kto o tym donosi ? ! Polacy — to dywizja im. Kościuszki, walcząca ramię w ramię z armią czerwoną, albo inaczej, polskie oddziały wojskowe, tworzone przez Sowiety w Rosji pod dowództwem płk. Berlinga. Źródło informacji — „Komitet Ogólnosłowiański w Moskwie”. Moskwa wyrywa Aliantom monopol posiadania armii polskiej. Już ma po swej stronie oddziały polskie. Razem z armią sowiecką wkroczą do Polski. Moskwa będzie rozgrywała ten atut. Nie ma co się więcej łudzić.

22 października, piątek, 1-sza w nocy.

Ubiegłej nocy znowu nalot. Między 3 a 4 nad ranem. Jak zwykle w takich wypadkach schodziliśmy z czwartego piętra na parter. Dziś alarm zaczął się po 7-ej rano.

Znowu plotki o wznowieniu stosunków polsko-sowieckich.

24 października, niedziela, około 1-ej w nocy.

„Dobrze poinformowany” znajomek zapewniał mnie, że na pewno dojdzie do nawiązania stosunków z Rosją i że Mikołajczyk „działa” w tym kierunku.

Korzystając z niedzieli przeczytałem deklarację czterech stronnictw w Kraju, którą rząd uznał za wskazane ogłosić w swej urzędowce parę dni temu z dużym opóź-

nieniem. Opóźnienie to stara się arcyniezdarnie uzasadnić na łamach tegoż „Dziennika Polskiego”, oczywiście, nie kto inny, jak „sędziwy” Stanisław Grabski. Przyznaje on, że rząd otrzymał deklarację czterech stronnictw „krajowej reprezentacji politycznej” drogą radiową już 7 września! Nie ogłaszał jej dotąd rzekomo tylko dlatego, że czekał na chwilę otrzymania numeru krajowej „Rzeczypospolitej Polskiej”, w którym deklaracje opublikowano. Wydaje mi się, że całe to tłumaczenie ma na celu pokrycie jakiegoś nowego „kantu” z licznej serii, której tytuł brzmi: Stosunki rządu Mikołajczyka z Krajem. Przyszły historyk dziejów emigracji wojennej musi temu rozdziałowi poświęcić szczególną i baczną uwagę.

Mieliśmy dziś u siebie na obiedzie wyjątkowo miłych gości. Dwaj chłopcy polscy ze szkoły lotniczej pod Londynem. Dzieciaki — sieroty cudem ocalałe w Rosji.

30 października, sobota i m. 30 po południu.

Od pewnego czasu mamy noce spokojne. Prasa coraz częściej przynosi wiadomości z Moskwy... o planach okupacji podbitych Niemiec. Angielskie dzienniki w ogóle pełne są optymistycznych i triumfalnych akcentów. Znając już trochę Angluniów, wiemy, że to nic nie znaczy. Umieją zmieniać maski. Zresztą z ich punktu widzenia optymizm wojenny jest uzasadniony. We Włoszech armie sprzymierzonych prą naprzód. W Niemczech widać pierwsze objawy rozprężenia. Już nawet dziennikarze niemieccy wieją z Vaterlandu do Turcji. Podobno i chytry von Papen uchodzi za niepewnego. Mają się więc z czego cieszyć nasi gospodarze. Lecz zachwyty nad Moskalami są raczej nieszczerze. Po Londynie krążą pogłoski, że w czasie konferencji moskiewskiej sowieciarze zachowywali się tak bezczelnie, iż amerykański podsekretarz stanu Cordell Hull chciał już pakować manatki. Podobno domagali się wcale dużej ilości baz, m. in. w Narwiku.

Nie mam oczywiście zielonego pojęcia co o tym wszystkim myśli nasza „góra” z Mikołajczykiem na czele. Odnoszę wrażenie, że wypiąwszy się na wszystkich, ten „mąż stanu” po prostu sam robi politykę zagraniczną, sam pertraktuje, w ogóle sam ustala polski punkt widzenia. Mi-

nister spraw zagranicznych, ex-ambasador T. Romer jest tylko — od potakiwania.

Ale jak realnie wygląda ta „akcja” Mikołajczyka? Nie mam złudzeń, że ani Prezydent, ani tym bardziej Sosnowski niewiele o niej wiedzą. Nawet się nie fatyguje. Nowy kandydat na dyktatora.

31 października, niedziela po południu.

Byliśmy wczoraj u Jurków Nowaków na Mill Hillu. Zastaliśmy sporo osób. Wszyscy gadali o konferencji moskiewskiej, kpiąc z wczorajszego „Dziennika”, który twierdzi, że dała ona „wyniki pomyślne”. Zresztą same przypuszczenia. Nikt nic nie wie.

Nowak powiedział mi o jakiejś uchwale PPS, Stronnictwa Pracy i ludowców, domagającej się wzmocnienia... autorytetu Naczelnego Wodza. Musiałem się przestyszeć, albo on czegoś nie rozumiał. Brzmi to nieprawdopodobnie.

Dziś od samego rana gadałem ze spotykanymi rodakami na temat konferencji moskiewskiej. Pierwszego spotkałem Mackiewicza, kupującego gazety niedzielne przy stacji kolejki podziemnej. Jest zaniepokojony i też nic nie wie. Za tym „nic” czają się jednak plotki od których można dostać zamętu w głowie. Wystarczy jedna. Podobno przedstawiciele istniejącego w Moskwie „Związku Patriotów Polskich” mają wejść do rządu w Londynie. Obca agentura w rządzie! Tylko Voigt uspakajał Witka Czerwińskiego, że na konferencji moskiewskiej niczego nie zdecydowano w sprawie granic polsko-sowieckich... (*).

*) Informacje Voigta były słuszne. Istotnie na konferencji w Moskwie, w której z ramienia W. Brytanii brał udział Eden a Stany Zjedn. reprezentował sędziwy Hull, Rosja nie poruszyła sprawy granic. Omawiając na łamach „Dziennika Polskiego” (26. 2. 1949) wspomnienia b. amerykańskiego podsekretarza Stanu A. Bregman w związku ze stanowiskiem zajętym przez Rosję — pisze: „Hull naiwnie wyobrażał sobie, że konferencja była wielkim sukcesem. Dlatego też drażniło go, że ze strony polskiej wytykano mu brak jakichkolwiek rezultatów jeśli chodzi o przywrócenie stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich. „Wśród podnoszącego na duchu aplauzu z powodu wyników konferencji moskiewskiej, przeżywałem jedno rozczarowanie — antagonizm prasy polskiej w Stanach Zjedn. i w W. Brytanii z powodu faktu, że Eden i ja nie wymogliśmy na Molotowie, by porozumiał się z Polską” — skarży się Hull”.

Jeszcze nie zdecydowano, czyli w każdej chwili mogą zdecydować, nawet nie pytając nas o zdanie. Kiedy powiąże się te plotki w jedną całość z zachwytemi prasy angielskiej nad polskimi dywizjami, walczącymi po stronie rosyjskiej (*Poles fine record* itp.) odnajdzie się jednak w tym stale powtarzanym „nic” — bardzo wiele. „Bóg jest z nami. Przed nami Warszawa” — oto kuszące zawołanie oddziałów Berlinga.

Podyktowana reorganizacja rządu, podyktowana rewizja naszych granic wschodnich, oddziały polskie walczące po stronie sowieckiej, a tu w Londynie, Puacze — agenci. Taka jest tragicznie prosta wymowa powtarzanego w kółko słowa — nic.

XVII

OBRZYDLIWE !

3 listopada, środa i m. 30 w nocy.

Można się jednak załamać, można stracić wiarę we wszystko i we wszystkich. Byłem naprawdę szczęśliwy, gdym się wczoraj z Józiem Hałacińskim zalał angielską whisky. Przynajmniej przez kilka godzin widziałem rzeczy na różowo. Zapomniałem o beznadziejnych rozmowach z „mężem stanu” min. Seydą i ministrem Drohojowskim, prawą ręką mego szefa Kota. Obaj w doskonałych nastrojach. Pogodnie patrzą w przyszłość.

A tymczasem sowieciarze robią nowe posunięcia. Montują pod swoimi auspicjami federację środkowo-europejską. Chcą nas przycisnąć do muru. Usłużny pośrednik czeski, handlowiec w polityce — Benesz już mknie do Moskwy. Czy rozmawiał z Mikołajczykiem i o czym? A może Mikołajczyk określił mu już cenę, jaką gotów jest zapłacić, byleby osiągnąć porozumienie z Sowietami? Wszystkiego można się po nim spodziewać. Moskwa dysponuje Beneszem, w Jugosławii ma swego Titę. Teraz kolej na polskie wydanie Benesza. Ale panowie Seyda i Drohojowski są w doskonałych humorach...

6 listopada, sobota, około 2-ej w nocy.

Po południu odbyło się posiedzenie „Zespołu” z moim referatem. Szedłem na nie zupełnie speszony wiadomością o zajęciu Kijowa przez wojska sowieckie. Referat, jak

referat. Po dłuższej dyskusji Helczyński przeszedł do omówienia stanowiska Kraju w sprawie rozszerzenia podstawy politycznej rządu w Londynie. Kraj domaga się kategorycznie pełnego zjednoczenia. Charakteryzując deklarację czterech stronnictw krajowych Helczyński zwracał uwagę, że formułuje ona niedwuznacznie postulat „nienaruszalności” terytorium Polski, zwłaszcza „nienaruszalności” granicy wschodniej oraz wzywa do czujności wobec niebezpieczeństwa komunistycznego totalizmu.

W świetle słusznych ocen Helczyńskiego sprawa tej deklaracji zakrawa na wielki skandal. Nie ulega wątpliwości, że programowa deklaracja przeznaczona była dla rozszerzonego rządu prawdziwej jedności narodowej, czyli dla przyszłego rządu, a nie dla rządu obecnego, rządu mniejszości Mikołajczyka i spółki.

Łukasiewicz podzielił się jeszcze z nami plotkami o konferencji moskiewskiej. Podobno granicą przyszłej okupacji sowieckiej w jednej wersji ma być Łaba — Dunaj, w innej Odra — Dunaj. Znaczyłoby to, że my, Węgrzy czy Rumuni będziemy po prostu wydani na łaskę Sowietów.

8 listopada, poniedziałek, po północy.

Co wieczór odbywają się teraz krótkie alarmy. Padają bomby na Londyn. M. in. padła wczoraj na Putney, gdzie mieszka garstka Polaków, wśród nich Tadeusz Tomaszewski. Wszystkie te bombardowania są nadal śmieszne w porównaniu z alianckim bombardowaniem Niemiec. Efekt militarny wyczynów niemieckich jest dosłownie żaden. To wyłącznie loty propagandowe, obliczone na rynek wewnętrzny. Przemówienia Hitlera mają również efekciarski charakter. Dziś na przykład wypowiedział mowę, w której zapewniał swą niemiecką owczarnię, że będzie walczył nawet 5 minut po 12-ej i że wszystko w ogóle będzie dobrze, dopóki nie straci nerwów. Takie mowy dowodzą, że je traci. Trudno się Führerowi dziwić. Na froncie południowo-zachodnim zanoszą się na klęskę. Moskale minęli już Kijów.

Ach ci Anglicy ! Rozpływają się dalej nad Rosją, nad łaskawą oceną przez sowieciarzy pomocy alianckiej, nad

Stalinem. Arcybiskup Yorku zachwyca się stanem spraw religijnych w Związku Sowieckim! Zaiste wzruszające! Wyobrażam sobie z jakim namaszczeniem dostojnik kościoła anglikańskiego wczytuje się w apele sowieckiego kościoła prawosławnego „do chrześcijan całego świata”, pomagające się od aliantów... drugiego frontu. Wyobrażam sobie z jakim przejęciem studiował apel „synodu” biskupów cerkwi prawosławnej, głoszący wzniośle, iż wszyscy powinni się zjednoczyć i wyteżyć siły do walki... w imię ideałów chrześcijańskich, które podeptał Hitler.

Skóra cierpnie na myśl, że to wciąż zaledwie początek cynicznego bujania Zachodu...

9 listopada, wtorek, 1-sza w nocy.

„Dziennik Polski” powtarza relacje prasy angielskiej na temat konferencji moskiewskiej, dowodząc dalej z ciętym zachwytem, że... zakończyła się pomyślnie.

Najbliższy prawdy jest zapewne dobrze poinformowany — „Observer”. Donosił już przed kilku dniami, że konferencja w Moskwie nie podejmie żadnych decyzji w sprawach granicznych. Zapowiadał natomiast, że sprawy te stanowią będą przedmiot dyskusji pomiędzy Rooseveltem, Churchillem i Stalinem. Jakoby ustalono już datę spotkania „Wielkiej Trójki”. Wszystko przemawia za tym, że dopiero w czasie tego spotkania — kłamka zapadnie.

Dostałem od Mackiewicza w prezencie jego ostatnią broszurę „Albo — albo”. Jest zupełnym pesymistą. Dowodził, że sam tekst deklaracji wydanej po konferencji moskiewskiej wystarcza, aby wyzbyć się resztki złudzeń na temat naszej przyszłości. Przy okazji opowiedział mi przepowiednię Żeligowskiego z 1938 roku. Zwariowany słowianofil-generał prorokował, że w 1944 r. nastąpi zjednoczenie narodów słowiańskich. „Hadko słuchać”, ale prośbę generała, zdaje się, ziszczać. Jak tak dalej pójdzie, Sowieciom przypadnie rola tego swoistego zjednoczyciela. Czy się komuś kiedyś śniło, że dopiero Sowieciom uda się przemocą „zjednoczyć” Słowiańszczyznę?

Zgadło się dziś znowu w ministerstwie o okolicznościach śmierci generała Sikorskiego. Często do tego tematu

wracamy. Niedostateczny dozór samolotu przed tragicznym startem? Albo zablokowanie sterów? Pytań ciśnie się wiele. Ale dalej nie wiemy rzeczy najważniejszej, czy śmierć była dziełem tragicznego przypadku czy też aktem sabotażu. Wszyscy skłonni są wierzyć, że był sabotaż. W przekonaniu tym utwierdza co dociekliwszych fakt, że powołano przecież aż kilka komisji polskich i brytyjskich, ale wszystko to co się wie i słyszy o ich badaniach (zresztą raczej się słyszy, niż wie) nie wyjaśnia ostatecznie głównego pytania. A jeśli sabotaż, to czyj? Nie wierzę, byśmy się prędko dowiedzieli prawdy. Może kiedyś, w każdym razie dopiero po skończonej wojnie.

10 listopada, środa 12 m. 15 w nocy.

W ostatnich czasach nie mam kontaktu (przez Babińskiego) z Sosnkowskim. Urwało się. Sam nie wiem dlaczego, ale urwało się.

Wiedziałem od kilku dni, że generał przygotowuje się do jakiejś podróży. Dzisiejsza prasa polska donosi, że w drodze do armii polskiej na Bliskim Wschodzie przybył już do Algeru, gdzie odbył m. in. dłuższą konferencję z gen. Eisenhowerem.

Kilka dni temu wpadła mi w ręce odezwa odbita na powielaczu pod tytułem „Ostrzeżenie”. Zieje nienawiścią do sanacji i usiłuje na nią zwalić odpowiedzialność za wszystko, co się złego w wojsku dzieje. Notuję początek tego „Ostrzeżenia” :

„Nadużywając legionowego koleżeństwa broni z Naczelnym Wodzem, przedwojenna sanacja organizuje się. Przedwrześniowe metody odżywają na emigracji. Został zawiązany najwyższy komitet politykujących generałów i pułkowników na czele z Langnerem, Tokarzewskim, Demlem i Smoleńskim. Dwaj generałowie-dowódcy kapitulacji Lwowa, którego oficerowie wyginęli w Katyniu oraz „biskup” Teozofów — kierują sytuacją. Dwaj pułkownicy sekundują im w Sztapie N. W. Najwyższa rada zawiera dalszych 25 zasłużonych sanatorów. Szare rzesze zwolenników sięgają już około setki zorganizowanych „piątek” na te-

renie Szkocji i Bliskiego Wschodu. W Stanach Zjednoczonych pracują agenci polityczni, w Kraju usiłuje się opanować Armię Podziemną. Przynętą awansu i groźbą pozbawienia przydziału naganiania się młodych"... „Ratujcie naszą Armię przed grożącym jej rozpolitykowaniem i rozkładem"... „Młody oficer czy szeregowy, dołączający do konspiracji sanacyjnej, stawia się poza nawias tej przyszłej Polski, o którą walczymy". Itd. itd.

Akcja ta skierowana jest również przeciwko Sosnkowskiemu. Zmierza do poderwania jego autorytetu w wojsku.

Po południu odbył się dalszy ciąg dyskusji nad moim referatem w Komisji Niemieckiej.

Dlaczego tak zawzięcie nad tym referatem dyskutują ? Bo wobec zarysowującej się coraz bardziej klęski militarnej Niemiec, ośmieliłem się wypowiedzieć następujące — że tak powiem — prawdy podstawowe.

„Wróg — Niemcy, o którym do niedawna myślano wyłącznie kategoriami wojskowymi" — mówiłem — „z chwilą gdy jego klęska militarna została przesądzona, stał się obiektem wielostronnych i różnych wśród Aliantów zainteresowań politycznych. Antyniemieckie hasła negatywne nabrzmiały w okresie, gdy sprawa pokonania militarnego Niemiec była sprawą naczelną, straciły na swej ostrości. Na plan pierwszy natomiast wysunęło się pytanie natury pozytywnej : jak po wojnie uregulować przyszłość pobitego narodu niemieckiego, aby mógł stać się elementem pokojowej współpracy międzynarodowej. Znajdujemy się w pierwszym stadium dyskusji na ten temat".

„Realna i przewidująca polityka państwowa musi być polityką długofalową, a tego rodzaju polityka nie może nigdy opierać się na elementach jednostronnie negatywnych. W realnych, a nie urojonych stosunkach międzynarodowych pojęcia : wróg lub przyjaciel są pojęciami względnymi i w żadnym razie nie mogą mieć charakteru dogmatycznego".

„Skończyła się między innymi rola Francji, jaką miała w Europie powersalskiej. Nie ma czynnika, który mógłby przejąć tę rolę. Koncepcje federacyjne są we mgle. Należy wprawdzie walczyć o nie, lecz równocześnie trzeba się liczyć z trudnościami ich realizacji. W chwili obecnej

zagroza Polsce i Europie bardziej Rosja — zdecydowana przeciwniczka federacji, niż zwyciężane Niemcy”.

Upadek dawnej pozycji Francji w Europie oraz niepokojący cały świat wzrost znaczenia i wpływów Rosji — oto fakty, które zadecydowały, że jeszcze przed ostateczną klęską niemiecką sama sytuacja gra na rzecz Niemiec, jako nieodzownego elementu trwałego uregulowania powojennych stosunków europejskich. W obozie walczącym z Niemcami rozpoczął się konkurencyjny wyścig między Aliantami a Moskwą o pozyskanie tego czynnika dla siebie. Z jednej bowiem strony W. Brytania boi się, wobec wzrostu potęgi Rosji, naruszenia jej tradycyjnej zasady równowagi sił na kontynencie europejskim, z drugiej Stany Zjednoczone uważają Niemcy za jedynego kontrahenta w Europie. Moskwa wreszcie dąży do poddania sobie Niemiec, jako zasadniczej bazy ideowego opanowania starego kontynentu. Skutkiem tego wyścigu będzie dążenie do jak najprędszego wprowadzenia zwyciężonych Niemiec w charakterze pełnoprawnego członka do zespołu międzynarodowego”.

A po sformułowaniu tych wstępnych uwag zająłem się tematem : Polska — Niemcy. W tej części referatu powiedziałem m. in. :

„Sprawa długoletniego „przeszkalania” narodu niemieckiego nie jest sprawą Polski. Niech się nią zajmują inni. Polska musi dbać przede wszystkim o to, aby Niemcy wyrównali bez reszty nie tylko krzywdy popełnione wobec nas w tej wojnie, lecz w okresach historycznie dawniejszych. Jest to zadanie dostatecznie trudne i wymagające z naszej strony zupełnie wyjątkowej energii.

Program Polski w sprawie niemieckiej winien zamykać się w następujących żądaniach : żądania terytorialne, motywowane m. in. względami ogólnego bezpieczeństwa (Prusy Wschodnie, Górny Śląsk itd.), żądania wydania sądom polskim tzw. przestępców odpowiedzialnych za zbrodnie niemieckie popełnione w Polsce, żądania pełnych odszkodowań za straty materialne, żądanie usunięcia z granic państwa polskiego tzw. mniejszości niemieckiej.

Przytoczone punkty wyczerpują całokształt pretensji polskich wobec Niemiec, które oficjalnie i publicznie mogą być wysuwane. W żadnym razie żądanie rozbicia Niemiec nie może wchodzić w zakres tych pretensji, a to dla-

tego : 1) że procesy unifikacyjne w Niemczech są zbyt głębokie, aby można było je zmienić, 2) że wskutek rozbitcia Niemiec na szereg mniejszych państw odżyłyby nurty nacjonalistyczne w kierunku zjednoczenia, 3) że Polska racja stanu licząc się z niebezpieczeństwem rosyjskim i oceniając trzeźwo możliwości powstania bloków federacyjnych, mogących przeciwstawić się Rosji, nie jest zainteresowana w likwidacji państwa niemieckiego.

Gdyby nasi alianci anglosascy wysunęli kiedyś realnie postulat likwidacji Prus, należałoby wówczas sugerować tezę, że należy dążyć do przekreślenia roli Berlina, jako stolicy dawnej Rzeszy i tradycyjnego ośrodka ekspansywnego ducha pruskiego. W tym wypadku można by dalej sugerować, by Berlin oderwać od reszty Niemiec i umieścić w strefie międzynarodowej, posiadającej specjalny statut i pozostającej pod opieką instytucji międzynarodowej, powołanej do czuwania nad pokojem świata. Ponadto, opierając się na własnych doświadczeniach i oceniając właściwie rolę zdemoralizowanych mniejszości niemieckich w Europie, Polska mogłaby w interesie trwałej pacyfikacji stosunków powojennych sugerować myśl całkowitej likwidacji ośrodków niemieckiej piątej kolumny drogą wysiedlenia wszystkich mniejszości niemieckich z kontynentu europejskiego.

Zarysowany w powyższy sposób program Polski w sprawach niemieckich świadczyłby o realizmie polityki polskiej i zostałby w ten sposób oceniony zarówno w krajach alianckich, jak przynajmniej w tych kołach niemieckich, które rozumieją konieczność ustępstw terytorialnych na rzecz Polski. Stanowisko Polski ustosunkowującej się pozytywnie do utrzymania po wojnie niemieckiego organizmu państwowego dowodziłby, że Polska, propagując koncepcję bloku środkowo-europejskiego, bierze równocześnie realnie pod uwagę potrzebę trwałej normalizacji stosunków polsko-niemieckich w przyszłości".

Wniosek referatu ująłem w takich zdaniach :

„Rozmiary obecnej klęski Niemiec będą równoznaczne z klęską Francji, poniesioną po wojnach napoleońskich. Niemcy, zwłaszcza po zrealizowaniu projektowanego przez państwa zachodnie rozbrojenia, nie będą już nigdy zdolne do podjęcia swych światoburczych planów. Będą się mogły jeszcze zdobyć na przebłyty dynamizmu, nigdy nie będą

stanowiły realnego niebezpieczeństwa, ani dla Europy, ani tym bardziej dla świata. Pogląd ten musi stanowić zasadniczą przesłankę wszelkich rozważań i decyzji, dotyczących stosunku Polski do Niemiec”.

Dyskusja była ciekawa. Potem tylko rozezłościł mnie Kijak. Dowodził z maniakalnym uporem, że Niemcy, mimo zaskakujących manewrów sowieckich, nigdzie przecież nie zostali rozbici! Rosjanie wzięli do niewoli tylko 6.000 jeńców. Cóż mi po jego wywodach, kiedy prasa angielska huczy dalej: *Soviet 10-miles a day drive...*

Powrócił z konferencji moskiewskiej Eden. Może nasze „czynniki miarodajne” wreszcie czegoś się dowiedzą.

11 listopada, czwartek, 12 m. 55 w nocy.

Ileż wspomnień w tym dniu ciśnie się do głowy.

Grono byłych działaczy akademickich („bratniackich”), tradycyjnym zwyczajem, było na wieczornym przyjęciu u Prezydenta Raczkiewicza. Tym razem z żonami. Raczkiewicz jest miłym gospodarzem. W dodatku pałacyk w Stanmore przypomina jakąś kulturalną rezydencję kresową.

Nie widziałem Prezydenta od wielu miesięcy. Trzyma się dobrze i nawet humor mu dopisuje. Ze względu na obecność pań, mówiliśmy trochę o wszystkim i o niczym, głównie zaś o naszej armii na Bliskim Wschodzie i o armii tutaj. Raczkiewicz parokrotnie wspominał o nadziejach, jakie wiąże z Sosnkowskim. Analizowaliśmy nieciekawą mowę Edena. Prezydent opowiadał o płk. Szymańskim, Polaku z armii amerykańskiej i barwnie rysował sylwetkę zmarłego kardynała Hinsleya, wielkiego przyjaciela Polaków.

Tylko przez kilka minut miałem możność rozmawiać z Prezydentem w cztery oczy. Zapytałem, czy obecny rząd ma nas dalej reprezentować w tych przełomowych czasach. Prezydent na to, że tylko nieoczekiwanie szybki bieg wypadków międzynarodowych opóźnił jego decyzję, lecz dąży stale do rozszerzenia podstaw rządu i te dążenia na pewno zrealizuje. Z paru opinii, wypowiedzianych na temat Mikołajczyka, zrozumiałem jedno, że ani go z so-

bą nie zasymilował, ani się do niego nie zbliżył. Raczkiwicz wyrzucał mi, że go nie odwiedzam. Przysięgłem poprawę.

13 listopada, sobota, 5 po poł.

Irena Baranowska podzieliła się ze mną wiadomością od Radziwiłła, który był u ks. Alby. Wobec zupełnego rozprzężenia w Niemczech angielskie sfery miarodajne nie wykluczają, że finał zapasów wojennych może nastąpić jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Nie wierzę wprawdzie tym przewidywaniom, ale notuję je na wieczną rzecz pamiątkę.

Przeczytałem „thriller” Mackiewicza. Rozprawia się z „kantem” Mikołajczyka i Kota w sprawie zatajonej od 7 września do 22 października deklaracji czterech stronnictw krajowych. Nazywa sprawę ostrożnie — „ciemną i wątpliwą”. Rozprawia się także z Mikołajczykiem i Kotem. Swoje „albo-albo” tak ujmuje: „Albo wojna skończy się rozbiciem Niemiec przez Anglię i Amerykę przedtem nim wojska sowieckie zajmą terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. W tym wypadku możemy liczyć na odzyskanie niepodległości. Albo wojna się skończy dla nas za późno, to znaczy już po wkroczeniu wojsk sowieckich na nasze terytorium i po okupacji przez Sowiety Polski w części lub w całości. W tym wypadku nie można liczyć na to, aby zwycięskie wojska sowieckie grzecznie ustąpiły nam miejsca. Wtedy będzie... koniec”.

Z wyjątkiem tego patetycznego „końca”, zgadzam się z Mackiewiczem. Pogratiulowałem mu tych paru zdań. Bardzo lubi przyjmować gratulacje.

Dziś pierwszy przymrozek. Takie dni przypominają zawsze Polskę. Tylko w angielskich przymrozkach jest naprawdę coś z naszego klimatu.

14 listopada, niedziela, 12 m. 45 w nocy.

Z wszystkich frontów tzw. dobre wiadomości. Towarzyszą im coraz częstsze przepowiednie na temat końca

wojny. Jedni twierdzą, że to sprawa 6-ciu miesięcy, inni, że nawet tygodni.

Byliśmy u Paprockich. Jedyny temat towarzyskiej rozmowy — front sowiecki. Dziwnie wygląda figura tego frontu. Z jednej strony Żytomierz, z drugiej Krzywy Róg i Nikopol. Między Rewlem i Homlem zdaje się trzymają się mocno. Czyżby byli jeszcze zdolni do ofensywy?

Gawędziliśmy z Janem Szembekiem o Rosji. Był tam wywieziony w początkach wojny. Mówi o Rosji jak o przedziwnym kraju. Z jednej strony osiągnięcia i żelazna dyscyplina, z drugiej — marnotrawstwo i zupełny bałagan. Zwycięstwa sowieckie — to wyłączna zasługa pomocy aliantów. Dostali i dostają wszystko. Od butów do czołgów i samolotów. Sami nie daliby rady.

16 listopada, wtorek, i w nocy.

Sąsiad-Mackiewicz opowiadał mi o rozmowie książęcej Kentu z Churchill'e'm. Churchill mówi wciąż o „linii Curzona”, jako o przyszłej, wschodniej granicy Polski. Tymczasem Cordell Hull oświadcza na konferencji prasowej w Waszyngtonie, że na podstawie uchwał powziętych w Moskwie, każdy kraj europejski będzie miał prawo plebiscytu, celem wyboru rządu, jaki uzna za odpowiedni. Formuły, ustalone przez aliantów w sprawie Włoch, mogą być zastosowane do każdego wyzwolonego kraju. Co to znaczy? W sprawie granic — dyktando mocarstw z udziałem Rosji a w sprawie ustroju państwa — wola narodu, wyrażona drogą plebiscytu? Zdaje się, że na to się zanosi.

Sowiety grają przeciwko nam konsekwentnie. Czuje się ich rączkę w prasie angielskiej. Zwłaszcza od czasu, gdy zaczęli mieć sukcesy na wschodzie. Teraz lansują tezę, że Polacy w kraju nie są bynajmniej jednolici w swych uczuciach i poglądach na Rosję. W kraju naprawdę walczą z Niemcami partyzanci — patrioci, usposobieni prosowiecko, podczas, gdy Armia Krajowa, kierowana przez „faszystę” z Londynu — gen. Sosnkowskiego, zachowuje się biernie. Zwalczają zajadłe generała.

Od początków września, niemal do dnia wyjazdu generała na Bliski Wschód inspirowana przez sowieciarzy i wiadomych rodaków prasa angielska, robi pod nim pod-

kopy. Porównuje go raz z Darlanem, Antonescu, Mannerheimem, innym razem z Badoglio lub jugosłowiańskim Michajłowiczem. Píše o konflikcie między dobrym rządem polskim (czyli rządem Mikołajczyka) i złym naczelnym wodzem (czyli Sosnkowskim). Niektóre pisma, jak „Reynold News” i „News Chronicle” wypowiedziały się niedawno bez ogródek za koniecznością ustąpienia Sosnkowskiego. Prym wiedzie poważny „Times”, lewicowy tygodnik „Tribune” i inne. „Tribune” atakuje w ogóle polską „kastę oficerską”. Jakże to pięknie scharmonizowane z wściekłymi atakami na Sosnkowskiego jawnej propagandy sowieckiej. Pomaga tej akcji — jak może — urządowy „Dziennik Polski”. Na rozkaz Mikołajczyka i Kota atakuje obowiązującą konstytucję. Zapewne dla przypodobania się twardym Sowietom. Wszystko to razem — obrzydliwe.

Sosnkowski bardzo uważnie śledzi te ataki. Podobno przed swym wyjazdem zwracał na nie znowu uwagę Prezydentowi, nazywając rzeczy po imieniu.

XVIII

„DROGA DO POLSKI OTWARTA”...

17 listopada, środa, 10 m. 30 wieczorem.

Polacy mają teraz zwyczaj mówić, że „coś wisi w powietrzu”. Oczywiście nie chodzi o 1.600.000 indyków bożonarodzeniowych o których rozpisuje się na czołowych miejscach prasa angielska. Wiszące w powietrzu „coś” nie ma również nic wspólnego z wiadomościami, że Rosjanie są tylko o 6 mil od Korostenia. I nie z tym, że Rommel we Włoszech wzmocnił swą armię. I wreszcie nie z tym, że sir John Anderson twierdzi, że *Victory is in sight*. Coś się rzeczywiście poważnego zapowiada. Churchill wyjechał na spotkanie nie tylko z Rooseveltem, lecz i ze Stalinem. Czyżby po konferencji moskiewskiej okazała się konieczność łatania dziur „przyjaźni” z Sowietami? To beznadziejnie optymistyczne pytanie jest dziś bądź co bądź przynajmniej trochę uzasadnione.

Po południu w sali konferencyjnej naszego ministerstwa miał wykład przybyły ze Stanów Zjednoczonych p. Ropp z tamtejszej filii naszego ministerstwa. Na wstępie charakteryzował Rosję. Mówił (nie wiem skąd to wie), że ludność Związku Sowieckiego wynosi tylko 95 milionów, a nie 185, jak twierdzą sowietciarze. Rozrodczość sowiecka ma się równać francuskiej. Kobiety rosyjskie rodzą tak fatalnie, że niedługo Rosja stanie w obliczu katastrofalnego ubytku ludności. Wobec tego — konkludował pogodnie przybysz zza oceanu — Stany Zjednoczone nic nie mają przeciwko temu, aby wyczerpująca Rosję wojna potrwała sobie jeszcze dłuższy czas. Ameryka — mówił — traktuje „sowiecką primadonnę”, jako zło konieczne. Z tym podejściem Ameryki każdy Polak musi się liczyć.

Dlatego przede wszystkim należy uzbroić się w cierpliwość, a sprawy polskie — „podawać Stanom Zjednoczonym w aspekcie europejskim, nigdy zaś wąskim, czyli — polskim”. Na zakończenie Ropp oświadczył, że Stany szczerze pragną odrodzenia Europy. Jest im potrzebna i widzą w niej nadal niewygasłe źródło kultury rzymsko-chrześcijańskiej. O konferencji moskiewskiej wyraził się jak o fiasku. Po głębszym namyśle dodał tajemniczo, że już wkrótce, może za tydzień, wszystko się dokumentnie wyjaśni.

Śluchałem z wielkim nabożeństwem wywodów pana Roppa. Jakby bez mała głosu samej Ameryki. Tym bardziej, że mówił raczej pokrzepiająco. Podniosły nas na duchu amerykańskie oceny Rosji. A tajemnicze aluzje o szybkim wyjaśnieniu sytuacji utwierdziły w przekonaniu, że tym razem rzeczywiście coś doniosłego wisi w powietrzu.

Drohojowski był dziś niezwykle markotny. Narzekał na brak wszelkich instrukcji politycznych. Nie może w ogóle w tych warunkach pracować. Otrzymanie najgłępszej instrukcji — dowodził zirytowany — jest niemożliwe, ponieważ Radę Ministrów pochłaniają nieustannie sprawy... budżetowe. Biadania Drohojowskiego potwierdzają wszystko to, co o tej naszej Radzie Ministrów myślę.

18 listopada, czwartek, 11 rano.

Znowu wyjątkowo słoneczny, mroźny, zgoła polski ranek. Poszedłem do rzeźnika, aby kupić tygodniową rację. Wróciwszy do domu, zagłębiłem się w czytanie „Daily Mail” i oto co znalazłem: *Russians go back in Kiev salient*. Słowem — odwrót rosyjski. Wielka niemiecka kontr-ofensywa! Może wreszcie uparty Kijak będzie miał rację. Wiadomość podziałała jak krople walerianowe na wzburzone nerwy. A może to właśnie wisiało w powietrzu? 150 tysięcy Niemców i setki zmasowanych tanków odrzuciły czerwoną armię ku Żytomierzowi. Między Żytomierzem a Korosteniem toczy się wielka bitwa. Moskwa przyznaje się do utraty wielu miejscowości.

Dawno nie spotkała mnie taka przyjemność od samego rana. Ciężar spadł z serca. Myślę że Bóg czuwa nad nami.

1-sza w nocy.

Na razie cisza wokół tej zwycięskiej ofensywy. Czekamy cierpliwie do jutra. Jak zaleca pan Ropp. Jutro może dowiemy się również, gdzie obraduje „wielka trójka”. Wypuścili z więzienia angielskiego faszystę Mosleya. Fakt ten skłonni są niektórzy traktować jako gest antysowiecki. Nie wiem. Prawdą jest tylko, że komunistyczny „Daily Worker” szaleje, a na ulicach Londynu angielscy komuniści rozpętali wściekłą anty-mosleyowską hecę.

19 listopada, piątek, 12 w nocy.

Gdyśmy szli do teatru na „Lisbon Story” (jakże mile wspominamy, siedząc w Londynie, słoneczną Lizbonę) przeczytałem, że „fortece” spuściły znowu na Berlin i Ludwigshafen olbrzymie ładunki bomb. Ale to mnie nie interesuje. Interesuję się wyłącznie odebranych sowieciarzom Żytomierzem. Oby ten sukces nie był przejściowy. Z bijącym sercem wsłuchujemy się w każde echo, nadchodzące z frontu wschodniego. Nie wytrzymujemy już tej ustawicznej huśtawki. Przynajmniej pod tym względem ludzie w kraju są od nas szczęśliwsi. Zajęci walką z Niemcami, nie widzą odwrotnej strony medalu, którą my codziennie oglądamy.

Drohojowski jest zdenerwowany. Narzekał, że właściwie nie pracujemy, a powinniśmy wreszcie rozpocząć jakąś akcję oświetlającą Zachodowi nieznane mu oblicze Sowietów. Drohojowski robi wrażenie człowieka, który chce się odegrać i czegoś dokonać. Zawsze dla mnie uprzejmy, od czasu śmierci Sikorskiego jest uprzedzająco grzeczny. Powiedziałbym — serdeczny. Już nie czyni mi wyrzutów z powodu rzekomych spacerów z Sosnkowskim. Przeciwnie, od czasu do czasu znajduje nawet łaskawe słowo uznania dla generała. W ogóle często teraz rozmawiamy. Kot choruje, wskutek czego Drohojowski ma dużo czasu. Dziś radośnie uśmiechnięty, podzielił się ze mną wiadomością, że już kilkuset żołnierzy zdążyło uciec od Berlinga.

Jak zwykle nieoczekiwanie zjawił się nasz młody przyjaciel rodem z Poniewieża, kapitan lotnictwa Zygmunt Grażyński. Spokojny, nie skory, po litewsku, do uzewnętr-

niania swych nastrojów, tym razem był przybity. Angielski *squadron leader* zaczął mu pleść banialuki na temat Polski, którą uwalnia „aliant” sowiecki. *You are ignorant, sir* powiedział mu Zygmunt i zaproponował Anglikowi, aby oddał aliantowi sowieckiemu pałac buckinghamski. Zygmunt pierwszy raz kłął Anglików. Zarozumiali ignoranci, łudzą się, że przechytzą Rosję.

20 listopada, sobota, 5 m. 20 po południu.

Zygmunt wdał się w rozmowę z konduktorem kolejki podziemnej. Między Kings Cross a Chalk Farm. Zygmunt pyta konduktora: „Przepraszam, która godzina?” „Jedenasta dziesięć. Prawda, panie, że nasze sprawy rozwijają się dobrze?” Zygmunt ostrożnie: „Sprawy się komplikują, lecz jesteśmy teraz na wierzchu i możemy sobie żyć jak najlepszych rezultatów”. Konduktor: „Sądzę, że po tej wojnie powinniśmy być przygotowani do następnej”. Po chwili: „Ta nasza demokracja to zabawa (*a joke*). W czasie wojny zgadzałem się z Hitlerem na jednym punkcie, to jest Żydów. Myślę, że będziemy musieli urządzić tutaj kiedyś pogrom”. Po tej nieoczekiwanej konkluzji konduktora Zygmunt opuścił wagon.

Tak szczerzej deklaracji antyżydowskiej nie słyszałem nigdy z ust Anglika. Znawczy naszych gospodarzy utrzymują, że są oni cichymi antysemitami. Jeśli tak jest, umięją się rzeczywiście mistrzowsko kamuflować.

Po południu BBC nadawało koncert lekkiej, przedwojennej muzyki polskiej „Serce matki”! Chór Dana, Juranda! Śpiewał Fogg. Byliśmy, oczywiście, wzruszeni.

22 listopada, poniedziałek, 1-sza w nocy.

Jestem z natury człowiekiem pogodnym. Dlatego pewno, dając od czasu do czasu upust swym skłonnościom do kpiarstwa z bliźnich (z siebie również), czynię to w sposób pozbawiony jadu. Żona twierdzi, że owa skłonność do kpiarstwa jest moją iście warszawską właściwością. Być może. Aby jednak kpić, muszę mieć obiekt z tych czy innych względów rzeczywiście interesujący. Miernoty nie

a nic mnie nie obchodzą. Gdy jednak widzę, że dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności, taka miernota wdrapała się na tak zwane narodowe lub państwowe szczyty i gra na nich rolę, ba, wpływa decydująco, tracę wrodzoną mi pogodę ducha. Myśląc o takich typach, ogarnia mnie wściekłość. Pogodne spojrzenie na rzeczy i ludzi przesłania zaraz jakaś mgła ponura. Tracę wszelką ochotę do kpiarstwa.

Dlaczego o tym piszę? Bo znowu będę odmieniał nazwisko Mikołajczyka. Asystowałem mu właśnie dziś jako spec od spraw niemieckich, na konferencji dla prasy polskiej. Odbywała się w sali konferencyjnej Rady Ministrów. Właściwie pierwszy raz przysłuchiwałem się *exposé* pana premiera. Mówił rzeczy znane o kraju. O akcjach sabotażowych, o rosnącym zdenerwowaniu okupantów niemieckich, o wspaniałej postawie całego narodu. Było zaledwie parę nowych drobiazgów. O Rosji gadał zgoła mętnie. Widać, że zupełnie tego tematu nie rozumie i nie czuje. Anglicy — powiedział w jakiejś chwili — „nie zgadzają się na łatwe dla nas formuły”. Musimy się z tym faktem liczyć. Zaprzeczył, aby Anglia w sprawie stosunku do Rosji wywierała na nas jakieś naciski. Zapewniał zebranych dziennikarzy, że w czasie rozmów moskiewskich Benesz wymyślił jakąś formułę, otwierającą — jak zrozumiałem — na Kremlu drzwi dla Polski. Bez Polski bowiem Benesz rozumie swą słabość wobec Moskwy.

Wszystko co pan premier mówił, było nieciekawe. Nikt więc jego wywodami nie był zbudowany z jednym chyba wyjątkiem ministra spraw zagranicznych Tadeusza Romera. Siedział w milczeniu wpatrzony w swego szefa, kiwając stale potakująco głową. W języku rosyjskim istnieje doskonałe określenie: *pożirajet glazami* (pożera oczyma). Istotnie „pożerał” Mikołajczyka. Tak był w niego wpatrzony.

Było dużo ludzi m. in. Z. Nowakowski, Rembieliński, W. Sikorski i Horko z „Dziennika Żołnierza”.

Mikołajczyk zewnątrznie wyrobił się. Jest jednak jeszcze bardziej zarozumiały i pewien siebie. Nie wierzę już w tę operację Prezydenta. Żadnej reorganizacji rządu nie będzie. A Sosnkowski? Pochłonięty wojskiem nie ma na nic innego czasu. Z dzisiejszej prasy dowiedzieliśmy się,

że jest w Jerozolimie. Odwiedza nasze oddziały. Wygłasza piękne mowy. Pewnie Mikołajczyk byłby najszcześliwszy, gdyby tam jak najdłużej pozostał.

24 listopada, środa, 7 wieczorem.

Jedlicki zupełnie zwariował z tą „Drugą Wyspą”. Musiałem się dziś zwlec z łóżka, aby pójść razem z nim do Prezydenta. Wręczyliśmy Raczkiewiczowi egzemplarz „arcydzieła”, prosząc aby zaszczyił obecnością przedstawienie londyńskie. Prezydent pytał znowu, dlaczego nie zachodzę do niego.

Mam grypę. Trzeba będzie kilka dni posiedzieć w domu. Poczytam. Odrobię zaległości.

Znowu bombardowali Berlin. Na froncie wschodnim wygląda tak, że niemiaszki biją Moskali. Może przynajmniej u schyłku tego ponurego roku coś nas wreszcie pocieszy.

W urzędowym „Dzienniku Polskim” umieścili mowę pana ministra Romera pod pięknym tytułem : „O spokój i hart ducha”. Niedobrze się robi od tego zakłamania !

Raz na tydzień przychodzi do nas kobieta — Angielka. Pomaga w tak zwanym gruntownym sprzątanii. Ponieważ byłem w domu, więc zagadałem o wojnę. Powiada, że już o niej nie chce słyszeć. Byleby się skończyła. Wszystko jedno jak.

26 listopada, piątek, 12 w południe.

Wczoraj Jedlicki pomknął na pierwsze próby arcydzieła do Blackpoolu. Cieszyłem się, że z nim pojadę, aby się trochę przewietrzyć. Dawno już się z Londynu nie ruszałem. Tymczasem z powodu tej grypy leżę w łóżku. W drugim pokoju leży zagrypiona Janka. Przy akompaniamencie głośno nastawionego radia kaszlemy na przemian.

Czytam książkę Jedlickiego : „1000 years of German Aggression”. Stanowczo lepszy wyczyn od „Drugiej Wyspy”.

Czasem — gdy gorączka dokucza — odkładam czytanie i wsłuchuję się — jakby powiedział Tuwim — w banalne melodie kawiarniane, które czasem, gdy się je wspomina, urastają do rozmiarów wielkich przeżyć i wzruszeń. Przypominają raz Warszawę, raz Berlin, innym razem Gdańsk, Kowno czy Kieciny Jakubowskich w Szawelskim, w których tyle miłych chwil się spędziło. Cała przeszłość w wiązance banalnych melodii.

3 m. 20 po południu.

Najpierw doniosło o tym radio, a teraz czytam w prasie : *Gomel falls — Germans retreat 23 miles*. A dalej straszne, złowróżbne słowa : *Road to Poland open*. — „Droga do Polski otwarta”...

10 m. 15 wieczorem.

O 9-ej był alarm. Słyszeć było odległe strzały. Teraz już się skończył. Z kapiącym nosem musiałem naturalnie schodzić na drugie piętro, do Czerwińskich. Janka i żona jeszcze tam zostały.

Gada się coraz częściej po kątach, że w obliczu rozwijających się wypadków wojennych część Polaków, na razie po cichu, zaczyna myśleć o swej przyszłości. Na wypadek gdyby Rosja zajęła całą Polskę. Słyszę różne nazwiska. Nie chce mi się wierzyć. Ktoś przekonywał mnie, że wielu za pieniądze czy dla pieniędzy, zdecyduje się na rzeczy, które nie mieszczą się w głowie. Oczywiście, miał na myśli ludzi, których znam, widuję, z którymi rozmawiam...

27 listopada, sobota, 6 m. 30 po południu.

Siedzę dalej w domu z powodu grypy. Nic nie wiem, co się dzieje. Nikt jakoś plotek nie znosi. Wiem tylko, że Berlin wykańczają i że niemiecki front wschodni trzeszczy. W tych warunkach koniec działań wojennych może rzeczywiście nastąpić bardzo szybko. Dla nas — koniec fatalny.

28 listopada, niedziela, 7 wieczorem.

Spodziewanego nalotu nie było, ale wobec tego, że był spodziewany... żona nie spała do 2-ej w nocy.

Dziś wylazłem z domu po gazety. Dostałem potem gorączki i musiałem znowu powędrować do łóżka. Nudno. Gazety niedzielne puste. Trochę domysłów wokół spotkania Roosevelt — Churchill — Stalin, oraz zapowiedź paktu sowiewsko-czeskiego. Pakt? Koń by się uśmieł. Po prostu dyktando.

Wczoraj wieczorem zeszło się u nas trochę ludzi. Wszyscy pocieszają się, że ostatecznie trudno będzie bez nas i za nas o wszystkim decydować. Zgoda, tylko, kto dziś w imieniu nas będzie gadał o Polsce z tymi, którzy będą decydowali? Podobno jadąc do Moskwy Eden miał otrzymać od Churchilla instrukcje, aby nie przyjmował żadnych zobowiązań w naszych sprawach granicznych. Teraz Churchill sam rokuje.

Znowu wiadomość, jak mi się wydaje z poważnego źródła, która potwierdza najgorsze przeczucia na przyszłość. Bawili nie dawno w Londynie przedstawiciele amerykańskiego koncernu prasowego Hearsta. Koncern jest prorepublikański i ma opinię zdecydowanie antysowieckiego. Przyjechali, aby ponoć uprzedzić Anglię o zamiarach Roosevelta... oddania Rosji Sowiewskiej całej środkowo-wschodniej Europy i Bałkanów, nie wyłączając Grecji.

Chcieli ukartowany przez Roosevelta plan odkryć również rządowi Mikołajczyka, ale po zorientownaiu się na miejscu, szybko zrezygnowali z tego zamiaru. Krótko mówiąc, doszli do wniosku, że cały nasz ośrodek rządowy jest tak usiany obcymi agenturami, że bezpieczniej z nim nie gadać. Trafili do Sosnkowskiego, lecz, zdaje się, nie mówili z nim bezpośrednio. Natomiast rozmawiali z trójosobowym zespołem wskazanych przez generała inżynierów, pracujących nad gospodarczymi i komunikacyjnymi zagadnieniami środkowo-wschodniego rejonu europejskiego. Wśród inżynierów znajdował się pułkownik-inżynier Olszak. W rozmowie brał także udział pewien generał-kawalerzysta.

Przedstawiciele koncernu mieli oświadczyć, że istnieje plan Roosevelta oddania Polski i innych narodów — Rosji.

Zgłaszali gotowość odkrycia tego planu i rozpoczęcia wielkiej przeciw niemu kampanii. Chcieli jednak mieć w posiadaniu materiały stwierdzające, że zarówno pod względem geopolitycznym, gospodarczym, jak komunikacyjnym, rejon objęty apetytami rosyjskimi posiada dla Europy takie samo kluczowe znaczenie jak dla Azji — Chiny. Amerykanie wiedzieli, że w czasie bodaj drugiego pobytu Sikorskiego w Stanach przywiózł on część tego rodzaju materiałów. Teraz chcieliby zapoznać się z całością.

Sądząc z dalszych relacji rozmowa zespołu polskiego z Amerykanami wypadła arcyniefortunnie. Generał-kawalerzysta miał im szeroko rozwijać teorię o wyższości w tym rejonie konia nad bronią zmotoryzowaną! Technicy polscy byli poważnie zakłopotani tą teorią. Będąc w posiadaniu materiałów, na których zależało Amerykanom, proponowali im wyasygnowanie funduszy na ich opracowanie...

Jeśli tak było, można raz jeszcze zapłakać nad polską głupotą. Lecz najbardziej zastanawiającą jest pewność z jaką Amerykanie utrzymywali, że Roosevelt oddał nas już Sowietom. Wszystko przemawia za tym, że najbliższe miesiące zaprzeczą lub potwierdzą rewelacje amerykańskich przeciwników Roosevelta.

Nasz minister spraw zagranicznych na pewno nie dorósł do sytuacji. Więc kto? Może stary Grabski lub Kot? Obawiam się, że to co „wielka trójka” teraz zadecyduje będzie równoznaczne z bezapelacyjnym wyrokiem, że ten wyrok może zapaść lada dzień i zaskoczy nas wszystkich, przede wszystkim rząd. Gada się, że przed wyjazdem na spotkanie „wielkiej trójki” Churchill miał powiedzieć, że radzi czyścić latarnie uliczne w Londynie, aby były przygotowane na chwilę, gdy znowu zaświecą dawnym, pokojowym blaskiem.

29 listopada, poniedziałek, 12 m. 10 w nocy.

Przed paru minutami zamknąłem radio. Nic szczególnego. Pojutrze wracam do biura. Od Paryża, tj. od zimy z 1939 na 1940, nigdy tak długo nie chorowałem.

30 listopada, wtorek, 12 m. 30 w nocy.

Po 10-ej zatelefonował Kudlicki. Rozradowany dzielił się ze mną plotką o rzekomym rozleceniu się konferencji „wielkiej trójki”. Roosevelt wyjechał już do Stanów Zjednoczonych, a Churchill rzekomo „dla ratowania sytuacji” przyjął zaproszenie Stalina do Tyflisu. Żebyż w tej plotce było żdźbło prawdy !

2 grudnia, czwartek, godz. 6 m. 20 po południu.

Byłem od 3-ej do 5-ej po południu na angielsko-polskim posiedzeniu w Chatam House. Temat : zagadnienie niemieckie. Przyszedł także premier Mikołajczyk. Mówił krótko i z sensem. Dobrze po angielsku. Przemawiał również inteligentny Winiewicz. U Anglików wiadomo z góry, że konferencja zaczyna się o takiej a takiej godzinie i że musi się również skończyć o określonej godzinie. Bardzo rozsądnie. Nie tak jak u nas, gdzie każdy chce się wygadać, choć często nie ma nic do powiedzenia. Merytoryczna strona zebrania ? Ani ciekawa, ani tym bardziej rewelacyjna.

Wczorajsze plotki już rozwiane. Nic się nie rozbiło. Były trudności i to wszystko. Jakie ? Wkrótce się dowiemy. Pewno, między innymi, z powodu nas.

Sosnkowski wciąż w wojsku. W Palestynie, to w Bejrucie.

3 grudnia, piątek, 11 m. 50 w nocy.

Nadeszły z Kraju niezbyt pewne, lecz znamienne wiadomości, że armia niemiecka ma objąć zarząd nad okupowaną Polską. Wojsko zamierza wyeliminować Gestapo, aby pozyskać ludność. Zwrot podyktowany zwycięską ofensywą sowiecką.

Rano przeczytałem mowę Smutsa. Jednym tchem „skończył” Francję, Włochy, Niemcy. Mówił o zbiedniałej po wojnie W. Brytanii. Mówił o kolosie rosyjskim. O nas ani słowa.

Po południu byłem w charakterze delegata naszego ministerstwa na konferencji morskiej w Ministerstwie Spraw Kongresowych. Przewodniczył sam minister „kongresowy” — Marian Seyda. Przy stole obrad 20 osób. Delegaci ministerstw cywilnych i wszystkich resortów wojskowych. Nastroj skupiony. Nie odezwałem się ani słowem. Byłem na razie przerażony powagą, z jaką celebrowano te morskie obrady. Potem śmiać mi się chciało. Zwłaszcza po tej mowie Smutsa. Konferencja wyglądała mniej więcej tak : Oto Niemcy i Rosja leżą zdruzgotane u naszych stóp, a my wraz z Brytyjczykami urządzamy granice Europy i wykreślamy linię przyszłego brzegu morskiego. Tu zakładamy własne bazy, tam dzielimy się nimi łaskawie z Anglikami itd., itd. Słowem wewnętrzna konferencja potężnego, zwycięskiego mocarstwa, które za miesiąc ma wystąpić na międzynarodowym forum z projektem urządzenia nowej Europy, a w niej — swego brzegu morskiego. Powiedziałbym zebranym : Czyście poszaleli ? i — opuścił posiedzenie. Zdobyłem się, zresztą bez trudu, tylko na milczenie. Najgorsza ta bezsilność wobec napuszonego, urzędowego zakłamania.

Z tym większą przyjemnością poszedłem po tej mocarstwowej konferencji do „Ogniska”. Świetny Hemar w roli konferansjera i autora piosenek. T. Gliński przy fortepianie. Doskonała pieśniarka J. Czerwińska. Uśmiełem się, ubawiłem i przynajmniej zapomniałem o bolesnym wyglądzie Seydy i o całej tej nikomu nie potrzebnej „konferencji”.

W drodze powrotnej z „Ogniska” do domu, zgadało się o Puaczu. Jeden z towarzyszących nam rodaków, podzielił się informacją, że Puacz wraz z całą paczką komunistów założył czy zakłada w Londynie — Polski Związek Postępowy ! Ma to być filia Związku Polskich Patriotów w Moskwie.

„Droga do Polski otwarta”. Z jednej strony otwiera ją zwycięskie wojsko sowieckie — dla Sowietów, tu otwiera ją p. Puacz dla Polaków, którzy, jak on, pogodzą się z narzuconą Polsce przez Moskwę rzeczywistością. Cała pociecha, że chyba nie wielu ich będzie. Ale, niestety, będą.

XIX

TAJEMNICA WOKÓŁ TEHERANU

4 grudnia, sobota, 1,30 w nocy.

Od 10 rano do 10-ej wieczór siedziałem na dorocznym zjeździe dziennikarzy polskich. Poseł do Izby Gmin, Graham, zawodowy polonofil, wygłosił przyjemne przemówienie, pełne łechcących nas mile frazesów, za które dostał, oczywiście, rzęsiste oklaski. Najciekawsze było przemówienie Karskiego, przybyłego niedawno z Kraju. Mówił o „podziemnym państwie” i o stosunku Kraju do emigracji. Z powodu Deutschera i Singera (dziennikarze — Żydzi trockistowskiego autoramentu, którymi opiekuje się Kot), nie obyło się w dyskusji bez akcentów antyżydowskich.

Przemawiali m. in. Ciołkosz, Sojka, Kulerski, Pańciewicz i inni.

Słuchając mówców, odnosiłem przez cały czas wrażenie, że wielu ma lekki zamęt w głowie. Nie umięją czy nie chcą myśleć do końca. Cofają się przed wnioskami.

Na zjeździe przeważały wybitnie antyrządowe nastroje.

6 grudnia, poniedziałek, po północy.

Jestem pod takim wrażeniem odbytej rozmowy, że siadam, by ją zaraz możliwie najdokładniej zanotować. Skończyłem ją przed chwilą. Był u mnie lotnik, oczywiście z tak zwanego „podziemia londyńskiego”, które zwalczało Sikorskiego.

„W latach 1940-41” — zaczął swą opowieść — „generał Sikorski przyrzekał krajowi, że gdy kiedyś wybuchnie w Polsce powstanie — „to niebo będzie czarne od polskich samolotów”. Zwrot ten powtórzył m. in. młodemu kurierowi Lechnickiemu, gdy przybył do Londynu z Kraju. W związku z tą sprawą powołano w roku ubiegłym specjalny, tajny sztab, którego zadaniem miało być opracowanie konkretnego planu ewentualnego wsparcia powstania przez polskie lotnictwo i przez naszych spadochroniarzy. Okazało się wtedy, że realizacja tego zadania tylko w jednym rejonie (węzeł Warszawy) wymaga uprzedniego przerzucenia około 200 stacji krótkofalowych, celem skutecznego utrzymania tzw. parasola myśliwskiego. Doszliśmy do wniosku, że mieści się to ostatecznie w ramach możliwości. Rozumowaliśmy dalej, że w odpowiedniej chwili trzeba będzie przerzucić myśliwce z dodatkowymi zbiornikami, aby mogły przelecieć jednym skokiem. Przedtem, oczywiście, zrzuci się brygadę spadochronową i odpowiednią ilość broni dla uchwycenia lotnisk w swoje ręce i dla ich trzymania. Dopiero po uchwyceniu lotnisk i osłonięciu parasolem myśliwców, musiałby być zaraz, w parę godzin później, przerzucony most transportowców. Wypełnienie zaś tego zadania wymagało 200 transportowców w ciągłym obrocie. One bowiem dowoziłyby całość zaopatrzenia dla rozszerzającego się węzła powstania. Przewoziłyby wszystko, poczynając od części zapasowych dla myśliwców poprzez benzynę (niemiecka nie nadaje się) aż po zaopatrzenie sanitarne. W toku dalszych narad doszliśmy zgodnie do wniosku, że cała ta skomplikowana operacja, może być podjęta tylko w sprzyjających warunkach politycznych i operacyjnych”...

Oficer lotnictwa przerwał i zamyślił się. Zapytałem go, co rozumie pod „sprzyjającymi warunkami”.

„Przede wszystkim przygotowanie samej akcji w Kraju na wiele miesięcy przed operacją. Zresztą w tym celu wielu z nas miało być do Kraju przerzuconych. Drugim, istotnym warunkiem, było uzyskanie od Anglii sprzętu i pełnej gwarancji, że w każdej potrzebie sprzęt będzie natychmiast uzupełniany. Trzeci warunek przewidywał, że operacja winna być dokonana dopiero w chwili, gdy Niemcy będą już mocno nadwyrężone na ziemi, a aliancy uzyskają nad nimi zupełną przewagę w powietrzu”.

„Ten ostatni warunek zdaje się dziś urzeczywistniać”
— wtrąciłem.

„Niech pan cierpliwie wysłucha reszty” — zareplikował oficer. — „Kiedy cały ten plan, wraz ze wszystkimi tabelami sprzętu był gotów, okazało się, że brak jest niezbędnego do jego wykonania sprzętu, zarówno w Anglii, jak w ogóle w zasięgu brytyjskich możliwości. Chodziło głównie o transportowce. Z potrzebnego typu maszyn była do dyspozycji dosłownie tylko jedna. RAF nie przewidywał po prostu produkcji takiej ilości wielkich transportowców, by mógł odstąpić potrzebną nam ilość. Dowiedzieliśmy się słowem, że plan jest — krótko mówiąc — niewykonalny”.

„I cóż dalej?” — zapytałem niecierpliwie.

„Wówczas płk. Bohuszewicz polecił najmłodszemu w naszym gronie oficerów, kpt. Bujalskiemu, zredagowanie listu od Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego do Dowódcy Armii Krajowej z powiadomieniem o niemożliwości liczenia na wsparcie lotnicze w wypadku, gdyby w Polsce miało się zanościć na powstanie. Wszystko to działo się w początkach bieżącego roku. Bujalski przygotował projekt listu, który rozpoczynał od słów: „Kraj na wsparcie lotnicze w bieżącym roku, ani w następnym liczyć nie może”. Projekt tego listu wraz z zapiętym na ostatni guzik planem lotniczego wsparcia powstania — miały być przedstawione ówczesnemu szefowi sztabu gen. Klimeckiemu. Przedtem jednak postanowiono urządzić „próbę generalną” tej odprawy u szefa lotnictwa gen. Ujejskiego. Gdyśmy się u Ujejskiego zebrali, autor projektu listu, mając przed sobą dużą mapę Europy, rozpoczął referat, poświęcony omówieniu warunków, w jakich plan wsparcia mógłby być urzeczywistniony. Stwierdziwszy od razu, że w obecnej sytuacji byłoby to niemożliwe, (gdyż Kraj jest wciąż podwójnie zagrożony: przez walczące dobrze jeszcze wojska niemieckie i rzekomo przyjazną, w gruncie rzeczy wrogą Rosję), chciał dalej kontynuować swój referat. Lecz gen. Ujejski przerwał mu nagle napomnieniem, by nie używał o Rosji takich określeń, ponieważ jest ona naszym aliantem. Gdy oficer zauważył, że przecież zebrane grono jest tajnym sztabem, a nie zespołem, uczestniczącym w konferencji prasowej, generał Ujejski odebrał mu głos doda-

jąc, że gen. Sikorski nie pochwaliłby na pewno takich określeń pod adresem Rosji”...

„Nie do wiary” — wtrąciłem.

„Do wiary, zupełnie do wiary” — powiedział, uśmiechając się gorzko mój rozmówca. Trzeba sobie tylko przypomnieć, że w owym czasie i Sikorski był pod urokiem Stalina. Jego najbliżsi współpracownicy szeptali o tym stale. Może pan o tym zresztą nie słyszał, że nasz sztab wydawał wtedy tajne rozkazy, zakazujące krytykowania Rosji”.

„I na czym się ostatecznie skończyło?”

„Niezrażeni „próbą” u gen. Ujejskiego, dokładaliśmy starań, aby nasza opinia nie była przynajmniej przed Krajem zatajona. Chcieliśmy, by Kraj się dowiedział, że na dawne przyrzeczenia Sikorskiego nie ma co dalej liczyć. Wówczas oświadczone, że naszym zadaniem nie jest wyciąganie wniosków, lecz klasyfikowanie możliwości i dlatego propozycja listu Naczelnego Wodza do Dowódcy A.K. jest nonsensem. Chcieliśmy wpłynąć na Sikorskiego, aby przejął się sprawą. Postaraliśmy się więc, żeby tzw. Komisja Wojskowa Rady Narodowej przeprowadziła inspekcję naszych prac i, zaznajomiwszy się z prawdziwym stanem rzeczy, zmusiła Naczelnego Wodza do przyjęcia naszych wniosków i wyciągnięcia z nich właściwych konsekwencji. W skład Komisji wchodziła m. in. b. posłanka Zaleska. Mówiła nam potem, że na tajnym posiedzeniu postawiła Sikorskiemu kategoryczne pytanie, czy ma zagwarantowany sprzęt i czy w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, że Anglicy nie dysponują sprzętem i w najbliższym czasie nie będą nim dysponowali. Sikorski odpowiedział jej gniewnie, że ma wszystko zagwarantowane i że Anglicy znajdą dla niego każdy niezbędny sprzęt”...

„A teraz jak sprawy stoją?”

„Sosnkowski nie łudzi Kraju nieziszczalnymi obietnicami. Tak, jego instrukcje na pewno Kraju nie bałamucą”.

Odetchnąłem. Ale ta wizja powstania w Polsce nie daje mi spokoju. Powstanie! Dziś w każdym razie wszystko przemawia za tym, że było by to szaleństwo.

Mój dzisiejszy rozmówca należy oczywiście do jednej z konspiracji. Może nawet jest w tak zwanej „Czapce”. Jest to podobno rodzaj konspiracji wśród konspiracji. Do „Czapki” w tajemnicy przed „swoimi” należy rzekomo

tylko 9 ludzi. Ma to być tajna komórka koordynująca. W „Czapce” są zarówno członkowie NIWU, jak krajowego NSZ oraz młodzi piłsudczycy. Pewno Felek Lechnicki, Ponikiewski, dr Jedlewski, Utnik, Gadomski. Zresztą za żadne z tych nazwisk głowy bym nie dał. Natomiast coraz lepiej zaczynam się orientować w nazwiskach młodych inteligentów, którzy utworzyli „Zespół”. Zdaje się, że należą do niego ludzie dość różnego pochodzenia politycznego. W „Zespole” przeważa jednak element młodych piłsudczyków. Z „Czapki” są w „Zespole” na pewno Utnik, Ponikiewski, Jedlewski, a poza tym podobno Strzeszewski, Winiewicz, Zarański, B. Wierzbiański, Gacki, Gierat, R. Piłsudski, Szempliński, Lerski, Grocholski, Janowski, może Gryziewicz...

7 grudnia, wtorek 3 m. 10 po południu.

Więc już po konferencji „Wielkiej Trójki” w Teheranie! Bomba o Teheranie wybuchła właściwie już kilka dni temu, gdy podano do publicznej wiadomości, że toczą się narady Churchilla, Roosevelta i Stalina. W prasie angielskiej — jak notuje teraz nasza urzędówka — rozlegają się same „głosy zadowolenia”. Prasa angielska po prostu pieści się wzruszającymi szczegółami spotkania „wielkiej trójki”. Stalin pił zdrowie Churchilla, Churchill „wielkiego Stalina”. Wszędzie fotografie Churchilla w kaukaskiej „papasze” na głowie. Jak gwiazdor! Oczywiście, rozpromieniony, uśmiechnięty. Cóż to za znakomity aktor! Niech się przy nim schowa wielka trójka angielskich mistrzów sceny: Olivier, Gielgud i Richardson.

Co się pod tym zadowolonym wyrazem twarzy wielkiego aktora kryje — nie mamy pojęcia. W każdym razie angielski *genius loci* tak podziałał na rodaków, że stali się znowu, nie wiem dlaczego optymistami.

W jednej z restauracji na Piccadilly żegnaliśmy z żoną i Janeczką Kazika C. Ulatnia się z Anglii. Będzie zrzucony do Polski. Jest też pełen optymizmu. Młody. Rozumiem. Nie chciałem mu na tę niebezpieczną drogę psuć pogodnego nastroju, tym bardziej, że z niebywałą wiarą formułował swoje credo. Jest nie do pomyślenia — mówił z przejęciem — aby Anglosasi wykańczali Niemców i Ja-

ponie dla pięknych oczu Stalina i aby wyłącznie on miał z tego wyciągać jednostronne korzyści. Jest to nie do pomyślenia, choćby Stalin dla zamydlenia oczu Zachodowi sto razy zmieniał konstytucję Związku Sowieckiego i tłumaczył światu, że w ramach takiej konstytucji mogą żyć szczęśliwie wszystkie narody, a wśród nich Polska. Jest nie do pomyślenia...

Wszystko jest, niestety, w dzisiejszym zwariowanym świecie do pomyślenia, drogi Kaziu.

Mikołajczyk ogłosił jakąś pół-biedy deklarację. Bardzo pół-biedy. Inną należałoby dziś ogłosić.

Powtarzano mi relację (pochodzącą od Kozieł-Poklewskiego), że w czasie śniadania czy obiadu u księżnej Kentu Smuts mówił o Stalinie, jako o wielkim człowieku. Mówił z przekonaniem. Gdy skończył stół biesiadny zaległa wymowna cisza. I cóż z tego? A czyż Stalin nie jest wielkim? Przecież wielkości politycznej człowieka nie mierzy się jedynie miarą szlachetnych cech jego charakteru. Jest niewątpliwie wielki, ponieważ umiał utrwalić — mniejsza o to jakimi środkami — „dokonania” rewolucji bolszewickiej z października 1917 roku. 26 lat — to już cała epoka. Mało tego. Wbrew, zdawałoby się, zdrowemu rozsądkowi, pogłębił w całym świecie mit komunistycznego raju sowieckiego, w którego istnienie wierzą teraz miliony.

9 wieczór.

Witek był na *London International Assembly*. Pewna Angielka (członek delegacji angielskiej) oświadczyła, iż ma wątpliwości, czy byłoby dobrze, gdyby Turcja przystąpiła teraz do wojny. Obecny na posiedzeniu August Zaleski odpowiedział, że przystąpienie Turcji byłoby pożądane z dwóch przyczyn. Powiększyłoby grono państw, bijących Niemcy, co dla W. Brytanii jest niewątpliwie ważne, a po drugie Wielka Brytania zdobyłaby sobie jeszcze jednego sprzymierzeńca, którego ziemiami mogłaby rozporządzać. Angielka żywo zareagowała pytając: „Jak to?”. Zaleski odpowiedział pytaniem: „A Polska?”.

Według Witka, w rozmowach przeważał pogląd, iż w Teheranie omawiano głównie tematykę wojenną, unikano natomiast rozmów o sprawach politycznych.

Mowa Smutsa stanowi dalej przedmiot dyskusji i domysłów. Panująca opinia uważa ją za w gruncie rzeczy antyrosyjską. Wzywa pośrednio narody do skupienia się wokół W. Brytanii i ostrzega przed niebezpieczeństwem kolosa rosyjskiego. Wszyscy zwracają uwagę, że Smuts jest germanofilem i po zwycięskiej wojnie pierwszy będzie ratował pobite Niemcy.

Nie on jeden. Będzie znacznie więcej takich amatorów wszędzie. I tu i w Stanach Zjednoczonych.

9 grudnia, czwartek, 6 m. 30 po południu.

Wczoraj na Komisji Niemieckiej nastąpiło wreszcie zamknięcie długiej dyskusji nad moim referatem. Bardzo się cieszę, gdy umiem zmusić ludzi do myślenia, aby — jak mówią Moskale — *poszewielili mozgami*. Lecz cóż znaczą te długie dyskusje wobec naszej sytuacji? Tylko zacny płk. Kijak zdaje się wciąż nie dostrzegać jej ponurego kolorytu. Dalej twierdzi, że Niemcy się trzymają, że w 1943 roku zmobilizowali 3 miliony ludzi, to znaczy akurat tyle, ile sobie „preliminowali”, że sowieciarze są stanowczo wyczerpani, że uzupełnienia sowieckie wyglądają wręcz fatalnie...

Dzielna, szlachetna Turcja mobilizuje jeszcze milion żołnierzy. W Bułgarii za to odbywają się demonstracje pokojowe. Satelici Hitlera mają już wszystkiego dosyć.

Czy gadali coś o naszych sprawach w Teheranie? Nie wiemy. Mikołajczyk jedzie z T. Romerem do Stanów Zjednoczonych. Już tak nisko upadłem, że mówię sobie — może to lepiej, jak nic.

Sowiecki agenciak p. X. powiedział mi, że Benesz wróci z Moskwy z projektami kompromisu, który doprowadzi do nawiązania stosunków polsko-sowieckich. Zapewniał mnie gorąco, że Rosja nie pragnie *ni kуска waszej ziemi*. Po co on mi te rzeczy opowiada? Przypuszczam, że sowieciarze rozsiewają takie wiadomości, aby nas psychicznie rozbroić.

Byłem na śniadaniu z Karskim. Mówiliśmy głównie o zmarłych i żywych — wspólnych znajomych w Kraju. Opowiadał szczegóły śmierci zamordowanych przez Niemców braci Stachórkich, Jerzego Szuriga, Mrozowickiego,

Gintowta-Dziwałtowskiego i wielu innych. Mówił o żyjących, którzy pracują i trzymają się dzielnie. Wspominał często Bolka Srockiego. Rozmowa była bardzo interesująca i — krzepiąca. Karski sam tkwił głęboko w krajowej robocie.

Wacio Z., będąc w angielskim *Ministry of Information*, słyszał wersję kubek w kubek podobną do tego, co mi mówił wiecznie uśmiechnięty pan X. Bardzo to znamienne. Rozmówca Wacia dodał, że Polska ma w Rooseveltcie gorącego obrońcę. Nie dziwiłbym się, chyba „natchnienie światła” choć trochę na to zasługuje.

11 grudnia, sobota, 2 po południu.

Rano Janka latała od okna do okna, wołając w zachwycie : „Patrzcie ! Patrzcie ! Śnieg pada, jak w Polsce ! Boże ! Co za cudowny śnieg !” Podeszliśmy do okien. Rzeczywiście padał gęsty śnieg. Lecz już po godzinie nie było z niego śladu. Mokre trotuary. Londyńska szarżyzna i wilgoć. Szybko prysło złudzenie podobieństwa z Polską wycharowane puszystymi, białymi płatami.

I w nocy.

Znowu byliśmy na wieczorze w „Ognisku”. Między innymi poznaliśmy sympatycznego sierżanta-pilota armii amerykańskiej, nazwiskiem Bogusławski. Dobrze mówi po polsku. Wywijał z Janeczką polkę. Wielu tych Amerykan polskiego pochodzenie zachodzi do „Ogniska”. Szczegół charakterystyczny, że wspominając swe rodziny w Stanach Zjednoczonych, mówią wciąż o matkach. Zdaje się, że głównie matkom zawdzięczają swe przywiązanie do polskości.

13 grudnia, poniedziałek, 12 m. 40 w nocy.

Odwiędził nas wczoraj sierżant Bogusławski. Na nasz intelektualno-kontynentalny gust on i jemu podobni to ludzie inni. Ale są szczerzy, weseli, bezpośredni.

Rozeszła się wiadomość, że przed wyjazdem Churchilla do Teheranu chciał się z nim widzieć Mikołajczyk. Churchill go nie przyjął. Wysłano wobec tego instrukcje Sosnkowskiemu, by się czegoś o Teheranie dowiedział.

Wezwał mnie Kot, który po chorobie wrócił do Ministerstwa. Myślałem, że coś powie o Teheranie. Wydaje mi się, że sam nic nie wie.

15 grudnia, środa, 12 m. 50 w nocy

Mikołajczyk z Romerem mają być u Edena. Podobno wrócił Sosnkowski. Może ich usztyni. Miał być zaraz przyjęty przez Prezydenta. Ostatnia mowa Edena była bardzo — jak zwykle — ogólnikowa i mglista.

Pod wielkim sekretem dowiedziałem się, że Sosnkowski rozmawiał na Środkowym Wschodzie z szefem sztabu imperialnego — Allan Brookiem. Usiłował wykonać instrukcję. Brook miał mu oświadczyć, że z Teheranu wywiózł doskonałe wrażenie. Rosjanie po prostu zmienili się nie do poznania. Wyobrażam sobie, jak ten entuzjazm Brooka musiał ubawić Sosnkowskiego. Ubawić i zmartwić. Generał starał się wybadać, jak wyglądała w Teheranie sprawa naszych granic, jednakże nie dowiedział się niczego konkretnego. W rozmowie z marszałkiem Wilsonem generał miał zapytać, czy marszałek spodziewa się przystąpienia Turków do wojny. Otrzymał dowcipną odpowiedź, dobrze świadczącą o rozumie politycznym Turków. Wilson odpowiedział Sosnkowskiemu: „Turcy wejdą do wojny po wojnie”.

W gruncie rzeczy nic o Teheranie nie wiem *).

*) Prawda o Teheranie na razie okryta była zupełną tajemnicą. Roosevelt ukrywał ją nawet wobec Cordell Hull'a, który nie brał udziału w tej konferencji. Już po Teheranie zapewniał Hull'a, że zgadza się z jego tezą, iż Stany Zjednoczone nie mogą popierać żadnych określonych zmian terytorialnych, póki trwa wojna. Dopiero później okazało się, że Roosevelt i Churchill zgodzili się na zabór ziem wschodnich Polski. Roosevelt załamawszy się zupełnie z końcem 1943 r. zerwał z polityką zasad, powodując zaprzecanie przez Stany Zjednoczone i W. Brytanię całej Europy Wschodniej Sowietom.

XX

JESZCZE JEDEN ZNAK OSTRZEGAWCZY

16 grudnia, czwartek, 7 m. 30 wieczorem.

Jesteśmy zaniepokojeni chorobą Churchilla. „Pneumonia”. Akurat właśnie w tym czasie! Mimo zapewnień, że Roosevelt nas tak kocha, mamy jednak większe przekonanie do Churchilla.

17 grudnia, piątek, o północy.

Znowu bombardowali Berlin. Porcja 1.500 ton. Najważniejsze, że Niemcy trzymają front wschodni.

Wiadomości, którymi dzieli się niedoszły premier Ciołkosz, są teraz z reguły czarne. Obawiam się, niestety, że są prawdziwe. Twierdzi, że Sowieci wcale nie zależy na przystąpieniu Polski do paktu sowiecko-czeskiego. Moskwa mówi o rządzie polskim jako o „bandzie Raczkiewicza” i na pewno będzie się domagała od nas rezygnacji z ziem wschodnich. Według Ciołkosza Anglicy naciskają i będą naciskali, abyśmy zrewidowali swe nieprzejednane stanowisko wobec Sowietów. W przeciwnym razie — zdaniem Anglików — Sowiety pewnego dnia zrealizują swe groźby.

20 grudnia, poniedziałek, 11 m. 30 w nocy.

Przed godziną wróciliśmy z Cathedral Westminster Hall, gdzie Związek Ziem Południowo-Wschodnich urządził „Wieczór Lwowa”. Naciśnięte przez Rząd „Ognisko”, nie

dało sali ! Słowem w polskim „Ognisku”, w Londynie, już nie można mówić publicznie o Lwowie, aby się nie narazić Sowietom lub Anglikom, czy też Sowietom i Anglikom razem ! Wymowna ilustracja tego co mówił Ciołkosz. Ten Związek wyraźnie denerwuje nasze sfery urzędowe. Gdy 17 b.m. odbył się zjazd organizacyjny Związku w Edynburgu, „Dziennik” bardzo biadolił, zarzucając zjazdowi, że stał się jeszcze jedną próbą „dezorganizacji naszego życia wewnętrznego, tak wytrwale uprawianą przez niektóre odłamy tutejszego uchodźstwa”. Ładne — „niektóre odłamy !” Większość, zdecydowana większość tak myśli. Nie tylko endecy i piłsudczycy, którym stale przypisuje się organizowanie akcji przeciw rządowej.

Ten świeży kwiatek z „Ogniskiem” przeczy rozpuszczanym pogłoskom, że ambasador Raczyński był u Edena, który nic a nic go nie „naciskał”. Przede wszystkim przy rozmowie nie byłem, a ponadto, że nie naciskał wczoraj nie oznacza, by nie miał naciskać jutro. Zresztą, jak słyszę, ministerstwo znakomitego Seydy i jego zaufanego Winiewicza podobno już od paru tygodni zastanawia się poufnie nad różnymi pomysłami kompensacyjnymi. Za utracione ziemie wschodnie — rekompensata na zachodzie. Dostałem właśnie — „notatkę dla Pana Ministra”. Jest to opracowanie jakiegoś działu Ministerstwa Prac Kongresowych. Dwie strony maszynopisu. Na pierwszej stronie : — „Londyn w listopadzie 1943” i w samym rogu czerwona pieczęć : „Tajne”. Pod tytułem „Ziemie rewindykowane na Zachodzie” znajduje się wyliczenie tych ziem wraz z obszarem, ogólną liczbą ludności oraz ludnością polską. Na drugiej stronie elaboratu tytuł ma dwa słowa : „Ziemie Wschodnie”. A potem podobne wyszczególnienia, uwzględniające wszystkie narodowości, zamieszkujące cały obszar. Przy czym nasze ziemie wschodnie podane w trzech zastanawiających wariantach : 1) ziemie pomiędzy linią Ribbentrop — Mołotow, a granicą ryską, 2) ziemie pomiędzy linią Curzona a granicą ryską (bez Małopolski Wschodniej) i 3) pas na wschodzie wzdłuż linii Stanisławów, Tarnopol, Równe, Sarny, Łuniniec, Baranowicze, Wilejka, Nowe Święciany.

Seyda sam by tego wszystkiego nie wymyślił. Więc inspiracja Mikołajczyka ? A kto tego inspirował ? Nasi gospodarze ? Anglicy nie pójdą na „łatwe formuły” —

tłumaczył nam niedawno Mikołajczyk. Być może zresztą, że zbyt daleko posuwam swą podejrzliwość.

Co o tym wszystkim myśli Sosnkowski ? Od 10 listopada był poza Londynem. Razem chyba ze sześć tygodni.

Przeglądałem egzemplarze „Dziennika Żołnierza APW”. Wydaje to pismo oddział Propagandy i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie. Szukałem jednego z przemówień Sosnkowskiego, bodaj z połowy listopada. Niestety, nie znalazłem. Sosnkowski miał w nim między innymi powiedzieć, że żołnierz polski nie jest żadnym najemnikiem. Bije się tylko o całą, wolną i niepodległą Ojczyznę. Mówiąc o Rosji miał podkreślić gotowość do współpracy z nią pod warunkiem, że uszanuje nasze prawa. Zainteresowało mnie to przemówienie dlatego, że cenzura brytyjska podobno kwestionowała niektóre jego ustępy. Co więcej. Miało ono nawet spowodować interwencję p. O'Malley, ambasadora brytyjskiego przy rządzie polskim.

Sprawy nabrzmiewają. Wojska sowieckie znajdują się tylko o 57 kilometrów od granicy łotewskiej. I coś z tego, że soweciarze są podobno wyczerpani. A czy Niemcy nie są również wyczerpani ? Przecież rozwalają im całe miasta, przemysł, porty. Ludzie giną tysiącami na frontach i w samych Niemczech. A stopień wytrzymałości niewolnika reżymu sowieckiego jest na pewno wielokrotnie większy od niewolnika hitlerowskiego. Niemcy bądź co bądź są barbarzyńcami zachodnio-europejskimi. A już w żadnym razie nie jestem w stanie uwierzyć, by sami Moskale mogli się zatrzymać w jakimś punkcie. Bo i takie teorie wypowiadają Polacy. W 1812 roku to prawda, Kutuzow nie chciał się pchać w głąb Europy. Obawiał się, że zroszona krwią rosyjską zwróci się z czasem przeciwko zwycięzcom. Dzisiejsi Moskale — to komuniści. Krzyżowcy nowej wiary. Celem ich jest nie tylko podbój Europy, lecz całego świata. Jeśli im tylko sił starczy pchać się będą wszędzie, z wyjątkiem chyba Japonii. Ten kłopot woleliby pozostawić Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii.

Nasz urzędowy „Dziennik” drukuje depesze jednego z korespondentów amerykańskich w Londynie p. Kuh pod nagłówkiem : „Rosja oczekuje inicjatywy polskiej. Tylko poprawki granicy 1941 r.”. Depesze te wyglądają również na inspirację. Zachęcają Polaków do inicjatywy, która równałaby się zupełnie kapitulacji.

21 grudnia, wtorek, 3 po południu.

Opowiadano mi, że na pewnym zebraniu w Anglii, zorganizowanym przez komunistów, po referacie mówcy komunisty, jeden z obecnych na sali zapytał prelegenta: „Jak w Rosji sowieckiej przedstawia się zagadnienie służby domowej?” Oczywiście pytający stawiał pytanie poważnie. Zapisuję tę autentyczną historyjkę, bo charakteryzuje poziom zainteresowań angielskich ignorantów sprawami sowieckimi. I jeszcze jedna historyjka. W kolejce podziemnej koło Golders Green zatrzymano pociąg na 20 minut, gdyż nadeszła wiadomość, że zbłąkany piesek wybrał się na spacer do tunelu kolejki i jeszcze nie wrócił! To też charakterystyczne...

Smętne, same smętne wieści u schyłku tego roku. Komunistyczny partyzant Tito, „jugosłowiański Stalin”, zawarł pakt z Anglikami. Już sowieciarze mają na Bałkanach swój ośrodek, uznany przez Aliantów. Anglicy zdradzili Michajłowicza. Jeszcze jeden sygnał ostrzegawczy dla nas.

Niemcy w pełnym odwrócie na froncie wschodnim. Armia czerwona o niecałe 50 mil od granicy polskiej! W prasie angielskiej dalej przyjacielskie obrazki. Tu Montgomery w czulej pozie z trzema oficerami sowieckimi, tam inna fotografia w tym samym stylu. Prasa angielska pełna wiadomości o tym, że Stalin... zaakceptował „nową międzynarodkę”. Przytacza nawet jej treść, obok starego hymnu z 1894 roku. Kapitalne!

I cóż na to szanowny rząd Mikołajczyka i spółki? Dowiedziałem się, że wczoraj odbywały się „ważne narady” w składzie: Seyda, Romer, Mikołajczyk, Raczyński. Pytam się, czy taki zespół, w którym trzej pierwsi stanowią większość, jest w stanie w ogóle coś istotnego uradzić! Ten, który w zespole posiada i wolę działania i ambicję, nie ma ani inteligencji, ani wykształcenia, ani kultury politycznej. Mikołajczyk w roli polskiego męża stanu, broniącego na forum międzynarodowym interesów Polski, to nieszczęście, to tragiczne nieporozumienie.

Ostatniej nocy mieliśmy alarm. Trzeci w ciągu 24 godzin.

22 grudnia, środa, 12 m. 30 w nocy.

Pojutrze znowu, jak w poprzednich latach, będziemy sobie tylko jednego życzyli: Oby to była ostatnia wilia i obyśmy następną spędzali w Kraju! Te życzenia weszły już do rytuału uchodźczego.

Odwiedziliśmy pp. Karpińskich. Poznaliśmy szwagra płk. Karpińskiego, porucznika lotnictwa. Strącono go w czasie lotu nad Belgią. Z niewoli niemieckiej zwiął do Szwajcarii. Ale znudziło mu się w Szwajcarii, więc „wrócił” do Londynu. W listopadzie, po wielu perypetiach — przez granicę francusko-hiszpańską. Bogate przeżycia. Opowiada o wszystkim bez emocji, spokojnie, skromnie. Mówi, że jednak ma już wszystkiego dosyć. Nie wierzy, by dalsze nasze wysiłki wojenne miały jeszcze jakiś sens polityczny.

Wszyscy jesteście przemęczeni i podenerwowani. Wyjątek w tym obrazie stanowi na pewno nasza rządząca „góra”, wyżywająca się w „działalności”, z której nic nie wychodzi.

Karpiński rozmawiał z pewnym Irlandczykiem, który stenografował w Teheranie. Irlandczyk plótł na ogół brednie. Tylko jedno było ciekawe. Zapewniał Karpińskiego, że na podstawie tego, co słyszał w Teheranie, nie wierzy, by wojna mogła się skończyć w 1944 roku. Diabli wiedzą. Znając jako tako Niemcy, wydaje mi się jednak, że rok przyszedł powinien być ostatnim.

Wszyscy pytamy, co Eden powiedział Mikołajczykowi.

23 grudnia, czwartek, 2 w nocy.

Brat rozmawiał z młodym oficerem polskim, który w sierpniu uciekł z niemieckiego obozu. Twierdzi, że Niemcy oczekują wielkiej akcji inwazyjnej Aliantów i drżą przed nią. Po kilku tygodniach pobytu w Anglii młody człowiek zdążył się zupełnie rozczarować do „polskiego” Londynu... Brat rozmawiał również ze swoimi znajomymi — Anglikami. Ludzie z przemysłu. Dobrze zorientowani. Powtarzali mu, że na wszystkie sugestie sowieckie powinniśmy odpowiadać mocno — „nie” i nie przejmować się prosowieckimi naciskami Rządu Jego Królewskiej Mości. Tylko taką postawę zrozumie i uszanuje rząd brytyjski.

24 grudnia, 3 po południu.

W domu krzątania przedwigilijna, jakbyśmy byli w Polsce. Lubię ten nastrój.

Dostałem wiele życzeń świątecznych i noworocznych. Między innymi od Felka Lechnickiego ze szpitala w Rancoby. W czasie któregoś lotu bojowego odmroził sobie fatalnie rękę. „Czuję się doskonale — pisze — a zawadza mi dosłownie tylko jeden palec. Lekarz „pocieszał” mnie wczoraj, że będę w szpitalu już „tylko” dwa miesiące. Jest to oczywiście sytuacja dość niemiła, bo z jednej strony czuję się doskonale, a z drugiej moja załoga lata sobie dalej beze mnie, co denerwuje mnie i niepokoi chwilami...”.

Bardzo tego Felka lubię. Pamiętam go, gdy był smarkaczem. Inteligentny, żywy. Ma wybitny talent pisarski. Przed wojną planowałem sobie, że będzie moim sekretarzem politycznym. Teraz — gdy wróci ze szpitala — chciałbym go ostatecznie przekonać, aby skończył z tymi lotami. Zrobił swoje. Narażał się. Wydostał się spod okupacji przed dwoma laty. W Anglii wstąpił do lotnictwa. Już się nalatał. Dosyć. A on się wciąż niepokoi i denerwuje, że jego załoga dalej bez niego lata.

Wszystko wciąż rwie się do walki, a ja takich jak Felek trzymałbym teraz jak najdalej od frontu.

Niedawno pokazano mi obszerny elaborat — zdaje mi się — jego pióra. Coś w rodzaju creda ideowego „Polskiego Młodego Pokolenia”. Elaborat ma wyraźnie propagandowo-agitacyjny charakter. Rozpoczyna się od słów: „Walczyliśmy o siłę narodu polskiego, walczyliśmy o Wielką Rzeczpospolitą”... A potem: „Walka w dziedzinie czynu — o przywrócenie i odbudowę niepodległości”... „Walka w dziedzinie myśli ducha polskiego, o polską rację stanu, o urzeczywistnienie misji dziejowej Narodu Polskiego”... „Walka w dziedzinie myśli i czynu — o Wielką Rzeczpospolitą”. Obok creda elaborat zawiera szczegółowo opracowane instrukcje dla „przewodników” Polskiego Młodego Pokolenia, dotyczące prowadzenia zespołów, planowania pracy zespołów, propagandy itd.

Napisał to zdaje się w roku zeszłym, wkrótce potem, jak w charakterze kuriera z Kraju przybył do Londynu i pod pseudonimem Jan Żart ogłosił w „Wiadomościach”

cykl kilku doskonałych artykułów o rzeczywistej rzeczywistości polskiej pod okupacją, a nie o rzeczywistości wymaginowanej, przesłoniętej często bałamutną i zakłamaną frazeologią.

Gdy się zjawił z Kraju przyjął go Sikorski. W pewnej chwili przerwał relację Lechnickiego, rzucając pytanie: „A co o mnie w Kraju mówią?” Lechnicki nie namyślając się odpowiedział: „Przyznam się Panie Generale, że tego sobie nie przypominam”. Sikorski wizytował podchorążówkę w której znajdował się Felek. Było to w czasie, kiedy w „Wiadomościach” ukazywały się jego artykuły. Wódz Naczelny spróbował nawiązać rozmowę z Lechnickim. Zapytał go nonszalancko: „A co pan tam pisze w „Wiadomościach”? Usłyszał taką odpowiedź:

„A pisze się, pisze, panie Generale”.

Kiedy o nim myślę powtarzam z uporem. Zrobił swoje, jako kurier i lotnik. Powinien przejść do pracy dziennikarskiej i skończyć z wojenką. Zdawało mi się, że kiedyś godził się już z moją sugestią. A teraz widzę, że chce znowu latać. Muszę do niego napisać. Ale czy to co może?

12 w nocy.

Wieczór wigilijny spędziliśmy w gronie kilku bliskich osób. Potem całą gromadą zeszliśmy o piętro niżej do Czerwińskich. Było serdecznie, przyjemnie. Janka, która lubi tradycje świąteczne, była zachwycona choinką, prezentami, nastrojem. Na szczęście nie było alarmu. Któryś z biesiadników wigilijnych przyniósł nawet prezent polityczny w postaci wiadomości, że Eden w rozmowie z Mikołajczykiem... nie naciskał i niczego od nas nie wymagał.

25 grudnia, sobota, 1 m. 30 w południe.

Pierwsze święto. Na dworze zupełnie ciepło. Lekka mgiełka. Chodzę po naszych dwóch pokojach. Pomagałem sprzątać, słuchałem radia, stawałem przy oknach, patrząc na płaskie dachy sąsiedniego domu, na drzewa огоłocone

z liści... Jakby się człowiek chętnie wyrwał z tej wyspy ! Jakby się pożegnał z całym tym obcym światem, który trzyma w swych rękach nasze losy, zbliża się do zwycięstwa i planuje pokój. Jaki ?

Gdy piszę słowa „planuje” przypominają mi się słowa (bodaj Voigta), który twierdzi, że Anglia w ogóle nie ma żadnej polityki zagranicznej, że w ogóle jest to kraj, który nigdy niczego nie planuje. Planowanie bowiem to, według wielu Anglików, niezawodna droga do dyktatury. A tego rzeczywiście szczerze nie lubię.

I w nocy.

Było kilka osób. Ktoś przyniósł wiadomość, że dopiero w styczniu dowiemy się, co zaszło w Teheranie. Tak twierdzi Eden. W połowie stycznia wraca Churchill. Eden zapewnia, że dotąd nie zna szczegółów konferencji.

Zbrzydły mi te notatki, które od roku robię. Pewno skończę tę rozmowę z samym sobą. Na szczęście nie dostałem na gwiazdkę zeszytu z napisem „Dairy”. Nie będzie tym razem śmiesznej pokusy do pisania pamiętnika.

28 grudnia, wtorek, 7 wieczór.

Przedwczoraj byliśmy u Mackiewicza. Zastaliśmy Ostrowskich, Bieleckiego, Rembielińskiego, Wasiutyńskiego, K. Zbyszewskiego. Nie rozmawialiśmy o polityce, lecz o literaturze rosyjskiej, o Turgieniewie, Mereżkowskim, Dostojewskim. Mackiewicz lubi być primadonną towarzystwa. Wtedy jest rozmowny, dowcipny, wesoły. Przepadła za literaturą rosyjską, bo jest mu po prostu bliska. Był więc w swoim żywiole. Ponadto był nieomal tylko wśród — samych swoich. Mackiewicz wysoko ceni Bieleckiego i czuje się teraz najlepiej wśród ludzi ze Stronnictwa Narodowego.

Zamieniłem kilka zdań w kącie pokoju z Bieleckim. Pytałem o Sosnkowskiego, wyrażając obawy, czy Mikołajczyk nie będzie go chciał wykończyć, używając chwytu, że stanowi jedyną przeszkodę do nawiązania stosunków z Sowietami. Obrona Prezydenta — mówiłem — może okazać się bezskuteczną.

Bielecki nie przypuszcza, by plan wykończenia Sosnkowskiego mógł się Mikołajczykowi udać ze względu na wojsko i powszechny autorytet, jakim generał się cieszy. Nie chciałem kontynuować dyskusji na ten temat. Osobiście jestem przekonany, że ataki na Sosnkowskiego stanowią tylko fragment cyklu, który jeszcze się nie zakończył. W czasie nieobecności Sosnkowskiego p. Mikołajczyk i spółka przegadali na pewno wiele godzin, zastanawiając się nad tym, jakby pozbyć się niewygodnej postaci. Mogą oczywiście liczyć na pomoc gospodarzy, którzy gotowi będą nas poświęcić, jak poświęcili Michajłowicza.

Wczoraj zaszli do nas Szembekowie. Przyszedł uroczyste pogodzony z moją żoną prof. Jedlicki. Dziś razem z nim rozmawialiśmy z aktorami, którzy grają w „Drugiej Wyspie” : Laskowskim, Pawlikowskim, Heleną Makowską.

Prasa angielska triumfuje z powodu zatopienia „Scharnhorsta”. *10.000 men went down on Scharnhorst*. O wielkiej inwazji na kontynent piszą Anglicy, jakby to była kwestia dosłownie najbliższych dni.

30 grudnia, 7 wieczorem.

Zaczął się właśnie alarm lotniczy. Syreny wyją przerażliwie. Doskonały akompaniament do lektury wiadomości o dalszych przygotowaniach inwazyjnych, którymi wypełnione są gazety. To teraz główny temat. Sypią się co dzień nazwiska dowódców inwazyjnych — brytyjskich i amerykańskich.

W który punkt ostatecznie uderzą ? Na Bałkany, czy na Francję ? A może równocześnie ? W każdym razie bliżej końca, jak dalej. Tylko jakiego końca ? Chciałoby się pomarzyć o dobrym końcu, ale nawet na marzenia trudno się zdobyć.

Jutro Sylwester. Koniec roku. Jakże bym określił rok miniony ? Szukam definicji i innej nie znajduję jak tylko, niestety, jedną. Nazwałbym go złowróżbnym rokiem. Czarne chmury pokryły polskie niebo.

XXI

Antoni BOGUSŁAWSKI *)

PILAT I GOŁĘBIE

*Pontius Pilatus, prokonsul Judei,
skrzywiwszy usta, słuchał melopei
lgnącej mu do nóg od zaułków niżu
skomleniem dzikim :*

„Ukrzyżuj, ukrzyżuj !”

*Aż, folgę dając zmysłowej udręce,
rzekł, a wzgardliwie :*

„Ja umyвам ręce”.

*I, rąbkiem togi przystoniwszy głowę,
szedł przez tarasu stopnie marmurowe
w stronę triklinium, kędy niewolnicy
z róż wieńce wili na nocną biesiadę ..
rad, że za sobą ma charkliwą radę
i zgiełk gardłowy żydowskiej ulicy.
(A tam już Więźnia wleczono wśród wrzawy
na groźny osąd zakonnej rozprawy).*

*) Poeta, powieściopisarz, dziennikarz i żołnierz. Zmarł w Londynie, w 1956 roku. Wiedząc, że zamierzam wydać pamiętnik obejmujący rok 1943, nadesłał mi swój wiersz napisany pod wrażeniem konferencji w Teheranie, drukowany w „Dzienniku Polskim”. Zamykam nim pamiętnik, spełniając życzenie zmarłego poety, którego przyjaźń ceniłem sobie bardzo.

*I tylko echo słów prokonsulowych
zachybotło się na kolumn wrębie.
I poleciały z nim szare gołębie
we świata strony na skrzydłach perłowych.*

*Jeden, ugodzon strzałą obłąkaną,
spadł, krwawa róża, na piach Teheranu.*

*A drugi gołąb nad morskimi piany
długo się nosił, lotem kołysany,
aż opadł w miasto z gmachami wieloma...*

(Kiedyś — od echa — w proch runęła Roma).

INDEKS NAZWISK

- Affeltowicz Teresa, 127.
 Alba książę, 182.
 Anders Władysław, 43, 49,
 60, 62, 112, 116, 148, 160.
 Anderson John, 185.
 Antonescu Ion, 184.
 Arnim D.J. von, 91.
 Arnold Stanisław, 147.
 Attlee Clement, 162.
 Axmann Artur, 26.
 Babiński Witold, 131, 133,
 143, 146, 148, 177.
 Badoglio Pietro, 93, 144, 154,
 167, 184.
 Baranowska Irena, 117, 182.
 Barański Leon, 42.
 Beck Józef, 68, 81, 120.
 Belloński Józef, 77, 148.
 Benesz Edward, 174, 189, 202.
 Berling Zygmunt, 91, 170, 173,
 187.
 Biddle Drexel A.J. 115.
 Bielecki Tadeusz, 42, 46, 51,
 52, 53, 55, 56, 58, 59, 63, 67,
 76, 96, 112, 212, 213.
 Blaskowitz Johannes, 143.
 Blunt Mrs., 82.
 Bogdanowicz Leon, 108.
 Bohuszewicz, płk. lotn., 43, 198.
 Bogusławski sierż. amer. 203.
 Bogusławski Antoni, 214.
 Bogomołow Aleksander Y., 168.
 Boruta-Spiechowicz Mieczysław,
 60.
 Bogusz Roland, 107, 109.
 Boguszowa Wanda, 83.
 Boguszowie R., 107.
 Bracken Brendan, 148.
 Bregman Aleksander, 165, 168,
 172.
 Brüning Heinrich, 60, 74, 158.
 Brook Alan Francis, 204.
 Bruner Wacław, 166.
 Bujalski Aleksander, 18, 36, 50,
 52, 71, 96, 124, 198.
 Carr, 75.
 Churchill Winston, 24, 34, 51,
 59, 67, 78, 87, 91, 92, 101,
 103, 110, 111, 113, 119, 135,
 136, 138, 143, 144, 158, 168,
 170, 176, 183, 185, 192, 193,
 194, 200, 204, 205, 212.
 Ciołkosz Adam, 41, 42, 54, 57,
 76, 77, 111, 117, 120, 122,
 135, 161, 162, 196, 205, 206.
 Cisek Zbyszek, 132, 169.
 Cranton, 82.
 Curzon Georges Nathaniel, 168,
 206.
 Czag Kai-szek, 143.
 Czerwińska Jadwiga, 195.
 Czerwiński Kazimierz, 14, 83.
 Czerwiński Witold, 26, 28, 39,
 51, 57, 58, 61, 63, 64, 66,
 91, 113, 117, 125, 166, 172,
 201.
 Czerwińscy W., 81, 87, 191,
 211.
 Dan (Danilowski), 188.
 Daniel von, gen., 49.
 Darlan Jean-François, 184.

- Davies Joseph Edward, amb., 92, 110.
 Davis Elmer, 109.
 Demel Franciszek, 131, 177.
 Demidecki Aleksander, 54, 65, 86, 118, 126.
 Deutscher Izaak, 196.
 Dittmar Kurt, gen., 100.
 Dmowski Roman, 120.
 Doboszyński Adam, 18, 36, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 50, 52, 54, 56, 57, 73, 123, 150.
 Doenitz Karl, adm., 27, 28.
 Dostojewski Fiodor M., 212.
 Dreszer Rudolf, 63, 93.
 Drobner Bolesław, 125.
 Drohojowski Jan, 85, 90, 91, 98, 114, 174, 186, 187.
 Dubicz-Penther Karol, poseł polski w Lizbonie, 63.
 Dymszyna Lawinia, 83, 107.
 Dzięwałowski-Gintowt, działacz akademicki, 203.
 Eden Anthony, 9, 21, 47, 51, 59, 75, 78, 84, 95, 115, 120, 146, 155, 172, 181, 192, 204, 206, 211, 212.
 Eisenhower Dwight David, 168, 177.
 Fogg Mieczysław, 188.
 Folkierski Władysław, 54.
 Frank Hans, 140, 141.
 Frankowski Feliks, 89.
 Fuhrman Stanisław, 142, 167, 168.
 Gacki Stefan, 200.
 Gadowski Feliks, 200.
 Gielgud John, 200.
 Gierat Stanisław, 43, 85, 200.
 Gliński Tomasz, 195.
 Głuski J., 78, 79.
 Głuski Stanisław, 81, 138.
 Goebbels Josef, 26, 27, 31, 50, 78, 80, 97, 98, 109, 139, 143, 167.
 Goering Herman, 26, 31, 80.
 Górecki Roman, 41, 46, 53, 54, 96, 116.
 Grabowski Zbigniew, 155.
 Grabski Stanisław, 56, 57, 72, 73, 113, 171, 193.
 Graham, poseł do Izby Gmin, 196.
 Grażyński Michał, 48, 54, 151.
 Grażyński Zygmunt, 67, 83, 95, 187, 188.
 Greenwood Arthur, 24.
 Grocholski Stanisław, 50, 200.
 Grodziccy, 169.
 Grosfeld Ludwik, 77, 122, 125, 130.
 Gryziewicz Stanisław, 200.
 Grzesiński Albert, 158.
 Halifax Edward, 165, 168.
 Haller Józef, 22, 98, 116, 125.
 Hałaciński Józef, 50, 64, 174.
 Harriman Averell W., 166, 168.
 Harusewicz Mieczysław, 50.
 Hauke-Nowak, woj., 48.
 Hearst, 192.
 Helczyński Bronisław, 46, 48, 116, 167, 175.
 Hemar Marian, 130, 195.
 Hess Rudolf, 148.
 Himmler Heinrich, 144, 150, 152.
 Hinsley Arthur, kard., 181.
 Hitler Adolf, 26, 27, 28, 30, 31, 32, 33, 34, 46, 61, 71, 76, 79, 80, 93, 102, 103, 104, 105, 136, 143, 144, 154, 162, 175, 176, 188, 202.
 Horko Tadeusz, 189.
 Hull Cordell, 171, 172, 183, 204.
 Iżycki Mateusz, 150.
 Jaeger Hans, 139.
 Jakubowscy z Kiecin, 191.
 Jankowski Jerzy, 200.
 Januszajtis Marian, 125.
 Jedlewski dr., 200.
 Jedlicki Marian, 14, 56, 57, 72, 81, 97, 190, 213.
 Jędrzychowski Stefan, 125.
 Józwiak Stanisław, 148.
 Jurand, 188.

- Kaczyński Zygmunt ks., 54, 108,
 112, 125.
 Kalinin M.I., 76.
 Kamiński, kpt., 50.
 Karczewski Marceli, 111, 118.
 Karpiński Stanisław, 209.
 Karpiński, 209.
 Karski Jan, 196, 202, 203.
 Kawecka Wiktoria, 97.
 Kent księżna, 183, 201.
 Kieliński Tadeusz, 113, 148.
 Kijak, ppłk. dypl., 25, 39, 70,
 155, 156, 164, 181, 186, 202,
 King Hall Stephan, 136.
 Kipling Joseph Rudyard, 70.
 Klimecki Tadeusz, 71, 198.
 Klimkowski Jerzy, 160.
 Kolin, 72.
 Komarnicki Wacław, 113.
 Kopański Stanisław, 131.
 Korniejczuk Aleksander E., 48.
 Kościakowski Marian, 48, 142.
 Kościuszko Tadeusz, 133.
 Kot Stanisław, prof. min., 24, 25,
 36, 37, 40, 57, 58, 60, 62, 63,
 64, 66, 67, 69, 70, 72, 76, 77,
 78, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87,
 91, 92, 98, 102, 111, 114, 116,
 117, 118, 121, 122, 126, 131,
 134, 135, 137, 138, 143, 149,
 154, 160, 174, 182, 184, 187,
 193, 196, 204.
 Kowalewski Jan, 108.
 Kraszewska Julia, 81.
 Kwapiński Jan, 24, 25, 42, 54,
 57, 114, 122.
 Kwiatkowski Michał, 148.
 Kucharski Jan, 17.
 Kudlicki Stanisław, 82, 194.
 Kuh, 207.
 Kukiel Marian, 42, 79, 81, 85,
 87, 114, 126, 137, 147.
 Kulerski Witold, 196.
 Kunciewicz Jerzy, 41, 46, 96.
 Kurcusz Jerzy, 102.
 Kurzempa Zenon, 71, 96.
 Kutuzow Michał G., 207.
 Langner Władysław, 177.
 Laskowski Stefan, 213.
 Lechnicki Klemens Felician, 7,
 14, 18, 36, 66, 124, 126, 127,
 197, 200, 210.
 Lechnicki Zdzisław, 127.
 Lenin Włodzimierz I., 28, 30.
 Lerski Jerzy, 200.
 Libicki Konrad, 41, 114, 115,
 138.
 Lipski Józef, 38, 39, 71, 105,
 150.
 Lisiewiczowie A., 22, 23.
 Litauer Stefan, 36, 64, 68, 75,
 85, 111, 121, 147.
 Litwinow Maksym, 92, 142.
 Lockner Louis P., 33.
 Łukasiewicz Juliusz, 54, 59, 115,
 116, 148, 150, 175.
 Łychowski Tadeusz, 105, 150.
 Mackiewicz Stanisław (Cat), 52,
 72, 76, 134, 135, 172, 176,
 182, 183, 212.
 Majewski Witold, 14, 53.
 Majskij, b. amb. sowiecki, 9,
 142, 149.
 Makowska Helena, 81, 213.
 Mannerheim Karl Gustav von,
 184.
 Manstein Fritz Erich von, 143.
 Marchlewski Mieczysław, 168.
 Martin W. told, 166.
 Menne Bernhard, 60.
 Merezkowski Dymitr, 212.
 Messal Lucyna, 97.
 Michajłowicz Draża, 184, 208,
 213.
 Mieczysławski Witold, 68.
 Miedziński Bogusław, 42.
 Mikołajczyk Stanisław, 25, 37,
 42, 52, 57, 60, 82, 114, 115,
 116, 119, 120, 121, 122, 125,
 130, 131, 133, 134, 137, 138,
 146, 147, 149, 153, 155, 161,
 170, 171, 172, 174, 175, 181,
 182, 184, 189, 190, 192, 194,
 202, 204, 206, 207, 208, 211,
 212, 213.
 Mincer Tadeusz, 72.
 Modelski Izidor, 18, 22, 25, 35.
 Moltke Hans Adolf von,
 Molotow W., 206.
 Montgomery Bernard, 20, 67,
 208.
 Morrison Herbert, 28.

- Mosley, 187.
 Mrozowicki, działacz akademicki, 202.
 Mussolini Benito, 132, 136, 145, 156.
 Muszalski Jerzy, 63.
 Nagórski Zygmunt, 41, 46, 54, 114, 116, 117.
 Nelson, 87.
 Neuman Władysław, 42.
 Niewiarowski, kpt., 123.
 Nowak Jerzy, 172.
 Nowakowie J., 172.
 Nowakowski Zygmunt, 72, 82, 105, 189.
 Nowikow Mikołaj, 29, 35.
 Oldham, 98, 99.
 Olivier Lawrence, 200.
 O'Malley, amb. bryt. przy rządzie polskim, 207.
 Olszak, płk. inż., 192.
 Opieński Józef, 104.
 Opieńscy J., 79, 103, 166.
 Ostrowski Krystyn, 102, 108.
 Ostrowscy K., 212.
 Pańciewicz Jerzy, 196.
 Papen Franz von, 171.
 Paprocki Stanisław Józef, 115, 166.
 Paszkiewicz, gen., 43, 143.
 Paulus Friedrich von, marsz., 49.
 Pawlikowski Mieczysław, 81, 183, 213.
 Piotrowski Aleksander, inż., 73, 108.
 Piłsudski Józef, 36, 49, 57, 63, 65, 68, 75.
 Piłsudski Rowmund, 200.
 Poklewski-Koziell, 201.
 Ponikiewski Jerzy, 200.
 Popiel Karol, 37, 57, 154, 155.
 Poziomek Stanisław, 71, 96.
 Pragier Adam, min., 41, 42, 43, 54, 58, 96, 111, 125, 161.
 Protasewicz Michał, 114.
 Pruszyński Ksawery, 24, 27, 111.
 Przetakiewicz Jan, 39, 42.
 Puacz Edward, 46, 72, 73, 96, 162, 163, 164, 173, 195.
 Raczkiewicz Władysław, 24, 25, 40, 46, 49, 50, 52, 58, 62, 108, 113, 114, 115, 116, 117, 120, 122, 130, 132, 133, 134, 135, 138, 149, 155, 161, 181, 182, 190, 205.
 Raczkiewiczowa, 117.
 Raczynski Edward, 21, 81, 85, 100, 155, 206, 208.
 Radziwiłł Karol, 182.
 Rayski Ludomir, 48, 151.
 Rembeliński Jan, 154, 189, 212.
 Retinger Józef, 26, 36, 40, 51, 59, 68, 114, 125, 150, 155, 168.
 Rejtan Tadeusz, 160.
 Ribbentrop Joachim, von, 143, 206.
 Richardson Ralph, 200.
 Robinson prof., 82.
 Roehm Ernst, 32.
 Romer Adam, 124.
 Romer Tadeusz, amb., 49, 87, 114, 117, 120, 172, 189, 190, 202, 204, 208.
 Rommel Erwin, 16, 20, 26, 67, 106, 143.
 Roosevelt Franklin D., 24, 59, 91, 92, 101, 103, 110, 113, 114, 143, 144, 158, 168, 176, 185, 192, 193, 194, 200, 204, 205.
 Ropp, 185, 186, 187.
 Rotstein, 75.
 Rubens, 102.
 Rundstedt Gerd von., 143.
 Rydz Smigły Edward, 57, 102.
 Sakowski Juliusz, 63, 83.
 Seger, 158.
 Seyda Marian, 57, 67, 111, 174, 195, 206, 208.
 Sęp-Szarzyński Stanisław, 18, 36, 50, 52, 66, 71, 96, 124.
 Siudak Paweł, 92.
 Sikorski Wacław, 189.
 Sikorski Władysław, passim.
 Singer Bernard, 196.
 Słonimski Antoni, 55, 111, 116.

- Smogorzewski Kazimierz, 72.
 Smoleński plk., 131, 177.
 Smuts Jan Christian, 170, 194, 195, 201, 202.
 Sojka Edward, 196.
 Sokołowski M., 19.
 Sopicki Stanisław, 112.
 Sosnkowski Kazimierz, *passim*.
 Srocki Bolesław, 32, 203.
 Stachórsy bracia, 202.
 Stalin Józef, 24, 33, 46, 48, 49, 68, 90, 92, 103, 110, 136, 143, 165, 168, 176, 185, 192, 199, 200, 201, 208.
 Stampfer Fritz, 158.
 Stańczyk Jan, 15, 42, 77, 122.
 Starzewski Jan, 87, 130, 138.
 Stawinscy, 67.
 Stawińska (z domu Tuwim), 67.
 Stawiński, 27.
 Stevens, 56, 169.
 Strasburger Henryk, 125.
 Stroński Stanisław, 22, 25, 32, 35, 37, 41, 43, 47, 54, 56, 57, 59, 61, 62, 64, 66, 75, 83, 98, 130.
 Strzeszewski, 200.
 Szapiro Jerzy, 55.
 Szczyrek Jan, 42, 60, 77, 122.
 Szeląg Franciszek, 66.
 Szembek Jan, 183.
 Szembekowie, 213.
 Szempliński Zygmunt, 200.
 Szulcowie, 81.
 Szurig Jerzy, 202.
 Szurlej Aleksander, 42.
 Szydłowski S.W.J., 148.
 Szymanowski B., 69.
 Szymański Fred., plk. am., 181.
 Tarnowski Adam, 46.
 Tito Josip, 174, 208.
 Tokarzewski-Karaszewicz, gen., 154, 177.
 Tomaszewski Tadeusz, 54, 113, 114, 175.
 Tompson Dorothy, 158.
 Turgieniew Iwan, 212.
 Tuwim Julian, 67, 191.
 Tyszkiewiczowie z Połagi, 103.
 Ujejski Stanisław, 40, 43, 44, 52, 71, 96, 114, 198, 199.
 Ulman Tadeusz, 64, 114.
 Utnik Marian, 50, 123, 200.
 Vansittart, lord, 156.
 Vardy, 82.
 Vogel, 158, 159.
 Voigt F.A., 26, 172, 212.
 Wagner Jan, 139.
 Wajda Kazimierz, 65.
 Warchałowski, konsul R.P., 145.
 Wasilewska Wanda, 48.
 Wasiutyński Wojciech, 212.
 Westfal Stanisław, 19, 81, 83, 95.
 Wiatr Józef, 160.
 Wielhorski Józef, 48.
 Wierzbiański Bolesław, 200.
 Wilhelm II, 76.
 Wilson, marsz., 204.
 Winant John G., 9.
 Winiewicz Józef, 39, 105, 150, 194, 200, 206.
 Witos Andrzej, 125.
 Witos Wincenty, 125.
 Witzleben Erwin von, 143.
 Wyszyński Andrzej, 90, 165.
 Zabłocki Tadeusz, 112.
 Zagórowski Wacław, 166.
 Zaleska Zofia, 199.
 Zaleski August, 28, 42, 54, 71, 76, 115, 117, 120, 201.
 Zamoyski Tadeusz, 166.
 Zarański Józef, 200.
 Zaremba Zygmunt, 122.
 Zawadowski Zygmunt, 35.
 Zbyszewski Karol, 212.
 Zbyszewski Wacław Alfred, 169, 203.
 Zieleniewski Tadeusz, 36, 37, 67, 68, 93, 94, 95, 100, 138, 143, 155.
 Zięciakiewicz Stanisław, 81.
 Ziffer Bernard, 136.
 Zygelbojm Szmul, 96.
 Żeligowski Lucjan, 176.
 Żółtowski A., 154.

SPIS TREŚCI

OD AUTORA	II
I <i>Jak zasiał, tak zbiera</i>	13
II <i>Sam na sam z Moskwą</i>	21
III <i>Aktor za kotarą</i>	30
IV <i>W dymie kadzidel</i>	35
V <i>Apel do Prezydenta</i>	38
VI <i>Człowiek cieszący się zaufaniem ogółu</i>	51
VII <i>Demon londyńskiej sceny</i>	66
VIII <i>Katyń</i>	78
IX <i>W oczekiwaniu niemieckiej kontrofensywy na Rosję</i>	89
X <i>Przed inwazją na Kontynent</i>	102
XI <i>Śmierć generała Sikorskiego</i>	112
XII <i>Naczelnym Wodzem — Sosnkowski, premie- rem — Mikołajczyk</i>	120
XIII <i>Nie kijem go to pałką</i>	134
XIV <i>Włochy skapitulowały</i>	142
XV <i>O przyszłość stosunków polsko-niemieckich</i>	154
XVI <i>„Bóg jest z nami. Przed nami Warszawa”...</i>	161
XVII <i>Obrzydliwe!</i>	174
XVIII <i>„Droga do Polski otwarta”...</i>	185
XIX <i>Tajemnica wokół Teheranu</i>	196
XX <i>Jeszcze jeden znak ostrzegawczy</i>	205
XXI <i>Piłat i gołębie</i>	214
INDEKS NAZWISK	217

A C H E V E D'IMPRIMER
LE 15 JANVIER 1959
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (18^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1959.



